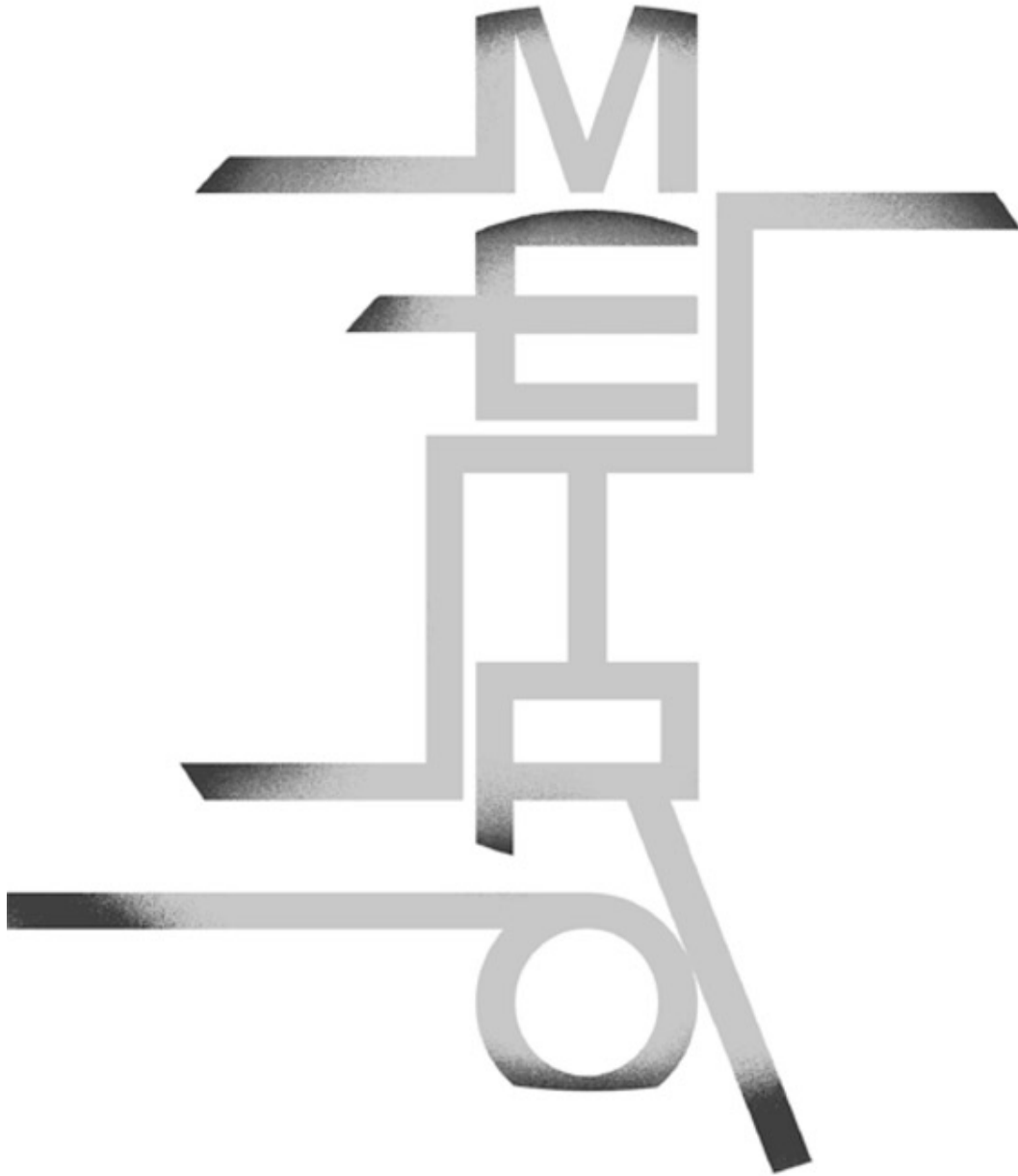


ROBERT ZIĘBIŃSKI



ROBERT ZIĘBIŃSKI



*Mojemu tacie,
w podziękowaniu za to,
że kiedy miałem siedem lat,
pozwoił mi obejrzeć Płonący wieżowiec*

*Wojna nie polega na tym, aby oczekiwać,
że wróg się nie zjawi,
ale na tym, aby go odpowiednio przyjąć.
– Sun Tzu, Sztuka wojny*

*Pięciu na jednego,
Jeden na pięciu,
Nikt nie wyjdzie stąd żywy.
– Jim Morrison, Five to One*

*A co, jeśli rzeczy, które robię, by przeżyć,
zabijają wszystko to, co kocham.
– Bruce Springsteen, Devils and Dust*

WARSZAWA

24 CZERWCA 2019 ROKU

GODZ._9.04

Chłopak ma może piętnaście lat. Jedną słuchawkę w uchu, drugą obraca między palcami. Denerwuje się i nie potrafi tego ukryć. Pochyla się nad siedzącą kobietą, która coś do niego mówi. Nie słyszc słów, ale z mowy ciała łatwo wyczytać, że nie jest to nic przyjemnego. Gdyby mógł, wsunąłby drugą słuchawkę do ucha, ale ma na tyle instynktu samozachowawczego, że tylko bawi się nią, czekając, aż matka, chyba matka, przestanie mówić. Ona też jest zdenerwowana. Na kolanach kurczowo trzyma czarną skórzaną teczkę. Palce prawej dłoni wbija mocno w skórę, która ugina się pod ich naporem. Zostaną ślady. Na pewno zostaną ślady. Ludzie często to robią. Nieświadomie przestają panować nad emocjami, przenosząc na przedmioty to, co w sobie noszą.

Na siedzeniu po drugiej stronie siedziała dziewczyna. Ciut starsza od chłopaka ze słuchawkami. Miała na sobie obcisłą bluzkę, która podkreślała kształt ciała i piersi. Za pasek obcisłych džinsów włożyła iPhone'a. Słuchała muzyki, delikatnie kołysząc się do jej rytmu. Wystarczyło jedno spojrzenie w jej zmrużone oczy, by domyślić się, że w przeciwieństwie do chłopaka nie miała żadnych zmartwień. Uśmiechała się, a muzyka w jej uszach musiała grać na tyle głośno, że nie zwracała uwagi na to, co mówią inni.

Za to zdenerwowana matka wadziła mężczyźnie, który siedział obok niej. Patrzył z niesmakiem na kobietę, nerwowo kręcąc głową. Zapewne gdyby był to jego syn, przylałby mu, rozwiązując w ten sposób wszystkie problemy wychowawcze. Mężczyzna miał jakieś pięćdziesiąt lat, sporą nadwagę i mocno zaczerwienione policzki, które sugerowały, że raczej nie odmawiał kieliszka. Zwłaszcza gdy nalewał go sobie sam.

Poza nimi w wagonie siedziała elegancko ubrana kobieta, która cały czas pisała coś na telefonie. Palcami wyrzucała słowa z prędkością pocisków. Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że rozmowa nie była przyjemna. Zaciśnięte usta. Wściekłość w oczach. Nikt, kto tak wygląda, nie koresponduje z kochankiem. Chyba że przyłapał go na zdradzie. Kobieta miała sportową sylwetkę, spod spódnicy wystawały opalone, umięśnione łydki. Miała na sobie kostium sugerujący, że najprawdopodobniej pracuje w jakimś urzędzie lub banku. Chyba że... Chyba że jechała na spotkanie biznesowe. Jeśli tak było, to sądząc po tym, z jaką zaciętością odpisywała na wiadomości, trudno będzie uznać je za udane. Zwłaszcza dla drugiej strony.

Na skraju ciągu siedzeń siedziała starsza pani. Pół przejścia zajmował jej wózek, w którym zapewne wozila zakupy i wszystkie dokumenty. Starsi ludzie są niereformowalni. Doskonale wiedzą, że nie należy zabierać ze sobą wszystkich ważnych dokumentów, a i tak zazwyczaj pakują je na dno swoich wózków zakupowych, jakby fakt, że nie będą mieli ich pod ręką, mógł stanowić dla nich zagrożenie.

Na końcu wagonu, na podłodze, tuż obok drzwi łączących przedziały, siedział mężczyzna. Długie, tłuste włosy i gęsta broda skutecznie uniemożliwiały określenie jego wieku. Mógł równie dobrze mieć pięćdziesiąt lat, jak trzydzieści. Jedno było pewne – był bezdomny. Mimo że na zewnątrz było ciepło, mężczyzna miał na sobie kilka warstw ubrań. Ponieważ nikt nie usiadł obok niego, można było się domyślić, że roztacza wokół siebie niezbyt przyjemną woń. Zapach zmarnowanego życia, rozczarowania i smutku. Nikt nie lubi tego zapachu, bo uświadamia on, jak niewiele dzieli szczęście od upadku. Jak krucha jest granica między „mam wszystko” a „jestem nikim”, człowiekiem, od którego odruchowo odwracamy wzrok, gdy przypadkowo spotykamy go na ulicy. Bezdomnych lepiej nie widzieć. Tak łatwiej jest wmówić sobie, że nigdy nie podzielimy ich losu. Mężczyzna trzymał w dłoniach wysłużony egzemplarz *Anny Kareniny*. Smutna powieść w dłoniach smutnego człowieka. Książka pełna była zakładek, które wystawały spod rozpadającej się okładki.

Przy drzwiach stał może dwudziestopięcioletni mężczyzna z tatuażem na udzie. Tani tribal, który zapewne nic, ale to nic nie miał wspólnego z żadnym plemieniem. Miał wyglądać. Choć do tego przydałoby się ciut więcej mięśni. Mężczyzna trzymał się poręczy i wpatrywał się w ruchomą przestrzeń za drzwiami.

Po drugiej stronie wagonu, dokładnie naprzeciwko Bezdomnego, siedziałam ja. Na głowie czapeczka z daszkiem mocno nasunięta na oczy. Włosy związałam w kucyk. Miałam na sobie bluzę z długimi rękawami. Mimo że zapowiadano na dziś upały, bluza była potrzebna. Praktyczna. Ludzie zapamiętują drobne szczegóły. Groźne spojrzenie, splunięcie na podłogę, logotyp na koszulce, kolczyk w nosie. I tatuaże. W moim przypadku bluza idealnie zakrywała wszystko, co miałam wytatuowane, a o tej porze jeszcze nie rzucała się tak bardzo w oczy. Gdybym siedziała w metrze jakieś dwie godziny później, zapewne miałabym na sobie białą, pospolitą koszulę. Do bluzy ciemne spodnie, szara koszulka. Zero logotypów. Zero czegokolwiek, co mogłoby sprawić, że ktoś zwróci na mnie uwagę. W uszach miałam bezprzewodowe słuchawki, w których Charles Mingus grał swoją wersję *Laury*. Standard jazzowy skomponowany przez Davida Raskina. Jedna z tych żarliwych ballad, przy których serca nawet największych twardzieli pękają na pół, krwawiąc obficie. Laura. Tajemnicza, piękna kobieta, która została zamordowana, by nagle powrócić z za grobu. Przynajmniej tak było w filmie Otto Premingera, do którego powstała. Tajemnicze kobiety wracają z za grobów. Coś o tym wiedziałam.

W przeciwieństwie do dziewczyny słuchającej muzyki nie poruszałam się w rytm pulsującego basu Mingusa. Starłam się być nieruchoma. Niezauważalna. Tygrysy w poszukiwaniu ofiary potrafią przejść ponad sto pięćdziesiąt kilometrów, a potem kilka godzin czekać nieruchomo w ukryciu, aż ta w końcu się zjawi. Nigdy wcześniej tak o sobie nie myślałam, ale w tym, co robiłam, było coś zwierzęcego. Przejechałam ponad trzysta kilometrów, by dostać się do Warszawy. Zabiłam po drodze cztery osoby. Każda z nich zasłużyła na śmierć. Czekałam nie kilka godzin, ale ponad pół roku. Z ukrycia uczyłam się zwyczajów mojej ofiary.

Czekałam.

Patrzyłam.

Czekałam.

Był tam. Drzwi za Bezdomnym. Przez szybę widziałam jego ochroniarzy. Zawsze dwóch, zawsze tych samych. Mogłam zabić go wiele razy, nie musiałam czekać aż do dziś, ale coś wewnątrz mnie podpowiadało mi, że będę widziała, kiedy nadejdzie odpowiedni moment.

Stefan Terlecki.

Wszystko miało skończyć się na Terleckim. Wszystko od niego się zaczęło. Dawno, dawno temu, w czasach, kiedy miałam dziesięć lat i nie miałam pojęcia o jego istnieniu. W 1987 roku Terlecki miał zginąć. Ale nie zginął. Za to dwadzieścia lat później przez niego zginął mój przyjaciel. Jedyne człowiek, który się mną opiekował. Dwadzieścia lat później zginie Terlecki. I tak się nażył.

Patrzyłam.

Ochroniarz, którego głowę widziałam, ma ksywę Tancerz. Piętnaście lat w GRU. Dziesięć lat u Terleckiego. Bezwzględny zabójca. Być może mogłabym go pokonać. Jestem lżejsza, zwinniejsza, ale walka z nim sprawiłaby, że Terlecki uciekłby w towarzystwie drugiego ochroniarza, a potem zapewne zapadłby się pod ziemię. Tancerz. Miałam dla niego w kieszeni strzykawkę z botuliną. Klasyczny jad kiełbasiany. Tysiące kobiet widzą w nim przyszłość i nadzieję na lepszy wygląd, za to stężona dawka mogłaby zabić niemal całe życie na Ziemi. Wystarczy tylko, że otrę się o Tancerza w tłumie. Małeńkie ukłucie, którego nawet nie poczuje. Może nawet spojrzy mi w oczy. Choć będzie to mgnienie oka. Umieranie zajmie mu około dwóch sekund.

Drugi ochroniarz był zwyczajnym żołnierzem. Nawet nie zauważy, kiedy podejść i pchnięciem noża przetnę mu tętnicę udową.

Potem zostanie Terlecki.

Ten, którego nie widziałam.

Ten, przez którego stałam się tym, kim jestem.

Pozbawioną ludzkich odruchów morderczynią. A przynajmniej za taką uznawali mnie moi wrogowie.

Jeszcze trzy przystanki.

Zawsze wysiada na Raławickiej.

To jego poniedziałkowy rytuał. Być bliżej ludzi. Przejechać się metrem. Wejść do mieszkania. Wyjść z niego. Wrócić już samochodem. Jeden jedyny raz, kiedy wchodził między ludzi.

Czekałam. Głos w głośniku poinformował, że następną stacją będzie Metro Politechnika.

Około sześciu minut. Potem dwie minuty w przejściu. Gdy ruchome schody będą wznosić się na powierzchnię, wywiozą na nią ciało Terleckiego.

CZĘŚĆ I

CZTERY GODZINY WCZEŚNIEJ
WALK LIKE A MAN

ROZDZIAŁ 1

GODZ._5.05

Dzień dobry, Warszawo! Mówi do was Paweł Tkacz, słuchacie poranka w Radiu WSK. Będę towarzyszył wam w tym trudnym lądowaniu w nowym tygodniu. Dziś słoneczną i suchą pogodę będzie zapewniał wyż rozciągający się nad Morzem Bałtyckim. Zapowiadana najwyższa temperatura w stolicy to dwadzieścia siedem stopni! Nie wychodźcie bez kapeluszy! A swoją drogą, jak wam minął długi weekend? Wczoraj na trasach dojazdowych zarejestrowano największe korki od dekady. Znaczący, że warszawiacy wrócili. Wyspani czy nie? Ja, mówiąc szczerze, niezbyt, ale powiem wam, co najlepiej działa na pobudkę! Gorąca kawa oraz Frankie Valli i The Four Seasons! Dzień dobry, Warszawo. A teraz Walk Like a Man!

GODZ._5.06

Wojciech Mitka czekał w kabinie dostawczej „kaczki”, czyli mercedesa 310, z paką wyładowaną kwiatami, na swojego syna Mikołaja. Dzieciak miał szesnaście lat, właśnie zaczął wakacje, a jeśli chciał jechać z kumplami pod namiot, musiał przez dwa tygodnie pomagać ojcu w rozwożeniu towaru. Prosty układ. Praca w zamian za przyjemność. Dzieci należy uczyć odpowiedzialności, inaczej będą myślały, że w życiu wszystko dostaje się za darmo. A tak nie jest. Na luksus trzeba zapracować, a Wojciech wiedział o tym doskonale. Zanim przejął hurtownię

kwiatów po ojcu, pracował dla niego blisko dwadzieścia lat. I pewnie pracowałby jeszcze dłużej, gdyby ojca nie zabrał nagły zawał. Zmarł, wyładowując skrzynkę holenderskich tulipanów, tuż przed szóstą rano w Dzień Kobiet. Matka Wojciecha, zamiast płakać i rozpaczać po mężu, powiedziała, że był to prezent od Boga, Wojciech senior bowiem miał ciężką rękę, a ona wiedziała o tym najlepiej. Nie była w stanie zliczyć, ile razy ukrywała siniaki pod grubą warstwą pudru. On także nie rozpaczał, ale z powodów zupełnie innych niż matka. Jemu śmierć ojca otwierała zupełnie nowe możliwości. Stary wyznawał zasady dawnej szkoły biznesu. Zero kredytów, stali dostawcy, zero ryzyka. Wojciech chciał inaczej. Jeśli miał babrać się w sadzonkach i kwiatach, chciał sprowadzać je z Chin, mieć zaplecze finansowe i zalać rynek. Być numerem jeden. I prawie mu się to udało. Prawie, bo wdrażanie nowego systemu dystrybucji zajmowało o wiele więcej czasu, niż myślał, więc na razie musiał jak zawsze rozwozić towar po klientach. Zazwyczaj robił to któryś z jego kierowców, ale dziś po długim weekendzie wszyscy poprosili o wolne, on zaś uznał, że wykorzysta ten czas na uczenie młodego. Chłopak musi zająć się czymś pożytecznym, a nie tylko niszczyć kolejne pady, grając na PlayStation.

Czekając na Mikołaja, palcami wybijał na kierownicy rytm piosenki. „Kiedyś to były przeboje – pomyślał. – Dało się je nucić, nogi same tańczyły, nie to, co teraz”. Czasami Wojciech podsłuchiwał dźwięki, jakie płynęły z pokoju Mikołaja. Były koszmarnie. Naładowane elektroniką i głosami rodem z jakiegoś koszmaru. Nie, stanowczo dwudziesty pierwszy wiek ze swoją muzyką nie należał do jego ulubionych.

– Mikołaj!!! – wrzasnął, a echo niosło głos w pustym garażu. – Na Boga, chłopaku!

Przez chwilę nikt nie odpowiadał. Wojciech robił się coraz bardziej niecierpliwy. Musieli dotrzeć do kwaciarni na Solcu, potem pojechać do Wilanowa. Najszybciej będzie mostem Śląsko-Dąbrowskim, potem tunel. W ten sposób zawsze unikał wczesnoporannych korków, kiedy warszawiacy traktowali swoje samochody jak przedłużenie sypialni i jechali tak wolno, jak tylko to było

możliwe. Oczywiście jeśli Mikołaj dalej będzie się tak guzdrał, to wyjeżdżając z Solca, wpadną w korek niemal aż po sam Wilanów.

– Ru... – miał krzyknąć, ale nie dokończył.

– Jestem – przerwał mu głos nastolatka.

Mikołaj miał na sobie pomarańczową rozpinaną bluzę, koszulkę z jakimś brodatym facetem, podobno z popularnego serialu, i błękitne dżinsy.

– Mogłeś założyć ciemne spodnie. Ziemią się wybrudzisz – zauważył ojciec.

– Dam radę – odparł chłopak, dźwigając z podłogi w garażu skrzynki z sadzonkami.

Wojciech spakował na tył samochodu cięte kwiaty, zostawiając dla syna ciężkie skrzynki z ziemią i rośliny ogrodowe. Skoro chce wakacji, niech na nie zapracuje.

Kwadrans po piątej Mikołaj usiadł na fotelu pasażera. Na jego błękitnych dżinsach pojawiła się pierwsza czarna plama po skrzynce.

– Dobra, to jedziemy – powiedział Wojciech.

ROZDZIAŁ 2

GODZ._5.22

Ten poniedziałek będzie nie tylko słoneczny, ale też i niezwykle dla warszawiaków ważny. Pamiętajcie, że to dziś? I nie mówcie mi, że nie wiecie, o czym mowa. Tak! To dziś o dziewiątej rano prezydent naszej stolicy Grzegorz Bolesławski zainauguruje na stacji Metro Politechnika odwiert trzeciej linii metra! Tarcza TBM 1 o nazwie „Karolina” zostanie wprowadzona przez szyb i powoli zacznie wiercić tunel w stronę Dolnego Mokotowa. Projekt budowy trzeciej linii metra zakłada ukończenie jej w roku dwa tysiące dwudziestym trzecim. Wiecie, tarcza TBM waży – uwaga, uwaga – czterysta ton! Nie chciałbym, żeby kiedykolwiek upadła mi na nogę. A na razie, kochani, posłuchajmy starego dobrego Jamesa Browna. Wspólnie z Dee Felice Trio. Sunny w Radiu WSK. Niech to będzie dobry poniedziałek.

GODZ._5.23

Nie zmrużył oka. Całą noc analizował stare mapy kanalizacji miejskiej. Choć od pół roku nie miał już w zasadzie nic do powiedzenia zarówno w kwestii wytyczania linii metra, jak i inauguracji odwiertu, Tytus Dobroczyński nie miał zamiaru spocząć na laurach i do ostatniej chwili rozpracowywał każdą możliwą komplikację. W końcu miasto płaciło mu za analizę potencjalnych niebezpieczeństw, na jakie mogłaby natrafić tarcza TBM, i choć jego przełożeni uznali, że trasa tuneli wyznaczona jest perfekcyjnie, to chciał być pewien.

W zasadzie to do 18 czerwca nie miał żadnych wątpliwości. A potem na urodzinach Kasi, jego przyszłej żony, jej dziadek od niechcienia rzucił żart, że przekopując się przez Mokotów, zapewne trafią na jakiś podziemny cmentarz i tyle będzie z tego całego metra.

Kiedy robiono odwierty pod drugą linię, trafiono na poniemiecką bombę ważącą 250 kilogramów. Znalaziono ją na Bródnie, gdzie nikt nie spodziewał się pozostałości po wojnie. Ale w centrum? Pacyfikacja Mokotowa podczas powstania warszawskiego była zaciekle i okrutna, ponoć nie tylko dlatego, że powstańcy bronili się do upadłego, ale, jak głosiła plotka, mieli ukryty w kanałach arsenał broni, który Niemcy chcieli za wszelką cenę zdobyć. Oczywiście to mogła być bajka, miejska legenda, w końcu w drugiej połowie września powstanie dogorywało, ale jeśli istniały jakieś kanały, o których po nalotach zapomniano... Gdyby „Karolina” przypadkiem wjechała w taki arsenał, w powietrze wyleciałoby centrum miasta. Ofiary liczono by w setkach tysięcy, a odpowiedzialność za to spadłaby tylko na jedną głowę. Jego. Miał trzydzieści lat, planował ślub i karierę w Ratuszu. Na komfort ludobójstwa nie mógł sobie pozwolić. Nawet jeśli większość ludzi doprowadzała go do szewskiej pasji. Dlatego wygrzebał z archiwum plany kanalizacji z 1938 roku i metr po metrze sprawdzał je, porównując z tymi obowiązującymi dziś.

Kasia się wściekła. Mieli jechać do Mikołajek na imprezę jej kuzynki Hanki. Mieli. W końcu w Boże Ciało wsiadła w samochód i pojechała sama. Od tamtej pory nie odbierała telefonów od Tytusa. Co zresztą nie było zbyt skomplikowane, bo zadzwonił do niej tylko raz, wychodząc z założenia, że on potrzebuje się skupić, a trajkotanie narzeczonej o tym, jak po raz kolejny jego praca przeszkadza im w życiu, tylko wybijałoby go z rytmu.

Warszawa w przeciwieństwie do takiego Londynu nie była głębokim miastem. Tam linii metra było jedenaście, łącznie miały dwieście siedemdziesiąt przystanków, a najdłuższa, Central Line, ciągnęła się aż siedemdziesiąt cztery kilometry. To były dane oficjalne. Nieoficjalne mówiły o setkach porzuconych tuneli, stacjach zapomnianych przez architektów i pracowników. No i co

najważniejsze, tam ponad dwieście kilometrów metra ciągnęło się ponad dwadzieścia metrów pod ziemią. W Warszawie jedna, dosłownie jedna stacja była na głębokości około trzydziestu metrów. Reszta wykopana była na poziomie między pięć a osiem metrów. Kanały zaś sięgały pięciu metrów pod ziemią.

Zdrowy rozsądek mówił, że nawet jeśli w trakcie budowy trafiliby na stare kanały, to prawdopodobieństwo, że drgania powodowane przez pracę TBM wyrządzą jakieś szkody, było równe zeru. Tyle że zdrowy rozsądek nie zakładał, że w podziemiach mogą znajdować się zapomniane przez Boga i weteranów amunicja, trotyl i inne rzeczy, które przydawały się warszawiakom w 1944 roku. Eksplozja na siedemdziesiątą piątą rocznicę powstania – to byłby kolejny koszmar kończący karierę nie tylko jego, ale i połowy Ratusza. Dlatego od 19 czerwca dzwonił jak szalony do prezydenta, prosząc go o przełożenie otwarcia budowy, aż zdobędzie stuprocentową pewność. Usłyszał tylko zapewnienie, że jedyna katastrofa, jaka ich czeka, to wizerunkowa, jeśli nie odpałą budowy na czas.

Spodziewał się tego. Bolesławski miał inaugurować budowę w marcu, bezustanne przekładanie przez Ratusz daty sprawiło, że rządząca w Polsce opozycja polityczna prezydenta zaczęła nazywać go „Bolesławski”. Przed Grzegorzem jeszcze trzy lata kadencji i liczył na to, że zarządzanie stolicą będzie dla niego przepustką do rządzenia Polską, dlatego budowa metra musiała ruszyć. I musiała być sukcesem.

– Chciałbym – odezwał się nagle Tytus, słuchając śpiewającego Jamesa Browna. – Chciałbym, żeby te ciemne dni były już za mną.

Brown snuł opowieść o tym, jak miłość rozświecła świat, a Tytus porównywał linie kanalizacyjne biegnące w okolicach tunelu średnicowego z tymi, którymi dziś odprowadzane są nieczystości z centrum miasta. Przez cały czas miał wrażenie, że czegoś nie widzi. Ale nie miał pojęcia czego.

Czerwony dostawczy mercedes minął punto Edyty Wdowiec tuż przy wjeździe do tunelu na Wisłostradzie. Samochód pędził tak szybko, że aż podskoczyła na siedzeniu, gdy ją minął.

– Debil – rzuciła pod nosem.

Była zmęczona i nie miała na nic ochoty. Zwłaszcza zaś na pracę od szóstej rano w delikatesach Euro. Stała tam na kasie od 2016 roku. Wcześniej pracowała w sieci Carrefour, ale Euro płaciło dwa razy lepiej. To wciąż nie były pieniądze, dla których warto zabić, ale przynajmniej w końcu mogła coś odłożyć. Miała dwadzieścia cztery lata. Za maksymalnie dwa lata zamierzała otworzyć własny sklep. Może razem z witryną w internecie. Zakupy dla tych, którzy cenią komfort małych, osiedlowych sklepów. Norbert, chłopak, z którym spotykała się od pół roku, mówił, żeby przenieśli się do Dover, gdzie mieszkała jego siostra. Socjal plus praca w hotelu dawały jej większy dochód niż to, co razem zarabiali w Polsce. Tyle że siostra Norberta miała trójkę dzieci, na które pobierała świadczenia, i męża, który na lewo dorabiał w porcie. A Edyta nie chciała niczego ani na lewo, ani od państwa. Chciała mieć coś swojego. Za swoje. Delicje Edyty. Tak miał nazywać się jej sklep. Norbert śmiał się, że delicje ma między nogami, na co zawsze odpowiadała, że jeśli chce jeszcze kiedyś ich skosztować, powinien natychmiast przestać żartować. Przeszawał. Lubiła, gdy kosztował jej delicji. Miał delikatny język i zwinne palce. Nie chciała z nich rezygnować. Zresztą to przez to całonocne kosztowanie była tak wymęczona. Choć przecież mówiła mu, że rano idzie do pracy.

Na myśl o tym, co robiła w nocy, odruchowo przesunęła ręką po udzie. Uśmiechnęła się do siebie, po czym lekko przygryzła wargi.

– Och... – powiedziała do siebie rozmarzonym głosem.

W radiu piosenka, która zaczynała się jak ballada, zamieniła się w dynamiczny kawałek z kobiecym głosem zawodzącym *I love you*. Ręka Edyty zaczęła wybijać rytm tak mocno, że dziewczyna nie zwróciła nawet uwagi na mijający ją po lewej stronie motocykl.

GODZ._5.25

Kawasaki ninja było marzeniem Marka, odkąd zrobił prawo jazdy na motocykl. Odkładał na ZX-10R równy rok. Przez ten czas jadł głównie zupki chińskie, nie chodził na imprezy i brał nadgodziny w straży miejskiej tylko po to, by w końcu usiąść na siedzisku ninji. Oczywiście mógł pójść na skróty. Mógł przytulić kilka kopert, jak robili to jego koledzy, ale ojciec nauczył Marka, że bycie uczciwym na dłuższą metę opłaca się o wiele bardziej niż kombinowanie. Poza tym kiedy kupuje się coś za własne, uczciwie zarobione pieniądze, cieszy to o wiele bardziej niż kradzione.

I w tym ojciec się nie mylił. Zielona ninja była jego od tygodnia, a on wciąż cieszył się nią tak samo jak pierwszego dnia, gdy usiadł za jej kierownicą.

Wjechał do tunelu, łamiąc wszystkie ograniczenia prędkości. W okolicach przystanku Centrum Nauki Kopernik na liczniku miał dwieście dwadzieścia kilometrów.

Pochylony nad kierownicą, wsłuchując się w odgłos silnika potęgowany przez mury tunelu, nie zwrócił uwagi na dziwny metaliczny dźwięk, jaki rozległ się przed nim. Ale nawet gdyby go usłyszał, prędkość, z jaką pędził, nie pozwoliłaby mu zareagować.

GODZ._5.25

James Brown wysokim głosem puentował piosenkę *Sunny*, gdy Mikołaj wcisnął w radiu przycisk zmieniający stację.

– Ej! – krzyknął Wojciech Mitka. – Nie w takim momencie!

Próbował odsunąć rękę syna od panelu radia, ale w tej samej sekundzie usłyszał huk. Obaj spojrzeli na jezdnię. Po prawej stronie powinni mijać przystanek autobusowy. Powinni, wiata bowiem wydawała się poruszać, jakby jakaś siła uniosła ją metr nad ziemię, a potem rzuciła w ich stronę.

Wojciech odbił kierownicą w lewo. Sadzonki i kwiaty załadowane na tył mercedesa zaczęły się wywracać.

– Kurwa mać – zaklął Wojciech, po czym spojrzał na syna.

Pomarańczowa bluza Mikołaja robiła się czerwona, a błękitne dżinsy – brudnoszare. Ułamek sekundy później Wojciech zobaczył, jak głowa jego syna toczy się po desce rozdzielczej. W tej samej chwili pręt wyrwany z przystankowej wiaty, który obciął głowę Mikołaja, przebił się przez środek twarzy Wojciecha. Martwe ciało puściło kierownicę.

GODZ._5.26

Ostatnią rzeczą, o jakiej pomyślał Marek, zanim dostawczy mercedes pojawił się na jego drodze, była kanapka z żółtym serem. Miał ochotę na kanapkę z żółtym serem i majonezem. Pół sekundy później jego nowa ninja uderzyła w bok mercedesa. Prędkość, z jaką pędził, wyrzuciła go z siedzenia. Gdy uderzył o asfalt siedem metrów dalej, już nie żył. Jego serce pękło od impetu uderzenia.

GODZ._5.26

– To niemożliwe – wyszeptała Edyta.

Jej stopy uznały jednak, że kula ognia, która jeszcze niedawno była nowym motocyklem kawasaki, jest jak najbardziej realna, i wcisnęły pedał hamulca.

Za późno.

Płonący wrak motocykla najpierw odbił się od maski punto, a potem wbił się przez przednią szybę od strony kierowcy, zamieniając zmęczone ciało Edyty Wdowiec w krwawą breję połamanych kości i przerwanych tętnic.

Edyta nie mogła już słyszeć, jak jadące za nią samochody hamują. Nie czuła, jak coś uderza w jej bagażnik. I nie zauważyła, że do środka resztek po jej punto

wpadło ciało siedemdziesięcioletniego pana Zygmunta, który dorabiał do emerytury w Arkadach Kubickiego jako strażnik pobierający opłaty za wjazd.

ROZDZIAŁ 3

GODZ._5.35

Kochani, coś fatalnie zaczął się ten tydzień w Warszawie. Właśnie dostaliśmy informację, że w tunelu Wisłostrady doszło do karambolu, w którym uszkodzonych jest co najmniej sześć samochodów. Przejazd od strony Żoliborza do centrum jest kompletnie wyłączony, do czasu aż służby porządkowe uporają się z sytuacją. Kierowców czeka dziś naprawdę ciężki dzień. Słuchacie Radia WSK. A teraz dla was niesłusznie zapomniany zespół The Remains i ich największy przebój Don't Look Back.

GODZ._9.06

Stres. Według specjalistów z WHO jest chorobą cywilizacyjną XXI wieku. Przez stres zwiększa się wydzielanie adrenaliny przez nadnercza, wzrasta ciśnienie krwi, przyspiesza akcja serca. W organizmie wystawionym na bezustanne działanie stresu wzrasta poziom glukozy we krwi, hamowane są procesy trawienne. Nadwaga? Tak, to jeden z objawów długotrwałego stresu. Podobnie jak choroba wieńcowa, zawał serca, wrzody. Stres mobilizuje organizm do działania. Stres też go zabija. Ciało człowieka staje się dla siebie wrogiem, którego należy zniszczyć za wszelką cenę.

Siedząc w wagonie metra, byłam spięta. Nie żeby to było uczucie, którego nie znam. Poziom stresu nie opadał u mnie od wielu miesięcy. Co ja mówię – od lat.

Dwudziestu lat. Tyle czasu żyłam pod innym nazwiskiem w innym mieście. Prowadziłam życie nauczycielki i próbowałam zapomnieć. Czasami mi się udawało. Czasami zapominałam na długie tygodnie, miesiące. Wtedy wydawało mi się, że zawsze byłam prowincjonalną nauczycielką w prowincjonalnej szkole. Uczyłam krnąbrne nastolatki, kłóciłam się z ich rodzicami... Miałam swoje tajemnice. Każdy je ma. I słabości. A potem świadomość wracała, niczym koszmar, o którym chce się zapomnieć tuż po przebudzeniu, ale on cały czas kołata w tyle głowy i sprawia, że świat staje się nierealny i wrogi. Pamiętałam, co mi zrobili. Co mi zabrali.

Serce biło mi jak szalone. Mięśnie napięte do granic. Byłam bombą, którą zdetonować może tylko krew.

– Szanowni państwo, w związku z uroczystym otwarciem budowy trzeciej linii metra skład musi poczekać na zielone światło z centralnej dyspozytorni. Przepraszamy za niedogodność w podróży – rozległ się głos w wagonie.

Skład zatrzymał się w środku tunelu.

Kurwa, kurwa, kurwa – zaklęłam w myślach.

Byłam tak skoncentrowana na Terleckim, że zupełnie, ale to zupełnie zapomniałam o świecie dookoła. Budowa trzeciej linii metra – w dupę. Napięcie opadało. Czułam, jak szczęki powoli przestają się zaciskać. Ramiona minimalnie opadają. Organizm przeszedł z trybu bojowego w tryb oczekiwania.

Mężczyzna z tribalem kopał drzwi. Matka wpadła w panikę.

– Jak się spóźnisz! Jak się spóźnimy!... – krzyczała.

Chłopak nie odpowiedział, za to ostentacyjnie wsunął słuchawkę do ucha. Ubrana jak na spotkanie biznesowe atletka głośno wypuściła powietrze z płuc. Pewnie podobnie jak ja czekała na walkę. Jej miała odbyć się przy stoliku kawowym albo w oszklonym biurze. Moja na ruchomych schodach. W jej walce bronią były słowa, w mojej nóż Gil Hibben. Pozbyć się Tancerza, zabić ochroniarza, a potem pociąć Terleckiego. Tak, żeby wiedział, widział, ale tak, żeby nikt poza nim się nie zorientował. Cała operacja powinna potrwać nie dłużej niż

siedem sekund. Tyle czasu będę miała od unieszkodliwienia Tancerza do śmierci Terleckiego. Siedem sekund. Pozornie tyle, co nic. Kiedy jednak od sekundy zależy twoje życie, te siedem zamienia się w wieczność. A o wieczności wiedziałam sporo.

Tyle że teraz musiałam czekać.

Dlaczego nie zrobiłam tego tydzień temu? Bo padał deszcz. Mokra nawierzchnia wydłuża czas reakcji. Możesz mieć na stopach najlepsze buty na najmocniej przylegającej do ziemi gumowej podeszwie, ale woda rządzi się swoimi prawami. Jeśli możesz wyeliminować z otoczenia elementy, które mogą przeszkodzić w wykonaniu misji – eliminuj je. Niby tak, ale dlaczego nie sprawdziłam terminu pieprzonej inauguracji trzeciej linii metra? Może dlatego, że gdy lata temu uciekałam z Warszawy, ledwo oddano pierwszą. Życie na prowincji zmienia percepcję. Człowiek zapomina o takich rzeczach jak metro, rozbudowy sieci i takie tam. Oczywiście mogłam się tak okłamywać. Mogłam sobie wmawiać, że to efekt nawyków, ale prawda była zupełnie inna. Po prostu dałam dupy. Tak bardzo skupiałam się na celu, że pominęłam coś oczywistego – uwarunkowanie transportu. Durna pizda.

Mężczyzna czytający *Annę Kareninę* wyjął z kieszeni flamaster i zaznaczył nim jakiś cytat. Patrzył na książkę z taką czułością, jakby zaczarowane w niej było coś, za czym tęsknił, a nie było mu to dane. Miałam wrażenie, że zaraz ją pocałuje. Jakby była największą miłością jego życia. W moich słuchawkach, zupełnie jakby muzyka reagowała na rzeczywistość, rozległy się pierwsze takty *Invisible Lady*, przepięknej ballady skomponowanej przez Charlesa Mingusa na płytę *Tonight at Noon*. Czułość. To było to, co widziałam w oczach tego mężczyzny.

Nagle Bezdomny oderwał wzrok od książki. Jakby czuł, że na niego patrzę. Spoglądaliśmy sobie w oczy. Nie odwracał wzroku. Przeciwnie. Miałam wrażenie, że próbuje zajrzeć w głąb mnie. Nie spoglądaj w otchłań... Jakoś tak to szło. A może tylko się bronił. Może spoglądanie w oczy ludziom, którzy zawsze od takich jak on odwracają wzrok, było odruchem obronnym, sposobem na zawstydzenie i odciągnięcie uwagi. Uniosłam kąciki ust w grymasie uśmiechu

i odwróciłam wzrok. Nie chcę, żeby mnie zapamiętał. Jeden błąd z budową wystarczył. Lepiej nie pakować się w kolejne.

Tancerz stał nieruchomo.

Tydzień temu padał deszcz, a dwa tygodnie wcześniej nie miałam trucizny. Miesiąc wcześniej wyjęcie noża zajmowało mi pięć sekund. Wszystko ma swoje miejsce i swój czas. To musiało być dziś. Czekałam na ten moment tak długo, że stanie w ciemnym tunelu było jak mrugnięcie okiem.

Przesunęłam dłonią po zawieszonym pod bluzą nożem. Był idealnie wyważony. Ostrze było tak ostre, że chwilami bałam się, że przetnie syntetyczną pochwę z cordury.

Dziewczyna ze słuchawkami zauważyła, że pociąg stoi, bo zaczęła nerwowo rozglądać się po wagonie. Może cierpiała na klaustrofobię. Sam przejazd metrem nie był problemem, za to stanie w tunelu już tak. A może po prostu zamyśliła się, była w jakimś innym, przyjemnym miejscu, a potem nagle dotarła tam czerń spod ziemi i próbowała przekonać się, że nie jest Eurydyką porwaną w ciemność przez Hadesa.

ROZDZIAŁ 4

GODZ._6.37

Słyszeliście, podobnie jak i ja. Koszmar tuż obok Centrum Kopernika. Według tego, co podają służby, osiem osób nie żyje. Dawno w Warszawie nie było tak koszmarnego poranka. A co poza tym? Jarosław Kaczyński – jak to mówią – rozmontował partię Kukiz’15. Aż siedmiu posłów opuściło ugrupowanie Pawła Kukiza. No cóż... Ksiądz proboszcz już się nie zbliża... albo właśnie się zbliżył. Tak czy siak, nie chciałbym być w skórze byłego rockmana, który wdał się w romans z polityką. Na otarcie łez, panie Pawle, od Radia WSK dla pana Riot on Sunset Strip i legendarni The Standells.

GODZ._6.38

Nigdy nie nastawiała budzika na pełne godziny. To było takie jej dziwactwo. Jedno z wielu, jak twierdził były mąż, ale przynajmniej to nie było szkodliwe. Budzik w elektronicznym radiu stojącym na półce włączał audycję. Sypialnię wypełnił jazgot sprzężonych gitar.

– Co, do... – warknęła Anna Kwiecińska, zrywając się z łóżka.

Jeśli było coś, czego szczerze nienawidziła, to była to muzyka rockowa. Dźwięk gitar doprowadzał ją do furii pomieszanej z rozpaczą. Podniosła się z pościeli. Długim skokiem dopadła radia. Wcisnęła przycisk uruchamiający płytę

CD. Po chwili sypialnię wypełniły dźwięki *Va, pensiero* z *Nabucco* Verdiego. Kwiecińska uśmiechnęła się szeroko. Wyciągnęła ręce nad głowę i mocno się przeciągnęła. Kości zachrobotwały w rytm chóru żydowskich niewolników. Może i nie była wielką znawczynią opery i jej gust oscylował dookoła gatunkowego *the best of*, ale i tak to, co wydobywało się z kolumn, miało więcej klasy i gracji niż wszystkie akordy gitarowe świata. Gdyby tylko udało się jej ostatecznie przekonać szefa, że dla prestiżu miasta, było nie było jednej z najważniejszych stolic europejskich, lepsze byłoby zerwanie umów z festiwalami tych szarpidrutow i zamiast tego wypełnienie dla przykładu placu Defilad wielbicielami Verdiego. Ale na to liczyć nie mogła. Prezydent twierdził, że musi być bliżej ludzi, a ludzie, ci zwyczajni ludzie, mieli prosty gust.

Va, pensiero przeszło w *Di quella pira* z *Trubadura* Verdiego, a Anna sięgnęła po telefon. Kładąc się wczoraj do łóżka, wpięła go do ładowarki leżącej na biurku.

Osiemnaście nieodebranych połączeń.

– Co??? – szepnęła do siebie, sprawdzając, kto dzwonił.

Na wyświetlaczu widniało tylko jedno imię i nazwisko. Kazimierz Obłucki.

– Nie, nie, nie... – powtarzała na głos.

Obłucki był szefem całego pionu infrastruktury miejskiej. Jeśli dzwonił do niej, kobiety odpowiedzialnej za wdrożenie budowy trzeciej linii metra, znaczyło to coś bardzo złego. Bo na to, że się w niej zakochał, nie miała co liczyć. Obłucki miał sześćdziesiąt pięć lat i jedyną namiętnością w jego życiu były rekonstrukcje układu ulic w Warszawie sprzed wojny.

Osiemnaście razy.

Szlag.

– Kwiecińska – wyrzuciła z siebie, gdy usłyszała w słuchawce odebrane połączenie.

– Widzę – odparł Obłucki.

– Dzwonił pan. – Postanowiła być uprzejma i nie zareagowała na zaczepkę. – Przepraszam, ale spałam.

– To się pani nie przemęcza. Za ile?

– Dwie godziny z hakiem.

– No właśnie, za dwie godziny z hakiem odpala pani swój projekt i śpi jak zabita?

Irytował ją, ale nie mogła dać się sprowokować. Obłucki jako w zasadzie jej przełożony od początku był przeciwnikiem inwestycji. Uważał, że centrum miasta i tak jest już przeładowane i blokowanie go kolejnymi budowami, a w dalszej perspektywie podziemnymi tunelami przyniesie więcej szkody niż pożytku. Oczywiście nie śmiał przeciwstawić się woli prezydenta, dla którego rozbudowanie infrastruktury miejskiej i odciążenie miasta z korków było kartą przetargową dającą wygraną w kolejnych wyborach, ale gdy tylko mógł, to za jego plecami wyrażał swoją cichą dezaprobatę.

– Skoro spała pani, to nic pani nie wie – kontynuował.

Serce Kwiecińskiej zabiło mocniej.

– Ponad godzinę temu w tunelu Wisłostrady wydarzył się tragiczny karambol – wyjaśnił.

– Rany boskie... – Przed oczyma stanęła jej żałoba ogłaszana przez prezydenta i odwołanie otwarcia budowy.

– No właśnie. Zginęło osiem osób.

I nagle całe napięcie ją opuściło. Stres rozplynął się w powietrzu.

– Ile?

– Osiem.

– Panie Kazimierzu...

– Pani Anno. Nie dała mi pani dokończyć.

– Rozumiem, że to tragedia i wyłączone są z użytku główne drogi, ale...

– Nie dzwoniłbym do pani z taką pierdołą – warknął Obłucki.

– To z czym pan dzwoni?

– Nie daje mi pani dokończyć – upomniał ją. – Pracujące na miejscu służby nie mogły na początku dojść, co było początkiem karambolu.

– Poranek, poniedziałek, niewiele trzeba do...

– Znów pani przerywa. Więc najpierw myśleli, że to nieuwaga kierowcy, być może alkohol. Tyle że ciała dwóch ofiar, od których to się zaczęło, zostały okaleczone w sposób, który nie miał nic wspólnego z wypadkiem.

– To znaczy?

– Mieli obcięte głowy.

– To się zdarza. Prędkość, różne przedmioty. Wie pan, ciężar, Newton...

– Wiem. Znam zasady dynamiki. Problem polega na tym, że obcięcie głów najprawdopodobniej doprowadziło do wypadku, zaś pasażer i kierowca zginęli, bo wiat przystankowa dosłownie eksplodowała.

Kwiecińska zamarła.

– Jak wiata... – powiedziała po chwili.

– I tu robi się ciekawie. Nie wiemy. Coś się wydarzyło.

– Terrorysty?

– Znaczą bomba?

– Tak.

– Nie. To nie był zamach terrorystyczny, zresztą co to za terrorysta, który wysadza wiatę przystankową? Na miejscu przystanku ziele wielka dziura, a wszystko zaczęło się najprawdopodobniej od jakiegoś wybuchu w linii gazowej.

– Bzdura. Gdyby wybuchł gaz, zbieralibyśmy z gruzów pół miasta.

– Tak, ma pani rację. Kontrolujemy sieci gazowe, wydają się nienaruszone, ale coś pod ziemią wybuchło, i to w prostej linii jakieś cztery kilometry od pani imprezy.

– Od imprezy Ratusza i prezydenta – sprostowała.

– Jak zwał, tak zwał. Na pani miejscu zaczekałbym z imprezami do wyjaśnienia, co się stało.

– Sugeruje pan, że to może się powtórzyć?

– Sugeruję, że podziemna mikroeksplozja to nie jest coś, co często spotyka się w miastach, chyba że położone są na stykach płyt tektonicznych lub wulkanach.

– Rany boskie, panie Kazimierzu, napędził mi pan stracha od rana. Takie rzeczy się zdarzają. Nie ma co wpadać w panikę i cokolwiek odwoływać.

– Niech mi pani poda podobny przykład.

– Słucham?

– No gdzie coś takiego się stało?

– Była taka historia z sadzawką, która wybuchła, bo jakieś wody pod nią...

– Pomyliło się pani. To był film. *Wulkan* z Tommym Lee Jonesem. I skończył się katastrofą. Chciałem tylko powiedzieć pani jedno. W dniu otwarcia budowy, gdy będzie wpuszczać pani pod ziemię ciężki sprzęt, dziwnym trafem całkiem niedaleko coś pod ziemią eksploduje. Na pani miejscu poważnie bym się zastanowił.

– Mówił to pan prezydentowi?

– Nie.

– Dobrze. Przekażę mu. Wszystko sprawdzimy.

– Pani Anno, to miasto to jeden wielki cmentarz. Wie o tym pan Tytus, wiem ja, wie prezydent i większość mieszkańców Warszawy.

– Dobrze. Skonsultuję to i z panem Tytusem, i z prezydentem. Jeśli pana rekomendacją jako szefa jest wstrzymanie się, rozważymy to najpoważniej, jak tylko się da.

– Gdybym był naprawdę pani szefem, ta rozmowa by się nie odbyła. Oboje wiemy, że z naszej dwójki prezydent posłucha pani, nie mnie.

– To są już insynuacje, których nie rozumiem – powiedziała i rozłączyła się.

Przez moment wpatrywała się w wyświetlacz, a potem z ulgą wypuściła powietrze z płuc. Doskonale rozumiała insynuacje Obłuckiego. Prezydent jej ufał. Tak czasami się dzieje, że ludzie sobie ufają. Poza tym był jej kuzynem. Znali się, odkąd skończyli pół roku. Kiedy miał osiem lat, w ramach lekcji anatomii pokazywał jej swojego siusiaka, na czym przyłapała ich babcia. Tak, znała prezydenta. Może miał fatalny gust muzyczny, ale na bank nie zrezygnowałby z wygranych wyborów. Ona także.

– Kurwa, wulkan. W dupę se wsadź wulkan – powiedziała, zrzucając z siebie koszulę nocną.

GODZ._9.07

Umarłam już dwa razy. Pierwszy raz, gdy w 1997 roku wyrzucono mnie na śmietnik. Dosłownie. Byłam wtedy dzieckiem. Młodą dziewczyną, która uciekła z toksycznego domu i od ojca, który pakował mi ręce w majtki. Poznałam wtedy najlepszego człowieka pod słońcem. Miał na imię Maks. I jakkolwiek to zabrzmiało – był szpiegiem. A potem przyszli ludzie, którzy nas oszukali. Zabili Maksa, mnie zgwałcili i zostawili, bym umarła. Prawda jest taka, że myśleli, że zaruchali mnie na śmierć. Kiedy zmartwychwstałam pierwszy raz, w odwecie zabiłam ich szefa. Miał ksywę Grubas i nie była ona przypadkowa. Zabiłam go, strzelając mu w twarz na podwórzu pod domem jego matki. Pamiętam, że wtedy padał deszcz. Było cicho, a echo niosło wystrzał. Od tamtej pory uciekałam. Maks nauczył mnie, jak zniknąć. Jak zniknąć kompletnie, więc wykorzystałam tę zdolność i żyłam w mieście, która nazywała się Kościan Dolny, choć nigdy nie istniał żaden Kościan Górny. Robiłam różne głupie rzeczy. Sypiałam z uczniami. To nie było mądre. Ale sypiałam tylko z tymi, którzy mieli już osiemnaście lat. Nie jestem pedofilką, to po prostu wynikało ze strachu. Ktoś w moim wieku mógł mnie skojarzyć, mógł przypomnieć sobie o dziewczynie, o której kiedyś było głośno. Młody facet myślał tylko o tym, jaki musi być zajebisty, skoro wybrała go nauczycielka.

To było dobre życie. Może nie takie, o jakim marzyłam, ale dobre. Spokojne. Co prawda budziły mnie koszmary i bałam się, że kiedyś mnie znajdą, ale... Ktoś kiedyś powiedział, że człowiek jeśli chce, potrafi przystosować się do wszystkiego. Ja nauczyłam się żyć w ciągłym napięciu. Wszyscy mamy jakieś talenty. Ja potrafię zabijać, uczyć i prowadzić podwójne życie.

Przez dwadzieścia lat trenowałam ciało, by stało się moją najdoskonalszą bronią. I nerwy, by nie pęknąć w chwili, gdy mnie znajdą. Czasami korciło mnie, żeby wyjechać za granicę. Zrobić jak na tych wszystkich amerykańskich filmach. Rozpłynąć się w tłumie na ulicy w Marrakeszu. Tylko że filmy to fikcja. Bzdura. Maks kiedyś powiedział mi, że kiedy szpieg chce zniknąć, roztopia się w tłumie w swoim kraju. Najłatwiej wpaść, gdy jest się obcym. Najłatwiej zniknąć, gdy jest się w domu. Żołnierze elitarnych jednostek, gdy kończą służbę i chcą, by szefostwo nie wiedziało, gdzie są, rozpluwają się w górach albo otwierają smażalnię w zapomnianych przez turystów miasteczkach nad Bałtykiem. Wciąż są tuż obok. Niby na wyciągnięcie ręki, ale jednak tak daleko, że nikt nie zwraca na nich uwagi. Maks popełnił błąd, dał się zauważyć. I kosztowało go to życie. Ja byłam poza radarem. Kiedy żyje się w takim środowisku, ma się pewne znajomości. Kupiłam dokumenty, które pomogły mi zapaść się pod ziemię. Na tyle skuteczne, że nigdy nikomu nie przyszło do głowy kwestionować ich prawdziwości.

A potem popełniłam błąd. Głupi, głupi błąd. Tyle lat treningu nerwów, a dałam się wpuścić jak pierwsza lepsza idiotka. Nie, nikt mnie nie znalazł. Zrobiłam coś, po czym każdy szpieg powinien popełnić rytualne samobójstwo. Choć *de facto* było to samobójstwo. Spanikowałam. Ktoś zabił mojego ucznia. Tak, sypiałam z nim. Nic wielkiego. Ale jednak miał związek ze mną, więc wydawało mi się, że to ludzie Grubego, i rozpoczęłam prywatne śledztwo. I tym się zdradziłam. Odkryłam, że nikt, ale to nikt mnie nie szukał. Byłam swoim własnym upiorem. Nawiedziłam sama siebie. Na tyle skutecznie, że pokazano moją twarz w telewizji. I dopiero wtedy się zaczęło. Tak się kończy, gdy przypadkowo nagłaśnia się aferę sięgającą szczytów władzy. I kiedy ten szczyt władzy wycina się w pień. Tak wyszło. Wszyscy zginęli. Ja przeżyłam.

– Postój potrwa do piętnastu minut – odezwał się głos w głośniku.

Matka spanikowała do reszty. Eurydyka oddychała rytmicznie. Bała się. Jednak nie lubiła zamkniętych przestrzeni. Facet z opuchniętą twarzą krzyczał, że to wszystko przez prezydenta, który nie rozliczył się z kamienic, jakie kupił w ramach

dzikiej reprivatyzacji, a teraz zamyka ludzi w podziemiach, bo sam chce pograć sobie w piłkę na orliku.

Milczałam. Korciło mnie, żeby wstać i szybkim ciosem w krtani uciszyć go raz na zawsze, ale wtedy popełniłabym kolejny błąd. Patrzyłam więc na Tancerza. Pochylał się. Terlecki musiał się niecierpliwić. Ludzi z niewiadomych powodów bezustannie ciągnie do śmierci.

ROZDZIAŁ 5

GODZ._7.12

Robi się coraz bardziej gorąco wokół nowego filmu Patryka Vegi. Polityka jeszcze nie trafiła do kin, a reżyser pokazał kolejny kontrowersyjny fragment. Tym razem ze Zbigniewem Zamachowskim w roli... nikogo innego jak ojca Tadeusza Rydyka. Moim zdaniem Zbyszek jest ciut za młody na Rydyka, ale co tam... Sam nie wiem, co myśleć o tym filmie, a wy? Będzie hit czy kit? Piszcie do mnie na wsk@wsk.pl, a najlepsze opinie na temat twórczości Patryka Vegi nagrodzimy, powiedzmy, płytami. Co ja tu mam... O, mam... Trzy płyty Judas Priest. A na razie posłuchajmy zapomnianego zespołu Question Mark And The Mysterians z piosenką idealną na dziś Stormy Monday.

GODZ._7.13

Niezaprzeczalnym plusem rodzenia dzieci w bardzo młodym wieku jest fakt, że mając trzydzieści osiem lat, ma się dom dla siebie. Tak przynajmniej tłumaczyła to sobie Adriana Rzepecka, która w ciążę zaszła, gdy miała lat szesnaście. Dziś Maria, jej córka, miała dwadzieścia dwa lata, studiowała ekonomię na Cologne Business School, za którą płacił ojciec. Tak, nie ulega wątpliwości, że gdyby ta ciąża przydarzyła się jej z kimś innym, życie wyglądałoby inaczej. Ale ojcem Marii był Marcin Stępniewski, czyli syn właścicieli fabryki kosmetyków wykupionej w 2007 roku przez Unilever. Portale plotkarskie pisały o Stępniewskim juniorze, że jest

najlepszą partią pośród młodych milionerów. Adriana była innego zdania. Był małym zarozumiałym gnojkiem, który nawet po trzydziestce nie potrafił poradzić sobie z przedwczesnym wytryskiem, dlatego seks z nim przypominał prysznic. I to taki, pod który wchodzisz, bo musisz, a nie żeby się zrelaksować. Wpadli, gdy byli dzieciakami, rodzice wymogli na nich ślub, rozwiedli się, gdy Maria miała piętnaście lat. Niech Stępniewski będzie dobrą partią, ale dla kogoś innego.

Z rozvodu wyniosła pełne konto i dom przy ulicy Dynasy, który wybudowali rodzice Marcina w sposób zapewne absolutnie niezgodny ze standardami zabudowy. Ale kto bogatemu zabroni. Na pewno nie ona.

Teraz Adriana miała spokój. Spełniła swój reprodukcyjny obowiązek wobec świata. Przeżyła część życia u boku szybkostrzałowca, teraz więc mogła się spełniać.

Jej przyjaciółka prowadziła zajęcia z hatha jogi, inna miała gabinet medycyny naturalnej i leczyła ludzi akupunkturą. Była jeszcze Iwonka, specjalistka od aury. I to do niej zadzwoniła o siódmej trzynaście Adriana, gdy ze ściany w kuchni nagle zaczęły spadać obrazki.

– Czy możesz robić zdjęcia i rozmawiać? – zapytała przejęta Iwona.

– Spróbuję – odparła Adriana i sprawdziła funkcje w telefonie. – Tak – powiedziała po chwili.

– Doskonale. Rób zdjęcia cały czas. Być może masz w domu poltergeista.

– Polter co? – zapytała przejęta Adriana.

– Och, zobaczymy na zdjęciach, wszystko ci wytłumaczę. Pewnie masz masę orbów na fotach.

Adriana nie odpowiedziała. Ezoteryką zaczęła interesować się stosunkowo niedawno. Wiedziała, co to są orby. Próbowwała je sfotografować od kilku miesięcy, ale w jej otoczeniu nigdy się nie pojawiały. W zasadzie w jej otoczeniu nic niespotykanego się nie działo. Iwona widziała znaki wszędzie, ona na swoje przebudzenie czekała. Koleżanki mówiły, że to nadejdzie nagle, musi tylko być cierpliwa. I była. Chodziła na szkolenia, kursy, uczyła się odkrywać energię

i otwierać czakry. Córka śmiała się, że z nudów postanowiła wydać majątek na coś, co nie istnieje, ale Adriana wiedziała swoje. Miała przecucie, że spotka ją coś niezwykłego, i nie myliła się.

Robiła sobie kawę, gdy w radiu zaczęła się piosenka, a jej ekspres podłączony do kranu nagle się uniósł. Trwał parę sekund w zawieszeniu kilka centymetrów nad blatem, a potem jakaś siła rzuciła nim o ścianę. Gdy uderzył, w tej samej chwili wiszące nad stołem obrazki, które kupowała w Decco, zaczęły zjeżdżać w dół. Wtedy zadzwoniła do Iwony. Robiła zdjęcia, a ściana przed nią pękała. Zupełnie jakby jakaś siła chciała wydostać się z murów.

– Iwona, to jakaś obecność! – krzyknęła do telefonu, cały czas robiąc zdjęcia. – To wychodzi ze ściany!

– O matko, masz to! Przeżywasz kontakt! Prawdziwy kontakt! – krzyczała rozentuzjasmowana przyjaciółka. – Zmień aparat na kamerę. Nagrywaj! To będzie hit!

– Próbuję... – zaczęła mówić Adriana.

Patrzyła przez telefon na ścianę, równocześnie zmieniając w iPhone ustawienia z aparatu na kamerę. Była tak zajęta przestawianiem funkcji w telefonie, że nie zauważyła, jak pęknięcie w ścianie robi się coraz większe. Nie wiedziała, że siła, która zrzuca obrazki i podnosi ekspres, coraz mocniej napiera na druty zbrojeniowe. Była tak skoncentrowana na ikonkach, że nawet nie dostrzegła, jak metrowy pręt odrywa się od betonu i z gigantyczną prędkością zmierza w jej stronę. Ułamek sekundy później głowa Adriany znalazła się w przestronnym kuchennym zlewie. Zdekapitowane ciało wciąż szukało palcami aplikacji. Musiały minąć dobre trzy sekundy, zanim z hukiem upadło na podłogę.

Iwona czekała, aż jej koleżanka coś powie. Zamiast tego usłyszała odgłos rozpadającej się ściany. Wtedy zaczęła krzyczeć.

Mówią, że czas to dziwka, ale to nieprawda. Dziwka doskonale wie, ile co ma trwać. Czas bawi się tobą w nieskończoność. Sprawia, że się w nim gubisz, podczas gdy dziwka chce, żebyś się odnalazł.

Chłopak od matki i słuchawek zauważył kątem oka, że dziewczyna dostała ataku paniki. Wyjął słuchawki z uszu i zapytał ją, czy może jakoś pomóc. Koleś z opuchniętą od alkoholu twarzą krzyknął, że pewnie nie potrzeba jej pomocy, tylko kopniaka w dupę, jak każdej gówniarze, która ubiera się jak dziwka. Znów dziwka.

Co znaczy ubierać się jak dziwka? W moim dawnym świecie, świecie Maksa, dziwki wyglądały jak... no właśnie... Nie rzucały się w oczy. To, czym handlowały, nie potrzebowało dodatkowej reklamy. Każdy i tak wiedział, ile jest warte ciało ukryte pod materiałem. Ludzie mają ogromną potrzebę kategoryzowania i szufladkowania innych, bo tak jest im łatwiej odnaleźć się w świecie. Wsadzić kobietę ubraną w obcisłą koszulkę w kategorię „dziwka”, bo tak łatwiej zaakceptować im fakt, że sami nigdy nie będą dobrze w takiej bluzce wyglądać. A nawet jeśli by wyglądali, to nigdy, ale to przenigdy nie znajdą w sobie dość odwagi, by ją założyć. Dziewczyna, której chłopak próbował pomóc, miała niewinne spojrzenie. Nie była to udawana niewinność. Może i była harda i pewna siebie, jak wcześniej próbowała pokazać swoją mowę ciała, ale też delikatna. Byłaby doskonałą aktorką, gdyby okazała się dziwką. Na moje oko była po prostu zbuntowaną nastolatką, a najbardziej wyzywającą rzeczą, jaką zrobiła w życiu, było paradowanie topless po pustej plaży.

Za to zniecierpliwiony typ z zapuchniętą twarzą był w stu procentach sobą. Wściekłym na życie, zakompleksionym samotnikiem, który zapewne do niedawna albo mieszkał z matką, albo wciąż chodził do niej na obiady. Nienawidził świata, bo jego życie było pozbawione sensu i radości. Wykonywał zapewne jedną z tych nudnych prac, o których nikt nigdy nie marzy, a potem rozczarowany życiem w niej ląduje. Może kontrolował instalacje gazowe. Albo był inkasentem w elektrowni. Pukał do drzwi ludzi, którzy zapomnieli zapłacić rachunków, i z uśmiechem na ustach odłączał im prąd, wysłuchując przy tym tony inwektyw

i bluzgów. Udawał, że wszystko po nim spływa, a w domu, jeśli miał żonę, to krzyczał na nią, używając tych samych wyzwisk, jakimi obrzucano jego. A jeśli był sam, robił awantury sąsiadom. Pisał donosy na dzieciaki, które paliły skręty pod oknem, albo wzywał straż miejską, gdy tylko ktoś w bloku głośniej puszczał muzykę. Bo każdy, kto puszcza głośniej muzykę, jest degeneratem. Tylko cisza ich wyzwoli. Cisza przerywana okrzykami, jak niesprawiedliwy i zły jest ten świat.

Niektórzy tak mają. Znałam ich. Wszędzie było ich pełno. W szkołach, na parkingach, w sklepach. Ci wszyscy kolesie, którzy podchodzą do ciebie tylko po to, żeby pokazać swoją wyższość, mówiąc, jaka jesteś głupia i że to, co robisz, oni zrobiliby lepiej, ale im się nie chce.

Odwróciłam od nich wzrok. Przyglądanie się eskalującej awanturze w zamkniętym wagonie nie było czymś, co pomaga się skupić na zadaniu. A moja głowa musiała być czysta. Skupiona na jedynym słusznym celu. Niepokojące dźwięki koncertowej wersji *Eclipse* z wokalizami Honi Gordon wypełniły mi uszy.

Wagon był stosunkowo nowy. W czasach, kiedy jeździłam metrem, wagony wyglądały o wiele bardziej obskurnie. Ten był nowocześniejszy, o czym świadczył nie tylko rozkład siedzeń, ale przede wszystkim liczba reklam. Dwadzieścia lat temu tyle ich nie było. Nawet nie pamiętam, czy w ogóle były. Teraz szczyrzył się do mnie Cezary Pazura w jakiejś sztuce, obok niego najlepsze sushi na Ursynowie i klinika weterynaryjna. Trio doskonałe. Poza tym „Gazeta Wyborcza” mówiła z reklamy, że mówi prawdę. O prawdzie też wspominał jakiś pan z banku. Reklamy umieszczono naprzeciw siebie, jakby dziennikarze i bankowcy prześcigali się w tym, kto jest prawdziwszy.

No cóż. Jakoś im nie wierzyłam. Jedyłą prawdą w obrębie tych kilku metrów byłam ja. Prawdą. Sądem. Sprawiedliwością.

Ciekawe. Ile razy siadamy obok kogoś w autobusie, metrze. Nic o tej osobie nie wiemy. Poświęcamy jej jedno, może dwa spojrzenia i zamykamy się w swoim świecie aż do momentu, gdy powie ona do nas „przepraszam” przed wysiadką na swoim przystanku. Wtedy przypominamy sobie, że ktoś siedzi obok. Nigdy nie wiemy, kim nasz współpasażer jest. Nie interesuje to nas. Nasz mózg nie analizuje,

dlatego nie wiemy, czy aby nie siedzimy obok zabójcy żony lub najlepszego kochanka na świecie. Albo faceta, który zdefraudował fundusz emerytalny jakiejś korporacji.

Czy ludzie, którzy w tym metrze siedzieli obok Terleckiego, zachowywaliby się tak spokojnie, gdyby wiedzieli, kim on jest? Czy ci, którzy stoją koło mnie, byłiby tak skoncentrowani na sobie, gdyby mieli świadomość, że tuż obok nich znajduje się kobieta z nożem, który potrafi przeciąć kość? Nie sądzę.

Hej, ten koleś to były szpieg, a dziś szef organizacji przestępczej. Wiecie, to on truje wasze dzieci narkotykami. On prostytuuje wasze córki. Myślę, że ta wiedza zrobiłaby na nich wrażenie. A może się mylę. Jeśli czegoś nauczyłam się na temat ludzi, to tego, że potrafią zrationalizować sobie wszystko. I szybko, bardzo szybko uczą się wyciągać korzyści z racjonalizacji.

Ochroniarze górujący nad Terleckim poruszyli się. Zaczynali się niecierpliwić. A to znaczyło jedno. Kiedy ruszymy, będą się spieszyć. Zamiast ruszyć przed siebie jak zawsze spokojnym krokiem, będą poruszać się o wiele szybciej. To z kolei zmusi mnie do szybszego działania. Niestety. Przyjemność, jaką miałam czerpać z zabicia ich, malała. Ale nie zniknęła. O to się nie martwiłam.

ROZDZIAŁ 6

GODZ._7.35

To nie koniec politycznych trzęsień ziemi w Polsce. Marek Jakubiak, właściciel browaru Ciechan i poseł słynący z konserwatywnych poglądów, oraz Piotr Liroy-Marzec, były raper, niedoszły producent porno, który próbował stworzyć w naszym kraju firmę produkującą filmy dla dorosłych, zanim przemówił do niego patriotyzm i Bóg, odchodzą z Konfederacji. Jakim cudem Jakubiak, który nienawidzi pornografii, i Liroy, który chciał być gwiazdorem porno, się dogadują – nie wiem. Jakim cudem raper... A resztą co ja tam będę zajmował się cudami, są od tego inne instytucje. Obaj panowie, choć wiele, naprawdę wiele ich dzieli, uznali, że stworzą Federację Jakubiak–Liroy, ogłaszając przy tym projekt „Patriotyzm i wolność”. Czy w jego ramach dozwolone będzie wylewanie piwa Ciechan do studzienek ściekowych – nie wiadomo. Wiadomo za to jedno. Dziś nikt nie pamięta o zespole The West Coast Pop Art Experimental Band. A szkoda. Posłuchajmy więc ich piosenki Suppose They Give a War and No One Comes. Może tytuł okaże się proroczy dla wieców politycznych Federacji Jakubiak–Liroy. Słuchacie Radia WSK. Warszawa, dwudziesty czwarty czerwca. Jeśli macie link do filmu produkowanego przez Liroya, ślijcie na wsk@wsk.pl.

GODZ._7.36

„Ciekawe” – pomyślał Tytus, patrząc na wyświetlacz telefonu. Spodziewał się połączenia od każdego, ale nie od Obłuckiego. Choć przyświecał im ten sam cel – bezpieczeństwo warszawiaków – to kilka dni temu pokłócili się o to, co przez nie rozumieją. Obłucki wychodził z założenia, że należy koncentrować się na rzeczach realnych i potwierdzonych, zaś Tytus ścigał, jak to mówił szef, różowego słonia. Bajkę. Opowieść, która krążyła wśród znawców podziemi Warszawy tak długo, że urosła do rangi mitu. Miejskiej czy raczej podmiejskiej legendy, którą opowiadają sobie potajemnie poszukiwacze przygód.

Tytus był odpowiedzialny za kontrolę trasy, która została zaakceptowana przez szefa, czyli Obłuckiego, i za niespełna dwie godziny zacznie być wprowadzana w życie. I choć pieprzona impreza rodzinna i jedna rozmowa zachwiała jego pewnością, to do tej pory nie znalazł nic, co mogłoby potwierdzić opowieść wuja o powstańczych magazynach broni i wstrzymać budowę.

Tytus obstawiał, że Obłucki mimo obrazy majestatu dzwonił, żeby kurtuazyjnie zapytać, czy coś znalazł, mając absolutne przekonanie, że nic takiego się nie stało.

– Tak, szefie? – rzucił zmęczonym głosem do słuchawki.

– Nie śpisz?

– Nie spałem od kilku dni w zasadzie. Ale jeśli dzwoni pan z pytaniem, czy coś znalazłem, odpowiedź brzmi, nie. Nic.

– Słuchałeś radia albo miałeś włączoną telewizję?

– Słuchałem, ale chyba już nic nie słyszę.

– Czyli nic nie wiesz o wypadku w tunelu?

Tytus szukał w głowie informacji, ale jedyne, co był w stanie sobie przypomnieć, to ton głosu prowadzącego i piosenkę Jamesa Browna.

– Nie – przyznał.

– Rano w tunelu Wisłostrady był karambol.

– Jak się to ma do naszej budowy? To jednak cztery kilometry dalej.

– Tak. Problem pozornie nas nie dotyczy, ale przez twoje opowieści o podziemnej Warszawie... – Zawiesił głos. – Problem, kurczaki, polega na tym, że

ten karambol zdarzył się sam.

– Co pan przez to rozumie?

– Policja cały czas pracuje na miejscu i jeszcze długa droga do pełnego raportu, ale pierwsze, co rzuciło im się w oczy, to to... że...

Obłucki opowiedział ze szczegółami historię wiaty i samoczynnej eksplozji. Tytus przez dłuższą chwilę milczał.

– Jeśli nie było tam bomby...

– Tego nie wykluczono, ale, na Boga, jaki terrorysta zasadza się na karambol w tunelu? ISIS wysadziłaby cały tunel.

– Racja.

– Dlatego pomyślałem, żebyś rzucił okiem na plany, które zabrałeś. Jeśli pod tunelem był stary kanał...

– Ale jak to? Przecież budowa... Zgody... Nikt nie pozwoliłby na budowanie tunelu obok starych kanałów, to groziłoby katastrofą.

– Nie takie rzeczy załatwiano się łapówkami – wyrzucił z siebie Obłucki. – Zgoda na budowę w Warszawie zawsze miała swój cennik uzależniony od poziomu komplikacji budowy.

– Niby...

– Najdroższe są zabytki, ale i zabytki można zamienić w nieużytek, jak się chce.

– Dlaczego pan mi to mówi?

– Powiedzmy tak. Nie sądzę, żebyś miał rację z niespodziankami pod ziemią, ale ta eksplozja dała mi do myślenia. Była taka niespodziewana...

– Czyli co?

– Rozmawiałem z Kwiecińską.

– O! – Tytus nie potrafił ukryć zaskoczenia. Obłucki dzwoniący do Kwiecińskiej. Znak, że piekło zamarza. Ale pan Kazimierz naprawdę czegoś się przestraszył.

– Mamy sprawdzić, czy była to podziemna mikroeksplozja.

- Ale jak?
- Spotkamy się za pół godziny w tunelu. Służby nas wpuszczą.
- I?
- I przyjrzymy się tej wiacie. Nie daje mi to spokoju. Wolałbym, żeby...
- Ja też – przerwał mu Tytus. – Do zobaczenia.

Doskonale wiedział, co Obłucki miał na myśli. Eliminowanie zagrożeń. Lub wcześniejsze ich wykrywanie. Czy zmienią trasę metra? Nie sądził. Gdyby cokolwiek stanęło na drodze do realizacji tego projektu, miasto raczej rozbroiłoby w tajemnicy skład broni, niż zawieszało prace. Powód? Jak zawsze ten sam – pieniądze. Tego typu inwestycje urbanistyczne były miliardowym dochodem dla spółek, które dostały zamówienia. I milionowymi łapówkami, które już dawno temu opuściły banki. Metro musi powstać, bo nikogo nie stać na zwracanie tego, co zostało przelane. Tytus spojrział na zegarek. Za dwadzieścia ósma. Zamówił przez aplikację taksówkę i wskoczył pod lodowaty prysznic, żeby się dobudzić.

GODZ._9.10

Coś szarpnęło wagonami. W składach z wagonami z serii 81 takie szarpnięcie pasażer odczuwał niczym małe trzęsienie ziemi. Wtedy, choć po prawdzie składy te wciąż jeździły, atak paniki w czasie podziemnego postoju był czymś naturalnym. Myślę, że nawet ja bym mogła o taki się otrzeć. Tyle że my siedzieliśmy w wagonach Simens Inspiro. To nowoczesny skład, którego projektanci, mając w pamięci nieprzyjazne podróznym odgłosy, jakie wydawały radzieckie wagony 81, postawili na wygodne siedzenia i wnętrze, które nie pogłębiało swoim ascetycznym wyglądem poczucia klaustrofobii. No i szarpnięcia były delikatniejsze.

Tancerz stracił równowagę. Widziałam, jak chwyta się górnej poręczy. Przez ułamek sekundy bałam się, że spojrzy w moją stronę i jakimś cudem mnie rozpozna. Paranoja. To efekt uboczny tego, czym się zajmuję.

Polowanie na ludzi.

Na bardzo złych ludzi.

Kiedy wiesz, że w każdej chwili mogą cię zauważyć, że mogą się zorientować... Wpadasz w paranoję. Wszystko i wszyscy są podejrzani. Kobieta w osiedlowym sklepie zbyt długo wydaje resztę. Być może wie, kim jesteś. Być może to, że nie ma drobnych, to ściema. Może wcale nie szuka w torebce portfela, żeby zamienić sto złotych na dwie pięćdziesiątki, tylko wysyła esemesa do swojego szefa, że jesteś w sklepie. Może powinnaś ją zabić, zanim zdoła wyjąć z torebki dłoń, w której będzie trzymać nowiutką, czarną beretkę? A potem po pierwszym ataku paranoi przychodzi refleksja. To wszystko dzieje się w twojej głowie. Tylko w twojej głowie. Ona nie ma broni. W ręce trzyma różową portmonetkę ze słonikami, którą najprawdopodobniej dostała pod choinkę od chłopaka, z którym planuje życie i trójkę dzieci. Wewnątrz zauważasz dwa banknoty po pięćdziesiąt złotych. Więc nie poznała cię. Nie jest jedną z nich. To tobie odbija. A potem, kiedy wszystkie lęki zdają się być na dobre rozproszone, paranoja wraca i gryzie cię z całych sił w dupę. A co, jeśli ona ściemnia... Odwrócę się plecami, a ona wbije mi nóż... Albo miała w torbie mikronadajnik i oni wiedzą już, że tu jesteś. Wtedy znów myślisz – zabić czy uciekać? Paranoja wgryza ci się w mózg, paraliżuje ciało. Z odrętwienia wyrывa cię głos stojącego za tobą kolesia:

– Panienska kupuje czy marzy?

– Spierdalaj – rzucasz w pośpiechu, upominając się w myślach, że właśnie popełniasz błąd. Gdyby coś się stało, to wszyscy zapamiętają tę pyską babę w ciemnych okularach.

Odruchowo pochyliłam głowę. Daszek czapki i kaptur skutecznie rzucały cień, ale wolałam się upewnić. Gdyby... gdyby wiedzieli, że żyję, że na nich patrzę, że jestem obok... Nic nie byłoby takie samo. Nic.

Eclipse wciąż koło nadszarpnięte nerwy. Jeszcze dwanaście minut. Ze stacji Centrum do stacji Politechnika pociąg jedzie minutę i czterdzieści sekund. Potem

jeszcze dwie stacje. I... moje życie się skończy. Wszystko, przed czym uciekałam. Wszystko, co chciało mnie dopaść, zniknie.

Dwanaście minut plus jakieś sześć. Razem osiemnaście. Sporo. Albo nic. W zależności od tego, jak na to spojrzeć. Dla moich uczniów to wieczność, dla mnie ułamek sekundy. Kiedy nie istnieje się dekady, minuty przestają mieć znaczenie. Osiemnaście minut. Tyle miałam czasu na myślenie o tym, jak się tu znalazłam.

ROZDZIAŁ 7

GODZ._7.47

Jednym z kolejnych fantastycznych pomysłów na łatanie dziur budżetowych naszego rządu jest... podatek od bezdzielnych. Jak donosi Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, „projekt, o którym mowa, jest jedynie wstępną koncepcją, która zawiera różne propozycje dotyczące migracji i rynku pracy. Na obecnym etapie minister Elżbieta Witek podjęła decyzję, że nie będą prowadzone jakiegokolwiek prace nad pomysłem opodatkowania osób bezdzielnych” – napisano w oświadczeniu. A wy co o tym myślicie? Będziecie się rozmnażać czy zamieszkacie na Słowacji? Zostawię was z tą myślą. A teraz posłuchamy Mike’a Bloomfielda z zespołem The Electric Flag. Piosenka nazywa się Losing Game i mam wrażenie, że idealnie nawiązuje do gry, w jaką grają nasi rządzący.

GODZ._7.49

Karol Łobodziński był wściekły. Zaparkował radiowóz przed domem przy ulicy Dynasy. Willa pośród niewielkich kamienic. „Ktokolwiek tu mieszka, musi mieć niezłe chody w urzędzie miasta” – pomyślał.

Był wściekły, bo przegrał zakład. Mniej więcej kwadrans po siódmej zadzwoniła na komendę jakaś wariatka, krzyząc, że duch chyba zabił jej przyjaciółkę. Przyjęli zgłoszenie, ale gdy się rozłączyła, wszyscy wybuchnęli śmiechem. A potem założyli się, kto pojedzie łapać ducha. Przegrywał ten, kto

z kupki kart, które trzymał dyspozytor, wylosował najniższą. Łobodziński miał pecha.

Według rozmówczyni w domu przy Dynasy doszło do – jak to powiedziała kobieta – manifestacji sił nadprzyrodzonych, w wyniku czego jej przyjaciółka mogła ucierpieć. Karol co prawda na duchach się nie znał, ale widział już w swoim życiu kilka takich manifestacji. Najczęściej okazywało się, że duchem były pięści męża albo konkubenta, które w tajemniczy sposób materializowały się na twarzach kobiet. „Kto panią pobił?” „Nikt, panie posterunkowy”. „Jak to nikt? Duch?” „No tak jakby duch. Coś mnie pchnęło na szafę”.

Choć zgłaszająca zdarzenie kobieta przysięgała, że jej przyjaciółka nie ma męża ani żadnego partnera, a gdy to się stało, próbowała nagrać film z duchem, Łobodziński był więcej niż przekonany, że gdy wejdzie do domu, zostanie pobita kobietę i faceta, który albo zasnął, albo siedzi przy stole w kuchni, powtarzając jak mantrę jedno zdanie: „Dlaczego mnie sprowokowałaś?”.

Przemoc domowa, pobite kobiety, plaga XXI wieku. Im bardziej wyzwolone społeczeństwo, im dobitniej i głośniejsze mówi się o zapobieganiu przemocy domowej, tym bardziej wszystko to ma odwrotny skutek. Zamiast maleć – liczba pobić rosła. Malą za to liczbę zgłoszeń. Owszem, gdy żony czy kochanki trafiały do szpitala na założenie szwów, lekarz pełniący dyżur miał obowiązek poinformować służby, ale w sytuacji gdy pobita mówiła o duchach albo siłach, które pchnęły ją na szafę, wnoszenie sprawy i zgłaszanie jej do prokuratury miało się z celem.

Łobodziński nacisnął dzwonek. Ciszę wypełnił świergot ptaków.

Nikt nie odpowiadał.

Nacisnął przycisk jeszcze raz. Znów rozćwierkały się ptaki.

Nic.

Zero ruchu.

W przypadku pobić bardzo często kobiety nie chciały otwierać policji drzwi. Wstyd, poczucie winy, bo przecież to twoja wina, twoja bardzo wielka wina. Lepiej

poczekać, aż policjant przestanie się dobijać. Często przestawał. Pisanie raportów, które potem i tak pójdą do niszczarki, bo nikt nie wniesie sprawy, zajmowało czas. A nikt, nawet najniższy rangą krawężnik, nie lubił marnować czasu. Więc odchodzili. Zapominali, a potem, jakieś pół roku, może rok później, wracali. Tyle że w towarzystwie kryminalnych. Wyważali drzwi, bo sąsiedzi mówili, że na klatce śmierdzi. Albo pacyfikowali krewkiego partnera, który krzyczał, że wszystkich ich zabije. Jak tę kurwę. Wszyscy zasłużyli.

Łobodziński wiedział jedno: nikt nie zasłużył na śmierć. Nawet największa gnida powinna żyć, trwać i swoim życiem dawać świadectwo własnej podłości.

Pchnął drzwi. Ustąpiły.

– Halo? Policja! Jest tu kto?! – krzyknął w ciemność, która zakryła się.

Nikt nie odpowiedział.

Otworzył drzwi na oścież i wszedł do środka. Gdyby był policjantem z amerykańskiego filmu, trzymałby glocka na wysokości kolan, naciskając bezpiecznik na języku spustowym. Jeden ruch, jeden niepotrzebny hałas i ktoś by zginął. Wolał po swoim. Bez broni, za to ostrożnie i powoli. Długi korytarz rozwidlał się. Idąc prosto, wchodziło się bezpośrednio na schody prowadzące na piętro. Skręcając w prawo, szło się w głąb parteru. Piętro sprawdzi za chwilę. Najpierw kuchnia i salon.

Biała sofa, ogromny telewizor, sprzęt schowany w szafce i ława. Salon był ascetyczny, ale współczesny. Na ławie stała mała butelka po coli. Poza tym nic nie wskazywało na to, by cokolwiek mogło się tu wydarzyć.

– Dzień dobry! Policja! – krzyknął. – Dostaliśmy wezwanie!

Cisza.

Przechodząc przez salon, poczuł dziwny zapach. Na początku nie potrafił go określić, ale zmysły szybko znalazły rejony mózgu, które potrafiły go rozpoznać. W salonie pachniało betonem. A może bardziej cementem. Jak na budowie. Tyle że zapach ten zmieszany był z czymś, czego poznać nie potrafił.

Po chwili dotarł do niego dźwięk. Wciąż zastanawiał się, jakim zapachem wypełniał się dom, ale dźwięk poznał. Kapiąca woda uderzająca o metalowy zlew. Przyczyna bezsenności w wielu domach. Ruszył w stronę kuchni. Zapach stawał się coraz bardziej intensywny.

Do kuchni wchodziło się wprost z salonu, w progu nie było drzwi. Stał w wejściu i zamarł. Coś, co zapewne było ścianą, wyglądało tak, jakby z jej wnętrza wyrwał się pradawny stwór. Warszawski bazyliżek. Albo zakichany obcy z tych fantastycznych filmów. Wielka dziura. Rozłupany beton. Błat, stół, meble – wszystko pokryte było warstwą rozdrobnionego betonu.

„Stąd zapach budowy” – pomyślał.

Spojrzał w lewo. Tam, gdzie zazwyczaj znajduje się zlew.

W życiu widział wiele okropieństw. Rozsmarowane po przejściach dla pieszych dzieci, które nagle wbiegły na jezdnię. Skatowane żony. Pobitych przechodniów, którzy nie spodobali się przypadkowym agresorom. Raz nawet był na miejscu porachunków gangsterskich. Ale czegoś takiego jeszcze nie widział.

Na podłodze leżało ciało kobiety. W miejscu, gdzie powinna być głowa, sterczał kikut szyi z poszarpanymi tkankami i kośćmi, a wokół na podłodze rozlewała się wielka czerwona plama. Martwe dłonie kobiety kurczowo ścisnęły telefon komórkowy.

To nie było pobicie. I to nie były duchy. Coś eksplodowało w kuchni, zabijając właścicielkę domu. Teraz uświadomił sobie, czym był ten drugi zapach. Krwią.

Kap, kap. Dźwięk powrócił.

Spojrzał w stronę zlewu.

Na jego skraju kołysała się odcięta głowa. Resztki krwi uderzały o blachę.

Łobodziński zwymiotował na podłogę. Kiedy przestało go szarpać, wyciągnął radio i wezwał posiłki.

– Kurwa mać – zaklął. – Najpierw wypadek, teraz to.

Nachylił się w stronę rozwalonej ściany. Dziura ciągnęła się aż do fundamentu. Wyjął z kieszeni monetę. Złotówkę.

Wrzucił do dziury.

Spadała.

Spadała.

Spadała.

Ping. Rozległ się dźwięk.

– Kurwa mać. Wyjechało jakąś instalację – powiedział do siebie, po czym wyszedł z kuchni. Usiadł na białej sofie i odruchowo sięgnął po butelkę coli. Wypił to, co było na dnie. Poczul w ustach smak alkoholu. Doprawiona. Za picie na służbie mogliby wyrzucić go na zbity pysk, ale dziś miał to w dupie.

GODZ._9.11

To był poniedziałek. Pięć dni po tym, jak Kościan Dolny trafił do telewizji. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że trafiłam tam też ja. Ruszyłam do szkoły. Miałam lekcje od ósmej. Wyszłam z domu jak zawsze pół godziny wcześniej. Miałam skuter. Vespe. Jeździłam na niej, dopóki śnieg nie zaskakiwał drogowców. Ale wtedy śniegu nie było. Zaparkowałam vespe na szkolnym parkingu dla nauczycieli. Ruszyłam w górę schodami. Nie miałam ochoty siedzieć z moimi współpracownikami, więc wpadłam tylko na chwilę do pokoju nauczycielskiego. Zdjęłam płaszcz, zabrałam dziennik i poszłam do klasy. Kiedy człowiek jest zamieszany w dziwną aferę, powstaje dookoła niego specyficzny mur. Taka ściana, która oddziela cię od innych, którzy niby to są ciekawi, ale nie potrafią się przez nią przebić. Nikt z nauczycieli nie potrafił wyrzucić z siebie pytań, jakie ich dręczyły, więc wpatrywali się we mnie, a potem, gdy znikalam za drzwiami, zaczynali plotkować. Tak było i tym razem. Słyszałam ich głosy. Stare mury i cienkie drzwi. Nie ma opcji, żeby wypowiedane z napięciem zdania nie niosły się przez połowę korytarza.

Uśmiechnęłam się pod nosem, bo w zasadzie było to zabawne. Czułam się jak bohaterka bardzo taniego filmu klasy C.

Miałam lekcję z trzecią A. Kiedyś, gdy sama chodziłam do liceum, mówiło się, że A to aniołki, B barany, a C cymbały. Coś w tym było. Dzieciaki w trzeciej A zachowywały się tak, jakby burza hormonów i dojrzewanie omijało je szerokim łukiem. Trzydzieści wybryków natury. Grzecznych aż do wyrzygania. Wszyscy siedzieli już w ławkach, mimo że do dzwonka było jeszcze z pięć minut. Kiedy przekroczyłam próg, młode twarze zwróciły się w moją stronę.

– Dzień dobry, pani profesor! – krzyknęli.

Liceum to chyba jedyne miejsce na świecie, gdzie do magistra mówi się profesorze. Pokiwałam głową i usiadłam za biurkiem. W sumie nie musiałam nawet sprawdzać obecności. Wszystkie miejsca były zajęte. Komplet kujonów. Tyle że lista obecności to obowiązek, więc gdy wybrzmiał dzwonek, otworzyłam dziennik i zaczęłam czytać nazwiska. Dotarłam do M, gdy ktoś zapukał do drzwi.

– Dzień dobry – rozległ się głos dyrektora. – Mogę panią prosić na chwilę?

Oho, pomyślałam. Wytrzymali tyle od zadymy, żeby zwolnić mnie w poniedziałek.

– Jasne – odparłam, zamykając dziennik.

– Lekcję za panią poprowadzi pani Dębicka – powiedział dyrektor, gdy mijałam się z okrągłą i dość niesympatyczną Edytą Dębicką w drzwiach.

– Pewnie – rzuciłam.

Dyrektor nie był sam. Na korytarzu czekało na mnie dwóch mężczyzn. Mieli na sobie czarne garnitury i wyglądali jak kiepskie podróbki agentów FBI z amerykańskich filmów.

– Ci panowie są z policji z Krakowa. Chcieliby z panią porozmawiać – powiedział dyrektor, gdy zamknęłam za sobą drzwi klasy.

– O czym? – zapytałam, wbijając w obu policjantów wzrok.

Sypiałam z sympatycznym małomiasteczkowym gliną, który był jedną z najlepszych rzeczy, jaka przydarzyła mi się w życiu. Dzięki niemu wiedziałam, że nie toczy się przeciwko mnie żadne postępowanie ani w żaden sposób nie byłam podejrzana.

– Wyplętnęło kilka nowych faktów w sprawie – odparł policjant-agent numer jeden.

– Skąd macie te garnitury? Ze sklepu dla statystów filmowych? – odpowiedziałam pytaniem.

– Nie, szanowna pani – włączył się agent numer dwa. – Nasze garnitury nie powinny panią interesować. Ma pani ciut większe zmartwienia niż to, gdzie zaopatruje się krakowska policja.

Nie miałam zmartwień. A przynajmniej o żadnych nie wiedziałam. Partyka, ten mój gliniarz, był jedyną osobą, która wiedziała, kim jestem. Specjalnie dla mnie sprawdził wszystkie policyjne bazy. Nikt nie szukał ani mnie, ani mojego dawnego ja. Tak przynajmniej było wczoraj. Czy jacyś nerwowi gliniarze, którzy mieli ambicje zostać małopolskim Brudnym Harrym, szukali igły w stogu siana? Tego nie mogłam wykluczyć. W końcu stóg nieźle się jarał, a ogień wyniosło do mediów. W policji, jak wszędzie, najłatwiej załapać się na awans poprzez zaangażowanie się w głośną sprawę. A zatem tych dwóch pajaców mogło coś zwęszyć po godzinach i teraz...

– Proszę się nie martwić. To kwestia fundacji pani Sokołowskiej.

– Zmarłej pani Sokołowskiej – poprawiłam go.

– Tak. Wszyscy wiemy, co tu zaszło. Że jej mąż był złym człowiekiem, że mordercy pracujący dla jego biznesowego partnera powiesili ją. To wszystko wiemy, ale trafiliśmy na pewne dane dotyczące uczniów i chcieliśmy to z panią skonsultować.

To było dziwne. Powinnam od razu wyczuć ściemę, ale moje zmysły po ostatnich przejściach były mocno przytępione. Więc zamiast powiedzieć, żeby spierdalali, odparłam, że rzucę okiem. Policjanci pokiwali głowami. Dyrektor dodał od siebie, że gdyby ktoś go potrzebował, będzie w gabinecie, i skreślił w lewo, znikając za zakrętem korytarza. Policjanci skierowali się w stronę wyjścia.

– Gdzie macie... – nie zdążyłam dokończyć.

– W samochodzie. Nie chodzimy z dokumentami – odpowiedział numer jeden.

Miałam dodać, że za to zostawiają je w samochodach, ale ugryzłam się w język. Czegokolwiek chcieli, lepiej ich nie drażnić. Niech sobie grzebią w sprawie, ile chcą, ale niech zapomną o mnie. Bycie pyską tego nie ułatwi.

Czarne bmw 330i gran turismo stało zaparkowane obok mojej vespy. Numer jeden wyrwał naprzód. Otworzył drzwi i usiadł za kierownicą. Numer dwa nachylił się, żeby otworzyć drzwi od strony pasażera. Stałam obok. Nie rozglądałam się. Nie wykonywałam żadnych ruchów.

A potem nagle uderzyły mnie drzwi. Ktoś, kto siedział na tylnym siedzeniu, pchnął je z całych sił. Numer dwa odwrócił się, jego ciężka dłoń wylądowała na mojej twarzy. Mieli szczęście. Drzwi sprawiły, że straciłam równowagę i zatoczyłam się. Nie zdołałam stanąć na tyle pewnie na nogach, by wyrwać się z uścisku, gdy poczułam, jak pięć milionów woltów z paralizatora przepływa przez moje ciało. Wpadłam w ciemność. Ostatnią rzeczą, o jakiej pomyślałam, było to, że miałam rację. To byli przebierańcy. Policja nic o mnie nie wiedziała. Jakby świadomość, że jestem kretynką, która dała się podejść, miała mi pomóc wybrnąć z opresji.

ROZDZIAŁ 8

GODZ._7.57

Nic tak nie budzi rano, jak solidna dawka newsów ze świata polityki. Więc zaglądamy na Facebooka, a tam Manuela Gretkowska, pisarka, która jakkolwiek na to patrzeć, lata większych sukcesów ma już za sobą, zrobiła sobie roast Polski i Polaków. „Zostało mniej więcej sto dni do wyborów. Może sto ostatnich dni, jeszcze nie całkiem, ale demokratycznej Polski. PiS domknie swoje reformy – sądownictwa, szkolnictwa, wszystkiego, co pozwalało na normalność. A potem, po iluś latach, będziemy znowu szczęśliwi, gdy uda się nam wyzwolić z koszmaru. Nie iść do przodu, ale stać w miejscu. PSL, startując samodzielnie, wymyślił program, który da się streścić: Bóg istnieje, więc PSL też. Mogli dorzucić nowoczesny postulat o zaganianiu z pastwisk bydła dronami. A Kaczyński by ich zdyskontował programem: tucznik powyżej pół tony głośuje, kto mu zabroni? Świni? Z Biedroniem, derwiszem polskiej polityki, nie da się rozmawiać. Z derwiszami się tylko tańczy. Szkoda, że na Titanicu. To tyle o zjednoczeniu opozycji. Co do jej przywództwa – wycofanie się Tuska usprawiedliwia jedynie jego nadzieja na najwyższe stanowisko w Unii. Ogłoszenie wyników – trzydziestego czerwca. Jeśli zrezygnuje z kandydowania na prezydenta Polski przez brak przewagi w sondażach, znaczyłoby, że oczekiwał władzy podanej na tacy. Sprytnie? Radził nam przecież użyć sprytu”. Rety, chyba dawno już nie przeczytałem tylu zdań na antenie za jednym razem. Podoba mi się Biedroń jako derwisz. Widzę go, jak tańczy. A skoro mowa o tańcu, to zatańczmy do Savoy Brown i Train to Nowhere.

GODZ._8.02

– Może pan to ściszyć? – zapytała Anna Kwiecińska.

– Jasne – odparł kierowca, spoglądając we wstecznym lusterku na swoją pasażerkę. Miała taką minę, że gdyby był choć trochę mniej pewny siebie, to wysiadłby z tego samochodu, podziękował Kwiecińskiej za pracę jej osobistego szofera i ukrył się przed nią pod najcięższym kamieniem.

– Dziękuję – powiedziała. – Nienawidzę gitar.

– Okej. Już myślałem, że Gretkowskiej.

– Słucham?

– Nie, nic. – Kierowca ugryzł się w język.

Reszta drogi minęła im w milczeniu. Zatrzymał się koło stacji Politechnika niedaleko wejścia na teren budowy. Gdy tylko zniknęła, kierowca odruchowo przeżegnał się, modląc się w intencji osób, które Kwiecińska spotka dziś na swojej drodze.

Żeby opuścić pod ziemię tarcze TBM, mające wierceć trzecią linię metra, musiał powstać szyb startowy. Jego budowa po drugiej stronie alei Armii Ludowej sama w sobie była gigantyczną batalią o wymagane zgody. W końcu zabierano mieszkańcom część Pola Mokotowskiego i przenoszono pomnik Jazdy Polskiej, i to raptem niespełna rok po tym, jak na skutek obywatelskiej inicjatywy został obrócony w stronę ronda i stacji metra. „Modernizacja miasta wymaga ofiar” – powtarzała Anna. Zgadzał się z nią prezydent i wszyscy święci. A że komuś mogło się to nie podobać? No cóż. W przeciwieństwie do poprzedniczki i starego Ratusza ani Bolesławski, ani Kwiecińska nie byli zamieszani w awantury reprzywatyzacyjne. Nie kradli kamienic, nie eksmitowali ludzi. Oni mieli zupełnie inny plan, którego takie pierdoły jak kamienica czy kawałek autostrady nie mogły zniweczyć. Za to uniemożliwienie warszawiakom swobodnego przemieszczania się i odebranie im komfortu mieszkania w najbardziej dynamicznie rozwijającej się europejskiej stolicy – już tak.

Podeszła do jednej z tarcz. Była gigantyczna. Czteryście piętnaście ton zaraz zostanie opuszczone do szybu startowego, od którego zacznie się budowa trzeciego odcinka. Technika, jaką wykorzystywały tarcze, pozwalała drążyć i zasklepić tunel równocześnie. Czasy, kiedy kopano wielkie dziury, a dopiero potem wprowadzano do nich sprzęt budujący tunel, minęły bezpowrotnie. Kwiecińska spojrzała na plac budowy, w jaki zamieniła się ta część Pola Mokotowskiego. Przez chwilę warszawiacy będą marudzić, ale potem... potem będą zachwyceni.

– Piękna, prawda? – powiedział do niej jakiś mężczyzna w żółtym kasku. – Głowica waży czteryście piętnaście ton, żeby ją opuścić, wykorzystujemy specjalistyczny dźwig o wadze trzystu pięćdziesięciu ton, z dociążeniem pięciuset ton. Jego udźwig wynosi około ośmiuset ton.

– Aha – odparła znużonym głosem Anna.

– Jedna tarcza TBM z zapleczem to niemal sto metrów długości, masa całkowita ponad sześćset pięćdziesiąt ton i ponad sześć metrów średnicy – kontynuował mężczyzna. – Gdy zauważył, że Anna nawet na niego nie patrzy, zawiesił głos.

– Spokojnie, słucham pana – powiedziała. – Dla mnie najważniejsze jest jedno. To ma działać.

– Ależ będzie działać, pani Anno.

– O! Ale miło, czyli wie pan, kim jestem, a nie próbował mnie pan poderwać na wiertło.

– Oczywiście, że wiem, kim pani jest. Nazywam się Ryszard Maruszko. Jestem szefem budowy. Poznaliśmy się.

– Metro będzie działać normalnie? – zignorowała to, co powiedział przed chwilą.

– Absolutnie. Poza momentem, kiedy uruchomimy tarczę. To jakiś kwadrans, żeby ziemia osiadła i praca ruszyła jak należy. Potem cała pierwsza linia będzie jeździć jak zawsze, a my jakieś siedem metrów pod nią będziemy robić swoje. Poza

tym robiliśmy testy rano, dwa razy. Ziemia reaguje jak należy. Wszystko będzie dobrze.

– Doskonale – powiedziała.

Przez chwilę Maruszko myślał, że go pochwaliła, ale Kwiecińska nawet nie zwróciła na niego uwagi.

Bez słowa ruszyła w stronę dwóch młodych dziewczyn, sekretarki i asystentki prezydenta. Obie miały za zadanie skontrolować miejsce, w którym Bolesławski wygłosi przemówienie. Ponieważ Anna uważała, że jedyne kompetencje, jakimi mogły się pochwalić dziewczyny, to seks oralny, była przekonana, że wszystko musi po nich sprawdzić.

GODZ._9.12

Straciłam świadomość na jakieś dziesięć minut. Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że wyjechaliśmy z Kościana. Nie byliśmy daleko od zabudowań, ale na pewno byliśmy już poza miastem.

– Księżniczka wraca – powiedział ktoś, kto siedział obok mnie.

Znałam ten głos, ale nie potrafiłam jeszcze przypisać go do twarzy. W sumie to w ogóle nie widziałam twarzy, bo co chwilę śnieżyło mi przed oczyma.

Zamknęłam powieki. Zacisnęłam je z całych sił, a potem powoli otworzyłam. Wykonałam tę czynność dwa, może trzy razy. Obraz zaczynał się stabilizować. Bok piekł mnie niemiłosiernie. Ręce w nadgarstkach miałam związane plastikową opaską.

A jednak to amatorzy – pomyślałam. Gdyby wiedzieli, kim jestem, zapięliby mi takie samo ustrojstwo także na nogach. Czekałam, aż błędnik się uspokoi, a głowa przestanie mnie napieprzać. Było ich trzech. Dwóch przebierańców i ten, którego głos kojarzyłam. On był najbardziej niebezpieczny, sądząc po tym, z jaką siłą uderzył mnie drzwiami. Obraz wrócił do normy. Powoli odwróciłam głowę w stronę głosu.

Gdy zobaczyłam jego twarz, wspomnienia wróciły z siłą Niagary.

Kiedy ostatni raz go widziałam, był młodszy. I o jakieś czterdzieści kilogramów mniejszy. Ale to był on.

Mecenas.

Jemielita.

Pamiętałam jego śmiech, kiedy banda zwyrodnialców gwałciła mnie na stole.

– Czołem, ptaszynko – powiedział, uśmiechając się szeroko.

Nic nie powiedziałam.

Były dwa wyjścia. Albo będą chcieli zabić mnie tu i teraz, albo są na tyle głupi, że będą chcieli zawieźć mnie do Warszawy, żeby mógł się mną zająć Terlecki. Sądząc po tym, że zamiast kulą potraktowali mnie prądem, obstawiałam wersję numer dwa. Dla mnie lepiej. Podrasowane bmw 330i gran turismo wyciąga jakieś dwieście na godzinę. Przy takiej prędkości do Warszawy dojedziemy mniej więcej w dwie godziny. Odejmując kwadrans, który zajęła mi utrata przytomności i dochodzenie do siebie, miałam nieco ponad sto minut na wymyślenie, jak się stąd wydostać. I miałam wolne nogi. Oni zaś byli bardzo pewni siebie. A zbytnia pewność siebie to pierwszy krok do grobu. Teraz tylko musiałam znaleźć odpowiedni moment.

Zanim wjedziemy na autostradę i zaczniemy pędzić, będziemy musieli jakieś trzydzieści kilometrów przejechać bocznymi drogami i przez małe miasta. Dużo zakrętów i drzew.

Wcisnęłam się mocno w kąt, który tworzyły drzwi i siedzenie. Pod kątem czterdziestu pięciu stopni mogłam użyć nóg. Wnętrze bmw nie było przestronne, ale to też działało na moją korzyść. Im mniej miejsca, tym trudniej będzie im kontratakować. Poza tym byli facetami. Jemielita miał nadwagę. Przebierańcy byli wysportowani, ale żeby mnie dosięgnąć, musieliby się odwrócić i mocno wygiąć. Jeśli nie mogli mnie zabić, zapewne nie będą chcieli używać broni.

Plan był prosty.

W odpowiedniej chwili musiałam kopnąć Jemielitę w gardło. Gdy mecenas zacznie się dławić, będę miała jakieś pół sekundy, żeby piętą kopnąć kierowcę w potylicę, a ciałem naprzeć z całych sił na siedzenie pasażera. Jeśli zrobię to odpowiednio szybko i mocno, być może uda się mi złamać zębatkę i wygiąć fotel tak, żeby mężczyzna musiał użyć całej siły, by odwrócić się w moją stronę. Tylko tyle. Albo aż tyle. Był jeszcze jeden element. Wszystko to na prostej drodze niczego w moim położeniu by nie zmieniło. Ale jeśli uda mi się narobić zamieszania, gdy będziemy wchodzić w ostry zakręt... Jeśli wypadniemy z drogi, szanse na to, że któryś z tych facetów zginie, rosły w gigantycznym tempie.

Byliśmy jakieś piętnaście kilometrów od zjazdu na autostradę. Przed nami był tylko jeden ostry zakręt, który spełniał wymagania – w tym miejscu po obu stronach drogi na poboczu rosły stare dęby. Droga średnio uczęszczana. Dwa kilometry za miejsciną, która nazywała się Czarny Staw.

Macałam dłońmi drzwi. Niestety nie znalazłam nic ostrego, co mogłoby rozciąć plastikowe bransoletki.

– Nieźle się zakopałaś – powiedział Jemielita.

Milczałam.

Nie miałam mu nic do powiedzenia. Może poza jednym: że z ogromną chęcią rozjebię mu ten parszywy ryj, ale tego chyba nie chciał usłyszeć. Ludzie dziwnie reagują, gdy ktoś zaczyna im grozić.

Wjechaliśmy do Czarnego Stawu. Kątem oka zobaczyłam chłopaka, który szedł z dziewczyną, mieli pudło, w którym chyba nieśli kota. Dzieciaki ze swoim pupilem. Jak, kurwa, słodko.

Zostało mi może siedem minut do chwili, gdy spowodowanie wypadku stanie się niemożliwe. Jeszcze mocniej wbiłam się plecami w siedzenie. Za chwilę będzie moją ścianą, od której z całej siły odbiję się w stronę pasażera. Zaczęłam w myślach liczyć od stu w dół.

Gdy dotarłam do pięćdziesięciu, spojrzałam na mecenasa.

– Przytyłeś – rzuciłam.

– O, to mówi – odparł z uśmiechem.

– Mówi.

Kilometr za Czarnym Stawem.

Zostało mi kilkadziesiąt sekund. Jechaliśmy dziewięćdziesiąt na godzinę. W tym tempie samochód pokonuje dwadzieścia pięć metrów na sekundę. Czterdzieści sekund.

Trzydzieści.

Dwadzieścia.

Dziesięć. Mocno zaparłam się plecami.

Pięć.

Z całej siły kopnęłam Jemielitę. Podbicie stopy trafiło w przełyk, wbijając mu jabłko Adama w gardło. Zapowietrzył się. Nie czekałam na dalszy ciąg. Odbiłam stopę od ciała i z całej siły uderzyłam kierowcę w czaszkę. Cios nie był tak celny, jak planowałam, ale skuteczny. Zaskoczony kierowca na sekundę wypuścił kierownicę z rąk. Pasażer chciał mu pomóc, ale wtedy runęłam na jego fotel. Wnętrze bmw zamieniło się w pole walki. Kierowca stracił panowanie nad samochodem. Od drzewa dzieliły nas dwie sekundy. Ciągnęły się w nieskończoność.

A potem zobaczyłam, że nie wszystko szło tak, jak zaplanowałam.

ROZDZIAŁ 9

GODZ._8.04

Dobra, to zmienimy temat, bo mi piszecie, że macie dość polityki. A lubicie koty? Albo Tomasza Kota? Po międzynarodowym sukcesie Idy i po słynnej już sesji dla amerykańskiego „Vogue’a” nasz koci towar eksportowy dostał rolę w amerykańskim filmie. Aktor wcieli się w postać Nikoli Tesli w filmie biograficznym poświęconym genialnemu inżynierowi i wynalazcy. Jako że jest to główna rola, istnieje szansa, że Tomasz nie podzieli w Hollywood losu Weroniki Rosati i jego udział w filmie nie ograniczy się tylko do pokazania biustu. Ale nawet gdyby, to powiem wam, że biust Kota chyba jest ciekawszy niż Rosati. A skoro jesteśmy przy karierach, to posłuchajmy zespołu The Seeds i ich cudownego hymnu Pushin’ Too Hard. Nie pchaj za mocno, Tomek.

GODZ._8.06

Zanim trzy radiowozy przyjechały pod dom Adriany Kamińskiej, Łobodziński zdążył oswoić się z widokiem krwawiącej głowy w zlewie. Zabezpieczył przestrzeń w kuchni, tak by ekipa zdejmująca ciało nie zniszczyła śladów wybuchu. Niby wszyscy grali do tej samej bramki i wszyscy wiedzieli, na czym ta robota polega, ale nie raz i nie dwa widział, jak prokurator opierdalał z góry do dołu mundurowych za zniszczenie miejsca zbrodni.

Czekając na kolegów, policjant obszedł dom dookoła. Okno w kuchni wychodziło na stylowy ogródek, który sądząc po tym, jak był zadbane i urządzone, musiał być oczkiem w głowie denatki.

– W głowie... – powiedział na głos i zaśmiał się gorzko.

Nie znał się na stylach ogrodniczych, ale ten jakiś miał, tyle że jego o wiele bardziej interesowało nie rozgryzienie zagadki, jak zaprojektowano ogród, lecz czy na zewnątrz widać było ślady eksplozji. Ściana, która wewnątrz była rozszarpana, tu miała małe wybrzuszenie. Cała siła detonacji poszła do środka.

– Czyli musiał tam być ciąg wentylacyjny i powietrze pchało do środka – powiedział znów do siebie.

Dom nie był podpiwniczony, więc cokolwiek rozerwało ścianę i zabiło kobietę, musiało mieć ujście tuż pod fundamentem. Pewnie ekipa stawiająca dom olała przepisy budowlane i zanurzyła podmurówkę na jakieś pół metra. Może – ponieważ było to jednak centrum Warszawy, i to na terenach zrównanych z ziemią podczas wojny – istniał jakiś stary fundament albo piwnica. Cholera wie. Coś było pod domem, bo moneta spadała długo, a gdy w końcu sięgnęła dna, uderzyła o kamień albo beton. Zapomniany kanał burzowy...

Łobodziński kręcił się wokół domu. Wciąż nie słyszał radiowozów. Jeszcze raz podszedł do ściany. Wbił w ziemię but. Była miękka. W nocy nie padało, nie było też w tym miejscu zraszaczy. Zatem ziemię musiał rozmiękczyć wybuch. Kopnął wystającą grudkę – odbiła się od muru i rozpadła. Policjant przyglądał się ziemi, a potem odruchowo podskoczył.

Nic się nie wydarzyło.

Ważył jakieś dziewięćdziesiąt kilogramów. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu.

Podskoczył jeszcze raz.

Nic.

– Pojebało cię – powiedział.

Zrobił krok w stronę ścieżki prowadzącej do domu.

I wtedy nagle ziemia usunęła mu się spod nóg. Najpierw poczuł, jak lewa stopa wisi w powietrzu. Zanim jego mózg zdołał zareagować, to samo stało się z prawą stopą. Przez ułamek sekundy czuł się jak bohater kreskówki, który wisi w powietrzu, zanim zorientuje się, że spada. A potem runął w dół.

„Kurwa mać” – pomyślał.

Trzy sekundy później uderzył czaszką o kamień. Gdy spadł na dno tunelu, już nie żył.

GODZ._9.13

Nie miałam pojęcia, jak znalazła się tam kobieta. Pojawiła się tuż przed maską. Potem jej głowa wbiła się do środka samochodu przez przednią szybę. Sekundę później walnęliśmy w drzewo. Numer jeden nie miał zapiętych pasów. Zanim otworzyły się poduszki powietrzne, całą swoją masą uderzył w kierownicę. Pasażer także nie zapiął pasów. Tyle że u niego poduszka powietrzna zadziałała bez zarzutu. Odbił się od niej, ale przestawiony fotel sprawił, że zamiast bezpiecznie opaść na zagłówek, trafił karkiem w jego kant. Wydawało mi się, że przez jazgot wyginającej się blachy słyszałam chrzęst pękających kręgów.

Jemielita się dusił. Najpierw dzięki mnie, potem uderzenie poprawił impet wypadku. Mecenas charczał, jakby miał wypluć płuca. Nic takiego nie nastąpiło. Za to zwyczajnie się udusił. Marny koniec marnego człowieka.

Najpierw walnęłam prawym barkiem w przedni fotel, potem lewym w oparcie z tyłu. Obijałam się niczym szalona piłka, ale gdy siła uderzenia opadła, byłam jedyną żywą osobą w środku. Wymacałam dłonią klamkę. Na szczęście drzwi się otworzyły i wypadłam na zewnątrz. Upadłam na plecy. Zrobiłam przewrót w tył i stanęłam na nogach. Obiegłam samochód dookoła. Otworzyłam drzwi od strony kierowcy. Numer jeden dogorywał. Krew wylewała mu się z ust.

Musiałam jak najszybciej pozbyć się plastikowych bransoletek.

Na kolanach kierowcy leżał spory kawałek szkła, które, o dziwo, zamiast rozbić się w drobny mak, złożyło się w nieforemny kwadrat. Odwróciłam się tyłem. Podnosząc szkło, rozcieram dłoń.

DNA.

Nie mieli moich danych w systemie, ale zostawianie śladów nigdy nie było czymś rozsądnym. Cięłam plastik. Czułam, jak po kolei puszcza każda część zapięcia. Pół minuty później masowałam nadgarstki, wcierając w nie własną krew.

Spojrzałam na pobojowisko. Lada moment ktoś będzie tędy przejeżdżał i zatrzyma się, żeby pomóc. Musiałam działać.

Kobieta nie żyła. Moi nowi koledzy także. Problemem było ułożenie jej ciała. Każdy się domyśli...

Adrenalina daje siłę. Mało kto wie, że strzał adrenalinowy nie trwa, jak to pokazują w filmach, kilkadziesiąt minut. To raptem sekundy. Jeśli się ich nie wykorzysta, nadludzka moc, jaką daje ten hormon, zniknie. Znów stajesz się człowiekiem. Szarpnęłam ciało. Kobieta osunęła się po masce na ziemię. Złapałam ją za ramiona.

Martwe ciało nie zmienia wagi, ale bezwład sprawia, że wydaje się cięższe.

Przeciągnęłam kobietę pod tylne drzwi. Sprawdziłam jej kieszenie. Miała portfel. Włożyłam go do kieszeni bluzy i wyjęłam swój.

Na masce zaczął tańczyć mały ognik.

Miałam szczęście.

Naprawdę miałam szczęście.

Rozrzuciłam zawartość mojego portfela wokół samochodu, a potem zdjęłam z kobiety syntetyczny płaszczyk. Wełna nie rozprzestrzenia ognia, co więcej, jest samogasnąca. Co innego syntetyczne materiały. One były idealnym prezentem dla piromana amatora. Rzuciłam płaszczyk na maskę. Zapalił się. Płonącą kulę cisnęłam do wnętrza pojazdu. Wszyscy w środku mieli na sobie nowoczesne syntetyczne ciuchy. Dziękować Bogu za współczesną modę.

Wszystko to trwało niespełna trzy minuty. Pierwszy samochód przejechał koło miejsca wypadku po dwunastu. Wtedy nikt nie był już w stanie opanować pożaru. Kierowca zadzwonił po straż.

W powietrzu unosił się smród palonych ciał. Czułam go, mimo że byłam już jakieś półtora kilometra dalej.

Wtedy umarłam po raz trzeci.

ROZDZIAŁ 10

GODZ._8.08

Skoro jesteśmy przy kotach, to przenieśmy się do USA. Jak podaje Fox News, doszło tam do niezwykłego wypadku – pani wyprąła kota. Stefani Carroll-Kirchoff zamierzała zrobić pranie, gdy do bębna, niezauważony przez nikogo, wskoczył kot. Zwierzę wirowało godzinę. Masakra. Kotek przeżył, ale jest w stanie krytycznym. Pani zaś zbiera na portalach społecznościowych na jego leczenie. Niezwykłe. A zatem posłuchajmy zespołu niezwykłego. The Unusuals i ich jedyny hit I’m Walkin’ Babe.

GODZ._8.09

Obłucki czekał przed wjazdem do tunelu. Dookoła panował chaos. Kierowcy trąbili i krzyczeli. Choć ruch kierowany był na Tamkę i okoliczne ulice, to i tak korki rosły w zastraszającym tempie, a co za tym idzie, nagromadzenie przekleństw na centymetr kwadratowy przekraczało wszystkie dozwolone normy agresji. Tytus wysiadł z taksówki i szybkim krokiem ruszył w stronę machającego do niego Kazimierza.

– Pospiesz się. – Był to pierwszy komunikat, jaki usłyszał.

Sekundę później jakiś policjant chwycił go za ramię. Nie zdążył jednak nic powiedzieć, bo Obłucki znów przemówił:

– Niech pan go zostawi, to mój człowiek. Idziemy do środka.

Policjant nic nie powiedział. Zdjął dłoń z ramienia Tytusa, a ten zrównał się z szefem.

– Bardzo jestem ciekaw, co tam zastaniemy – zwrócił się Obłucki do Tytusa. – Znalazłeś coś?

– Nic – odparł Tytus zgodnie z prawdą. – Jeśli jakieś tajemnicze kanały istniały, to nie ma po nich śladu na starych mapach.

Obłucki zamyślił się. Tytus w tym czasie podziwiał kompletnie opustoszałe wejście do tunelu. Przed nim majaczyły żółte języki ognia, które jeszcze nie poddały się strażackim gaśnicom. Były malutkie i z daleka wydawały się niegroźne, ale wiedział doskonale, że w takich tubach powietrznych jak tunel nawet najmniejszy ogień mógł wyrządzić gigantyczne szkody.

– Weź, kurwa, to zgaś! – krzyczał jakiś strażak. – Pierdolisz się z tym już godzinę!

Poza służbami mundurowymi nie było nikogo. Policjanci chodzili wokół wraków. Ktoś robił zdjęcia, a flesze aparatów rozbłyskiwały w mroku. Na miejscu wypadku Tytus, zamiast patrzeć na wiatę i pozostałość po dostawczaku, spojrział w głąb tunelu. Pozbawiony samochodów, jazgotu, jaki na co dzień go wypełniał, tunel wyglądał jak paszcza jakiejś pradawnej bestii, która tylko czeka, aż ktoś wkroczy w jej mrok i zostanie pożarty.

– Ej. – Szarpnięcie za ramię wyrwało go z zadumy.

– Tak. Jestem. Przepraszam. Nigdy nie widziałem tak pustego tunelu. To przerażające – powiedział.

– Dzieła człowieka pozbawione człowieka pokazują całą swoją złowieszczą naturę. Tworzymy je na własne podobieństwo. Dlatego są tak niebezpieczne i mroczne – podsumował Obłucki. – Ale teraz wróćmy na ziemię. Spójrz tu. – Wskazał na pozostałość po wiacie.

Była to jedna z tych klasycznych autobusowych wiat, które ktoś zaprojektował tak, aby wyglądały, ale nie funkcjonowały. Zbyt wąski dach nie chronił przed

deszczem. Niewygodne ławki nie dawały wytchnienia. Ot, bubel za kilkadziesiąt milionów złotych. Jeden z wielu takich bubli. To, co wyróżniało ten konkretny, to fakt, że wiata była poskręcaną kupą szkła i złomu.

– Głowy obcięła im ta część. – Obłucki wskazał miejsce, w którym jeszcze niedawno była część wiaty. – Wybuch zdmuchnął konstrukcję. Część oderwała się od reszty i wyleciała na drogę.

– Pech.

– I to jaki.

– Ale co wybuchło? Wiemy coś?

– Dlatego tu przyjechaliśmy. Patrz. – Obłucki zrobił kilka kroków za wiatę i wskazał palcem dziurę w asfalcie.

– Studzienka – odparł Tytus.

– Tak.

– Bez przykrycia. Niebezpieczne.

– Ktoś musiałby to wieko ukraść w nocy. W takich punktach jak ten, gdzie pełno jest dzieci, bo przecież tu zaraz jest Centrum Nauki Kopernik, zarząd dróg i miejska kanalizacja dbają o bezpieczeństwo.

– Czyli co pan sugeruje? Ktoś wyniósł wieko do kanału...

– Przyjrzyj się wejściu. Nachyl się.

Dopiero gdy zaczął się przyglądać z bliska wejściu do kanału, zauważył to. Asfalt wokół był osmolony, jakby ktoś rozpałił w tym miejscu ognisko, a płomienie wydostawały się na powierzchnię.

– O Boże... – westchnął Tytus. – Ktoś znalazł to wieko?

– Nie – odparł Obłucki.

Tytus rozejrzał się dookoła. Żeliwny właz ma jakieś półtora centymetra grubości i waży ponad trzydzieści kilogramów. Żeby czymś takim rzucić, potrzeba siły. Bardzo dużo siły. Nigdzie wokół nie widział ani włazu, ani pozostałości po nim.

– Nie rozglądaj się tak. Już to zrobiliśmy. Nie ma. Wyparował – powiedział Obłucki.

– Widzę.

Tyle że w świecie Tytusa nie było miejsca na znikające włazy. Podrapał się po brodzie. To cholerstwo musi tu gdzieś być. Odruchowo podniósł głowę. Zmrużył oczy.

Tunel miał blisko pięć metrów wysokości. Dokładnie nad jego głową majaczyło coś... Coś, czego nie powinno tam być. Tytus klepnął Obłuckiego w ramię.

– Co?

Nie odpowiedział. Wskazał tylko palcem na strop.

– O kurwa – zaklął Obłucki.

Patrzyli na wbity w sufit właz od studzienki.

GODZ._9.14

Czy myślałam o tej kobiecie? Nie. Zginęła. Nic nie mogłam na to poradzić. Czy to była moja wina? Zapewne tak. Ale to nie ja zaczęłam tę wojnę. Ona została rozpętana dawno temu, a każda wojna pociąga za sobą ofiary. Nie wiem, kim była ta dziewczyna, nigdy tego nie sprawdziłam. To było nieistotne. Ważne było tylko jedno – czy policja i moi prześladowcy uznają, że jej ciało to ja.

Mogłam oczywiście zadzwonić do Partyki, ale dałabym mu w ten sposób znać, że żyję. Nie wiedziałam, jak głęboko sięgają macki Terleckiego, ale gdyby uznał, że zginęłam, kupiłabym sobie czas. Mówienie komukolwiek o tym, że ocalałam, równało się z ryzykiem, a tego podejmować nie chciałam.

Wróciłam spacerem do Czarnego Stawu, kupiłam w sklepie butelkę coli, za którą zapłaciłam kartą Dominiki Czerskiej, bo tak nazywała się ta kobieta, która zginęła zamiast mnie. Musiałam stworzyć jej legendę. Jeśli policja uzna, że zginęłam w wypadku, zniknę z listy poszukiwanych. Ale na moje miejsce najpóźniej jutro wskoczy Dominika. Musiałam dać jej trochę życia, nawet po

śmierci, niech śledczy szukają jej w Krakowie, Częstochowie. Niech wszyscy myślą, że uciekła, szukając lepszego życia. Okrutne, ale z drugiej strony świadomość, że ktoś uciekł, daje rodzinie nadzieję. Śmierć jest nieodwracalna. Zabiera wszystko. A czasami warto mieć nadzieję, nawet jeśli to jedyna rzecz, jaką mamy.

Wsiadłam do busa, w którym kierowca prowadził płatność terminalem. Od chwili swojej śmierci Dominika wydała dwanaście złotych. Godzinę później wysiadła na Dworcu Głównym w Krakowie. Tam, ku zaskoczeniu wszystkich swoich bliskich, pierwsze kroki skierowała do lombardu, w którym kupiła stary telefon komórkowy, i do kiosku, gdzie za dwadzieścia złotych nabyła pakiet startowy. Włożyła kartę SIM do telefonu, po czym zadzwoniła do banku, w którym kartę miała Dominika. Zgłosiła zaginięcie telefonu. Ponieważ skradziono jej tylko telefon, nie chciała blokować kart, ale mogła mieć w aparacie zapisane hasła do konta, więc chciała zmienić PIN do karty i kod dostępu do bankowości online. Pracująca na infolinii Renata Kuryłowicz pogratulowała Dominice przezorności i zapobiegliwości. Pomogła jej ustalić nowe hasło PIN i nowe loginy. Na koncie wciąż miała pięć tysięcy osiemset złotych oraz pięćset dwadzieścia euro na subkoncie walutowym. Dominika zleciła przelanie euro na konto złotówkowe. Teraz miała ponad siedem tysięcy. Ustawiła limit wypłaty jednorazowej z bankomatu na dziesięć tysięcy i podziękowała za pomoc uczynnej Renacie. Pracownica cieszyła się, że mogła pomóc. Dominika cieszyła się, że trafiła na tak mało dociekliwą osobę. Kiedy kwadrans później wypłaciła całe oszczędności z konta, Dominika Czerska umarła. Lub raczej rozpułnęła się w powietrzu.

Oczywiście był problem. Galerie handlowe miały monitoring, który co prawda przechowywano tylko siedem dni, ale był. Gdyby ktoś wyruszył tropem Dominiki, znalazłby kobietę, która posługuje się jej dokumentami. Stąd tylko krok dzieliłby ich od domyślenia się, że to jednak nie ona. Co prawda kupiłam czapkę z daszkiem, sportową kurtkę i jeszcze jedną bluzę z kapturem, wyrzuciłam do kosza tę, w której przyjechałam, ale wciąż wyglądałam zupełnie inaczej niż Dominika.

A co, jeśli zginęła kobieta, która miała wynaleźć lek na raka? Tym nie zaprzętałam sobie głowy, nie mogłam sobie pozwolić na luksus przejmowania się losem Dominiki. Poza tym ktoś kiedyś powiedział, że nie ma żadnej pewności, że gdyby powiódł się zamach Beppo Römera na Hitlera, historia zmieniałaby bieg, a druga wojna by nie wybuchła. To było tuż po tym, jak Hitler został kanclerzem. Chyba Marks twierdził, że wydarzenia następują po sobie w sposób nieunikniony. Wojna miała wybuchnąć, świat miał pogrążyć się w chaosie. Dominika miała zginąć. Jemielita miał się zamienić w skwarę. Tak miało być. Tego chciała natura czy siła wyższa.

Jakieś cztery godziny po swojej trzeciej śmierci siedziałam w pociągu Intercity do Warszawy. Sto osiemdziesiąt pięć minut podróży. Pusty przedział. Zamknęłam oczy. Napięcie opadło. Mogłam zasnąć. Kiedy nie wiesz, czy będziesz w przyszłości mógł spać – wyśpij się na zapas. Zapadałam się w ciemność.

ROZDZIAŁ 11

GODZ._8.15

Uwaga, chłopaki i dziewczyny. Pamiętajcie, jak Andrzej Rosiewicz skakał dla prezydenta Trumpa? No cóż, niestety, chyba przestanie, bo... No wiecie... Czy to przystoi konserwatywnemu muzykowi skakać przed kimś, kto wspiera to złe LGBT? Zmierzam do tego, że we wpisie na Twitterze zamieszczonym przez ambasadę USA w Polsce możemy przeczytać: „W związku z ogłoszeniem przez prezydenta Stanów Zjednoczonych Miesiąca Dumy LGBT nasza ambasada przyłącza się do globalnej kampanii na rzecz dekryminalizacji homoseksualizmu”. Ambasada dodała też zdjęcie przedstawiające tęczowe flagi zawieszane na jej budynku. Oj, boli to zapewne wielu, oj, boli. To co, zanurzymy się w legendzie sceny garażowej. It's Us, zespół, który wydał tylko kilka singli. W tym ten: Don't Want Your Lovin'. To dla ciebie, Andrzej.

GODZ._8.16

– Czego?! – warknęła do słuchawki Kwiecińska.

Za czterdzieści pięć minut miało zacząć się opuszczanie tarczy. Za pół godziny przyjedzie tu Bolesławski i wszystko musi działać jak w zegarku, zwłaszcza że media już ustawiły się w szpalerze. Zarówno te przychylnie Ratuszowi, te, których zyczeniowość można było kupić, jak i te, które chciały pieniędzy, ale głównie za to, że pluły jadem.

– Bartek Płachocki mówi – usłyszała w słuchawce. – Rzecznik Komendy Głównej.

– Słucham – powiedziała, tym razem ciut mniej oschle.

– Wiem, że pani i pan prezydent jesteście zajęci otwarciem budowy, ale uznałem, że warto pani o tym powiedzieć. Mieliśmy drugi wybuch. Kilometr od pierwszego. Zginęła kobieta.

Kwiecińską zmroziło. Jeśli spojrzeć na to, co działo się na świecie, to takie wydarzenia jak ich otwarcie budowy były idealnymi miejscami na atak terrorystyczny. Dzieci z rodzinami. Notable. Dużo gapiów. Dwa wybuchy. Potem trzeci zmasowany atak? Jak w Paryżu?

– To ataki?

– Słucham?

– Pytam, czy to ataki terrorystyczne. Czy mamy czerwony alarm i musimy się zbierać.

– Nie. W tunelu to w sumie wypadek, u tej kobiety chyba wybuch gazu. Ale pomyślałem, że panią ostrzegę. Wie pani, gdyby jakiś dziennikarz przypadkiem się dowiedział i podczas konferencji zadawał niewygodne pytania.

– Racja. Dzięki. Ale mówi pan, że jesteśmy bezpieczni?

– Tak. Nic nie wskazuje, żeby miało być inaczej.

– Dziękuję i doceniam – odparła i rozłączyła się.

Musi zapamiętać tego kolesia. Miał instynkt. W drodze na szczyt potrzebują ludzi z instynktem. Włożyła telefon do kieszeni żakietu, odetchnęła z ulgą i ruszyła w stronę podium, na którym miał przemawiać prezydent.

– Czy ty się z cipą na głowę zamieniłaś!? – wydarła się na młodą dziewczynę ustawiającą butelki z wodą.

GODZ._9.15

AL. RÓŻ 3/5/7

232309

Nigdy nie sądziłam, że kiedyś przypomnę sobie ten adres i te cyfry. W ogóle nie wiedziałam, że go pamiętam. Dostałam go dawno temu, w innym życiu, był czymś w rodzaju ubezpieczenia. Miejscem, do którego idziesz, gdy nie masz już dokąd pójść. Im bliżej Centralnego byłam, tym mocniej przebijał się do mojej świadomości, niczym duch, który powraca, by straszyć tych, którzy na to zasłużyli.

Dwadzieścia lat.

Wtedy Dworzec Centralny śmierdział moczem, roiło się na nim od Czeczeńów i bezdomnych, a budynek wyglądał tak, jakby wybuchła w nim bomba, ale wszyscy uparli się ten fakt ignorować. Teraz było inaczej. Smród uryny zniknął. Wciąż unosiła się tu dość specyficzna woń, ale silne detergenty zrobiły swoje. Można było oddychać.

Przemknęłam przez peron ze wzrokiem wbitym w ziemię. Dwadzieścia lat temu nie było kamer, a jeśli jakieś zamontowano, to nie działały. Teraz było inaczej, więc ostrożności nigdy za wiele. Nikt nie szuka trupa, ale trup sam może przypadkowo wstać z grobu i robi się z tego cyrk. Albo religia. Historia zna takie przypadki.

W Warszawie padał deszcz. Zapięłam pod szyję zamek kurtki i ruszyłam w stronę postoju taksówek. Już miałam wsiadać do białego citroëna, kiedy nagle mnie olśniło. Terlecki, Grubas, mój szef Maks. Oni wszyscy porozumiewali się przez taksówkarzy. Taksiarze w Warszawie nie tylko byli oczyma mafii. Oni nią byli. Stanowili rodzinę, która zza kółka rządziła miastem. Może i czasy się zmieniły, ale nawyki nie umierają same, ale z całym pokoleniem. Przeprosiłam, trzymając głowę na wysokości dachu, tak, żeby kierowca nie widział mojej twarzy, i zamknęłam drzwi. Miałam do przejścia niespełna dwa kilometry. Przecinając Emilii Plater i Koszykową, dotrę na miejsce za jakieś dwadzieścia minut. Naciągnęłam kaptur na czapkę i ruszyłam w deszcz.

Kryjówka. Bezpieczne miejsce. Schowek. Agencje wywiadowcze, służby specjalne – wszyscy takie mieli. Miejsca, w których w razie gdyby przykrywka czy misja zostały spalone, można się ukryć i przeczekać. Miejsca, o których nikt nie wie. Maks żył w czasach, kiedy świat podzielony był żelazną kurtyną i sam miał sprzymierzeńców po obu jej stronach. Aleja Róż zawsze zaś była miejscem, gdzie można było załatwiać różne interesy tuż pod okiem władz. W końcu tu był budynek Ministerstwa Sprawiedliwości, a niedaleko siedzibę miał zarówno premier, jak i ambasada Stanów Zjednoczonych. Wszystko pod ręką. Obok domu numer trzy znajdowała się teraz ambasada Serbii. Mogłam tylko się domyślić, że wcześniej tereny te były wynajmowane przez władze Jugosławii, a Maks musiał tam kogoś znać. Ten ktoś był bardzo wysoko postawiony. Jak wysoko – miało się wyjaśnić lada moment. Jeśli wciąż było tam miejsce Maksa, znaczyło, że bardzo.

Aleja Róż 3, czyli dworek w centrum miasta. Na bramie złota tabliczka z informacją, że jest to siedziba ambasadora. Biała budka strażnicza. Wcisnęłam domofon. Przez chwilę aparat buczał. Po trzydziestu sekundach zabrzmiał w nim głos kobiety.

– Tak?

– Ja... – Cholera, zatkało mnie. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Ja co?

– Tak? – Głos po drugiej stronie był zniecierpliwiony.

– Ja do pięć przez siedem – wypaliłam.

Na chwilę zaległa cisza. Po kilku sekundach kobieta się odezwała.

– Hasło! – rzuciła stanowczym głosem.

Kurwa, Maks, dzięki – przeklinałam w myślach. Jakie hasło... Wtedy przyszła mi do głowy najgłupsza rzecz. Ulubionym muzykiem Maksa był Charles Mingus. Wiedział o nim wszystko, znał każdą jego płytę na pamięć.

– Mingus – wypaliłam.

Kobieta nie odpowiedziała. Za to zabręczał dzwonek w bramie i zamek puścił.

Nie miałam pojęcia, co robię, ale to, co zostawił Maks, działało. Wbiegłam po schodach i stanęłam pod drzwiami. Znów zabręczał zamek. Pchnęłam ciężkie,

masywne drewniane drzwi. Za progiem czekała na mnie kobieta. Być może w moim wieku. Miała na sobie ciemny, obcisły kostium. Włosy upięte w kok. W dłoniach trzymała szarą podkładkę, na jakiej zazwyczaj trzyma się dokumenty.

– Zapraszam – powiedziała. – Przepraszam, że musiała pani czekać, ale wie pani, jak to jest. Protokół pięć przez siedem to rzecz jeszcze z lat dziewięćdziesiątych. Dziś mało kto go używa.

– Ach tak.

– Tak – odparła. – W zasadzie to jest pani jedyną osobą od dekad.

– Rozumiem – skłamałam.

Byłam w posiadłości ambasadora Serbii i nie miałam pojęcia, co tu robię. Protokół 5/7? Maks, w co ty mnie wpierdoliłeś?

– Likwiduje pani czy tylko przegląda?

– Słucham?

– No protokół pięć przez siedem. Skrytki dyplomatyczne. Są opłacone na pięćdziesiąt lat i nikt poza osobami uprawnionymi nie może do nich zaglądać. W razie wygaśnięcia opłaty cała zawartość trafia do aparatury niszczącej.

– A gdyby w skrytce była bomba? – zapytałam.

– Takie rzeczy są możliwe tylko w filmach – odpowiedziała kobieta z uśmiechem.

Zaprowadziła mnie do pomieszczenia, które dawno temu musiało robić za piwniczkę na wino, tyle że zamiast stelaży na ścianach umieszczono stalowe skrytki podobne do tych, jakie są w bankach.

– Nikt się nie zgłasza po nie? – Wskazałam na skrytki.

– Mówiłam, że jest pani pierwszą osobą od lat.

– Niektóre tajemnice nie powinny ujrzeć światła dziennego – powiedziałam ni to do siebie, ni to do niej.

Nie odpowiedziała. Za to wskazała ręką szafkę numer 3/5/7.

– Rozumiem, że zna pani kod dostępu. Stosujemy tu podwójne zabezpieczenia. Pierwsze już pani podała. Teraz musi pani wpisać drugie. W przypadku trzech

pomyłek straż wyrzuci panią z budynku – oznajmiła i wyszła z pokoju.

Świetnie. Teraz zrozumiałam, dlaczego Maks zapisał na kartce te dane. Nawet gdyby ktoś się domyślił, gdzie iść, bez hasła podstawowego zostałyby zapewne przepędzony, zaś wtargnięcie na teren ambasady, a co za tym idzie, obcego państwa, groziło dyplomatycznym skandalem, który trudno zatuszować. Spojrzałam na zamek. Przypominał staroświecki szyfr. Zresztą nie tyle przypominał, co nim był. Sześć cyfr.

232309

Coś stuknęło. Mechanizmy ustąpiły i małe drzwiczki stanęły przede mną otworem. W środku była metalowa skrzynka. Długa, ale płaska. Wysunęłam ją i położyłam na stoliku, który znajdował się obok pod ścianą. W środku znalazłam okręcone gumką dowody osobiste, kilka paszportów oraz koperty. Spojrzałam na dowody osobiste. Na pierwszych widniała twarz Maksa. Tak dawno jej nie widziałam, że łzy same napłynęły mi do oczu. Pozwoliłam dwóm spłynąć po policzkach.

Pod dokumentami wystawionymi na jego nazwisko znalazłam pięć plastikowych dowodów z moim zdjęciem. Wyszarpnęłam pierwszy z brzegu.

Maria Król. Dowód ważny do 2021 roku. Zdjęcie było stare, miałam na nim osiemnaście lat, ale na szczęście natura była dla mnie łaskawa. Przybyło mi zmarszczek, ale twarz miałam wciąż niemal taką samą.

Problem z dokumentami został rozwiązany. Obstawiałam, że koperty będą zawierać kilka innych pomocnych rzeczy, takich jak чеки, być może gotówka i jakieś krępujące dane. Wszystko, czego potrzeba, by zdobyć władzę nad innymi.

Nie miałam ze sobą plecaka ani torby, więc wsunęłam koperty za kurtkę. Dowody osobiste i paszporty zostały w skrytce. Gdy podniosłam ostatnią kopertę, moim oczom ukazał się on. Czarny glock 19. Wsunęłam go za pasek, tak jak uczył mnie Maks. Po lewej stronie. Jeśli jesteś praworęczna i ktoś postrzeli cię w prawą rękę, mając broń ukrytą po lewej stronie, łatwiej po nią sięgniesz. Jeśli będziesz miała na to czas.

Zamknęłam skrzynkę. Wsunęłam ją do skrytki i zatrzasnęłam drzwiczki. Gdy tylko to zrobiłam, niemal spod ziemi wyłoniła się kobieta, która mnie tu przyprowadziła.

– To wszystko? – zapytała swoim matowym głosem.

– Na dziś tak – odparłam.

– Fantastycznie. Czyli nie likwidujemy. Jak zapewne pani wie, dostęp do protokołu pięć przez siedem jest całodobowy.

Nie wiedziałam.

– Co na to pan ambasador? – zapytałam niczym najbardziej tępa idiotka.

Moja przewodniczka nie odpowiedziała, za to obrzuciła mnie spojrzeniem, w którym pogarda była najcieplejszym uczuciem. Uznałam, że jak przystało na małomiasteczkową nauczycielkę, lepiej zamilknę. Gdy wychodziłam, ochroniarz siedzący w budce nawet nie spojrzał w moją stronę.

Stałam za bramą, zastanawiając się, w którą stronę iść. Musiałam znaleźć pokój i przejrzeć zawartość kopert. Dzięki siedmiu tysiącom Dominiki mogłam wejść do pierwszego z brzegu hotelu. Wyszłam z alei Róż i skręciłam w prawo, oddalając się od centrum. Idąc wzdłuż alej Ujazdowskich, na pewno trafię na jakiś hotel. I trafiłam.

Pierwszy, jaki rzucił mi się w oczy, był Karat przy Belwederskiej. Obskurny hotelik, który pamiętał czasy, gdy pełnił funkcję robotniczej noclegowni. Idealne miejsce, żeby się zaszyć i pomyśleć. Dopiero później, kiedy zaczęłam czytać o miejscu, w którym siedziałam, dowiedziałam się, że z tym Karatem wcale nie było tak, jak mi się wydawało. W 1990 roku, kiedy rząd Mazowieckiego zajmował się zmianami ustrojowymi w Polsce, w Karacie rezydowali ówcześni ministrowie i ich pracownicy, w tym ci od Krzysztofa Kozłowskiego, czyli ministra spraw wewnętrznych. To oni wprowadzali lustrację i ustawy policyjne. Nie mogłam zapytać Maksa, czy kiedykolwiek tu był, ale byłam pewna, że gdziekolwiek jest, uśmiecha się na mój widok w Karacie.

ROZDZIAŁ 12

GODZ._8.24

Trochę się pośmialiśmy, a teraz na poważnie. Nie wiem, czy pamiętacie, ale kilka tygodni temu w lesie pod Poznaniem policja znalazła ciało Ukraińca, Wasyla Czorneja. Jak się okazało, mężczyzna zmarł, bo jego pracodawczynie nie udzieliła mu pierwszej pomocy, a zamiast tego wywozła go do lasu. Dziś policja w Poznaniu zatrzymała Grażynę F. pod zarzutem nieudzielenia pomocy i nieumyślnego spowodowania śmierci. Grozi jej za to do pięciu lat pozbawienia wolności. Nie żebym śmiał się z cudzego nieszczęścia, ale powiem wam, że to jest dobre. Sprawiedliwość powinna dotyczyć także tych, którzy myślą, że żyją ponad prawem. Za ponad pół godziny w Warszawie zacznie się budowa trzeciej linii metra. Mamy tam reporterkę, więc damy wam znać. A na razie The Minutemen oraz Why Do I Cry.

GODZ._8.25

Żeby wbić żeliwny włącz w beton na wysokości pięciu metrów, trzeba niebywalej siły. Cokolwiek tu się zdarzyło, miało to niezwykłą moc.

Strażacy dali im kaski z czołówkami i dwa nieprzemakalne kombinezony, które ograniczały swobodę ruchów. Przez chwilę Tytus zastanawiał się, po co im te kombinezony, ale gdy tylko nachylił się do wejścia, uświadomił sobie, że mogą być bardzo, ale to bardzo przydatne.

– Gotowy? – zapytał Obłucki.

– Jasne – odparł Tytus.

– No to wio. Kurczę, nie sądziłem, że kiedyś będę statystą u Wajdy.

– Słucham?

– Różnica pokoleń, proszę pana. Pewnie nie pamiętasz filmu *Kanał*.

– Jasne, że pamiętam – powiedział lekko urażony Tytus. – Oglądałem go nawet ostatnio.

Obłucki tylko się uśmiechnął. *Kanał*, *Godzina W*, *Kolumbowie*. Kiedy był dzieciakiem, a potem młodym mężczyzną, te filmy były dla niego mapą Warszawy. Mapą, którą próbował odnaleźć. Duchem miasta, którego nie było. Nigdy nie przypuszczał, że kiedyś będzie go szukał w miejscach, gdzie naprawdę ginęli ludzie, których losy inspirowały Wajdę czy Morgensterna.

Drabinka prowadząca w dół pokryta była zwęglonym szlamem czy czymś, co kiedyś było mokre i obrzydliwe, a pod wpływem temperatury zamieniło się w coś kruchego i cuchnącego. Schodził powoli, bo podeszwy ześlizgiwały się ze szczebli. Gdy stanął na ziemi, odsunął się od drabinki i czekał na Tytusa. Jemu szło lepiej, bo niemal całą naleciałość na drabinie stracił jego poprzednik.

– Wiesz, że Warszawa była miastem bez kanalizacji do drugiej połowy dziewiętnastego wieku? – zapytał Tytusa, gdy ten stanął obok niego.

– Tak, czytałem. To Starynkiewicz jakoś w tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym postawił na budowę kanalizacji w Warszawie – odparł chłopak, zapalając czołówkę i włączając w swoim smartwatchu licznik kroków.

– A, zapomniałem – powiedział Obłucki i włączył latarkę.

W żółtym świetle ukazał się podziemny świat w całej okazałości. Nieczystości i woda były wyjątkowo płytkie. Nie sięgały nawet na całą wysokość podeszwy. Kanał wypełniał dziwny zapach.

– Jakby siarka... – powiedział Tytus, pociągając nosem

– Powstańcy na początku w ogóle nie zamierzali schodzić do kanałów. Dopiero gdy okazało się, że powstanie nie skończy się po czterech dniach, wydobyto

z Dyrekcji Wodociągów i Kanalizacji plany i tak sieć kanałów została wykorzystana do łączności, transportu broni, amunicji, a w końcu do ewakuacji znacznych sił powstańczych z upadających dzielnic.

– Wiem. Przez to tu jesteśmy.

– Wiem, że wiesz. To były dzieci. Dzieci w kompletnej ciemności. Nie mieli czołówek, latarek. Schodzili tu i albo wychodzili na powierzchnię, albo umierali w ciemności.

– To nie siarka, ale coś tu się paliło. – Tytus próbował zmienić temat.

– Jedna rzecz mnie zastanawia – zaczął Obłucki, ruszając kanałem.

– Jaka?

– Załóżmy, że to, co mówiłeś, to prawda. Że istnieje jakiś podziemny arsenał. Naturą bomby, granatu czy czegokolwiek, co wybucha, jest to, że niszczy wszystko wokół siebie. A tu mamy eksplozję bardzo punktową, a cała jej siła nie rozchodzi się na boki. Popatrz, nie rozerwało asfaltu. Wywaliło studzienkę i wiatę, bo zapewne stała tuż obok.

– Też nad tym myślałem.

– I co wymyśliłeś?

– Nie znam się na broni. Nigdy nawet nie strzelałem, ale gdyby założyć... – Urwał, bo coś chrupnęło mu pod butem.

Skierowali smugi światła na ziemię. W błocie i odchodach leżało truchło szczura, w które wdepnął Tytus.

– Ohyda! – krzyknął.

– Po prostu życie pod ziemią. Ale coś mówiłeś.

– Tak. A gdyby to było coś w rodzaju miny pułapki, jakiejś małej bomby, która wybucha w określony sposób, bo miała zabić kogoś niepowołanego, kto otworzyłby studzienkę?

– Może.

– Będziemy musieli pogadać z kimś z wojska. Ale najpierw musimy znaleźć jakiś dowód. Coś, co potwierdzi teorię o wybuchu.

– I o podziemiach, o których nic nie wiemy – dodał Obłucki, a potem nagle krzyknął: – Czeka! A może my źle szukamy?

– Jak źle?

– Pomyśl.

– Myślę.

– Wojna. Musisz ukryć arsenał. Co robisz?

– No, szukam miejsca...

– Tak. Ale masz tylko to, co wybudowano w dziewiętnastym wieku. Nic więcej.

– No, nie wiem... Szukam miejsca...

– Nie! Nie masz czasu. Nad twoją głową wybuchają bomby, twoi przyjaciele giną.

– O kurwa – zaklął Tytus.

– Tak. Cały czas zakładaliśmy, że musi istnieć inna kanalizacja. Znaczący ty zakładałeś. Dlatego to wszystko wydawało mi się tak nieprawdopodobne. No bo jak? Komuniści, odbudowując Warszawę, zbudowali nowe kanały? Za co?

– To te same kanały! Tylko rzeczy, których szukamy, jeśli tu są, to są ukryte.

– Musimy wrócić – zaproponował Obłucki.

– Gdzie?

– Do wyjścia. Jeśli była tam bomba albo jakaś mina, cokolwiek, to musiała być na widoku. Dziwnie przyklejona cegła, której w ciemności nikt się nie przyglądał.

– Tak!

– Jeśli ten twój arsenał istnieje, to właśnie wybuchła jedna z bomb, która miała go chronić, a on sam jest gdzieś na trasie kanałów, zapewne ukryty za prowizorycznie zbudowaną ścianą.

– Kanały miały ślepe pomieszczenia.

– Wszystko ma ślepe pomieszczenia.

– I co? Wracamy?

– Nie. Musimy iść do kolejnego wyjścia i tam sprawdzić, czy nie ma pułapki – zdecydował Obłucki.

– Jak daleko to będzie?

– Kanały miały odpływy co osiemdziesiąt metrów. Wyjścia były dzielone na dzielnice i ulice. Dojdziemy lada moment do kolejnego.

Ruszyli przy sobie, a prowadziła ich ciemność.

GODZ._9.17

Podjezrzany: podporucznik Stefan Terlecki. Przesłuchanie prowadzi: kapitan Maksymilian Achtelik.

To byłś kapitanem – pomyślałam, wpatrując się w dokumenty. Przed oczyma miałam kopię raportu złożonego w 1987 roku po przesłuchaniu Terleckiego.

Dnia 24 lipca 1987 r. kapitan Maksymilian Achtelik, prowadząc dochodzenie w sprawie nadużycia władzy i wpływów przez podporucznika Stefana Terleckiego, ustalił, co następuje:

W miesiącach maj–lipiec 1987 r. podporucznik Terlecki bez zgody przełożonych prowadził inwigilację rodziny McCammon, pochodzących z West Essex obywateli Wielkiej Brytanii.

Podporucznik Terlecki twierdził, że pan obywatel Richard McCammon działał na zlecenie MI6, wywożąc z kraju tajne dane operacyjne. Podporucznik Terlecki nie był jednak w stanie stwierdzić, jakiej operacji dotyczyły dane, ani pokazać przechwyconych przez niego depech i fotoklisz.

Kapitan Achtelik dowiedział, że podporucznik Terlecki obserwował rodzinę McCammon, ponieważ pani Linda McCammon, lat 32, stała się obiektem jego zainteresowania. Ponieważ Brytyjka nie okazywała zainteresowania oficerem, ten sfabrykował materiały, przez które jej mąż Richard miał zostać wezwany na przesłuchanie przy ulicy Rakowieckiej. Z przesłuchania nigdy nie wrócił do domu, podporucznik Terlecki zaś odwiedzał Lindę McCammon w jej mieszkaniu, składając

propozycje pomocy w wyciągnięciu męża z aresztu. Jedną z części tej propozycji było odbycie stosunku płciowego, na który według słów Terleckiego kobieta zgodziła się sama i sama go zaproponowała.

Dnia 22 lipca z Wisły wyłowiono zwłoki Lindy McCammon i jej dziesięcioletniej córki Judy. Obie były skatowane. Niestety ponieważ ciała przebywały w wodzie mniej więcej siedem dni, nie dało się stwierdzić, czy padły ofiarami przemocy seksualnej.

Dnia 23 lipca ambasada Wielkiej Brytanii wystąpiła do rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej o zwrot ciał ofiar i przekazanie ustaleń milicji i służb. Minister spraw zagranicznych Marian Orzechowski nakazał w trybie pilnym wyjaśnienie sytuacji rzutującej na bezpieczeństwo dyplomatyczne Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Podporucznik Terlecki wyparł się zarzucanych mu czynów. Podczas rozmowy z kapitanem Achteikiem przyznał, że to zapewne prowokacja MI6.

W toku śledztwa kapitan Achteik ustalił, że z domu McCammonów zginęły także oszczędności i złoto.

Przerwałam lekturę. Teraz rozumiałam, skąd Terlecki miał pieniądze i jak zdobył wpływy. Dokumenty jednak nie tłumaczyły, dlaczego po tym, jak „kapitan Achteik w sposób stanowczy wymagał od podporucznika przyznania się do zarzucanych mu czynów”, czyli spuścił mu wpierdół, i to taki, po którym miał się nie pozbierać – dlaczego i jak doszło do tego, że Terleckiego przejęli Rosjanie.

Zapis kończył się stwierdzeniem, że sprawa trafiła do oficerów wyższych stopniem, a kapitan Achteik został od niej odsunięty. Skatował gwałciciela i złodzieja. Ten zaś zamiast wylądować w piachu...

No tak. Zrozumiałam. Terlecki za część pieniędzy, które ukradł, kupił układ z Ruskimi. Odłożyłam dokumenty na kopertę i wyciągnęłam się na łóżku. Zamknęłam oczy. Pod powiekami wyświetlił mi się film, w którym Terlecki błaga o życie, a ja powoli podcinam mu gardło, pozwalając, by dławił się własną krwią.

ROZDZIAŁ 13

GODZ._8.40

Teraz coś miłego i sympatycznego. Kojarzycie największy hit ostatnich miesięcy? Tak, myślę o Shallow z Narodzin gwiazdy. Wszyscy chcieli być jak Bradley Cooper i Lady Gaga, ale nie każdemu to wychodziło. Najlepszym dowodem na to było zawodzenie Maryli Rodowicz i Dawida Kwiatkowskiego. Natomiast pojawiło się w sieci także nagranie innej gwiazdy. Otóż Borys Szyca wykonał Shallow wspólnie ze... swoją córką na imprezie z okazji zakończenia roku szkolnego. I powiem wam tak – Borys dał radę. Fajny z niego tata. To dla Borysa i jego córki: The Twilighers i Living Like a King.

GODZ._8.41

Kanały były niskie. W najwyższych partiach miały metr sześćdziesiąt wysokości, więc brnęli przez nie, pochylając się. Stan wody i nieczystości stale się podnosił i teraz sięgał im do kostek.

– Ile przeszliśmy? – zapytał Tytus.

– Nie w... – Obłucki nie dokończył.

Obaj nagle zamilkli.

Ich oczom ukazał się przerażający widok. Kilka metrów dalej leżało ciało. Nie były to zapomniane zwłoki, które od czasów wojny czekają na odkrycie. Nawet

w słabym świetle czołówek wiedzieli, że leży przed nimi ktoś, kto umarł niedawno. I to bardzo niedawno. Co więcej, ten ktoś miał na sobie policyjny mundur.

– Co, do... – wyszeptał Obłucki.

Obaj z Tytusem przyspieszyli przedzieranie się przez odchody.

Mężczyzna leżał twarzą do dołu, ale jego głowa przekręcona była pod dziwnym kątem.

Podobno XXI wiek to wiek social mediów, trupów i społecznej znieczulicy, ale jednak widok zwłok sprawił, że Tytus niemal zemdlał. Obłucki przytrzymał go, by nie upadł, choć sam nie czuł się lepiej. Walczył z odruchem wymiotnym. Kiedy blady jak ściana Tytus stanął w miarę pewnie na nogach, pochylił się nad ciałem.

– Jest ciepły. Musiał tu wpaść chwilę temu – powiedział Obłucki i rozejrzał się wokół.

Po prawej stronie, jakieś dwa, trzy metry dalej, ciemność kanałów rozświetlał snop światła.

– Tu musiało być wyjście. – Wskazał głową. – Może było zamknięte przez lata, a gdy policjant na nim stanął, zapadło się i skręcił kark?

– Może... – odparł Tytus. W jego głosie słuchać było powątpiewanie. Policjanci nie wpadają do kanałów.

Przesunęli zwłoki na skraj kanału, żeby nurt ich nie porwał, a sami ruszyli w stronę światła. Gdy do niego dotarli, usłyszeli męskie głosy. Kilka osób krążyło wokół wejścia do kanału. Tu nie było drabinki, a wydostanie się na powierzchnię wymagało pomocy. Obłucki stanął w świetle i zaczął nawoływać:

– Halo! Panowie!

Po chwili w dziurze ukazała się twarz mężczyzny. Na głowie miał policyjną czapkę.

– Dzień dobry. Nazywam się Kazimierz Obłucki, pracuję w Urzędzie Miasta, prowadzimy z moim współpracownikiem badania kanałów.

Policjant spojrział na niego jak na wariata, ale po chwili krzyknął do kolegów, by podali mu linę. Kazimierz obwiązał się nią w pasie, a dwóch policjantów

wyciągnęło go na powierzchnię.

– Wychodzisz? – zapytał z góry Tytusa.

– Za chwilę. Chcę się tu rozejrzeć.

Obłucki pokiwał głową.

– Panowie, na dole znaleźliśmy najprawdopodobniej waszego kolegę – powiedział do policjantów, którzy go wyciągnęli. – Niestety, nic nie mogliśmy zrobić – dodał i zaczął się rozglądać; znajdował się gdzieś na pograniczu Powiśla i Śródmieścia. – Zanim wam wszystko wytłumaczę, chciałbym wiedzieć tylko jedno: jakim cudem trafiliście na to wyjście z kanału?

– Jakiego kanału? Panie, tu był wybuch. Musicie opuścić to miejsce natychmiast. I o co chodzi z naszym kolegą?

– Jaki wybuch? – Zignorował pytanie o policjanta.

– Wybuchła instalacja w domu. Zabiło kobietę.

– Jaka instalacja? – Głos Obłuckiego balansował na pograniczu hysterii i rozpacz.

– Panie, gaz pierdolnął, ścianę wyrwało. Jakiejś kobiecie urwało głowę.

Przestał słuchać policjanta. Za to nachylił się do kanału i z nieukrywaną paniką zaczął krzyczeć:

– Tytus! Kolejna bomba! Urwało głowę kobiecie!

– O której? – dobiegło z dołu.

– Co o której?

– O której był wybuch. Niech pan zapyta.

Obłucki odwrócił się do policjanta, który wyglądał tak, jakby miał stracić cierpliwość albo zasnąć.

– O której był ten wypadek?

– Nie wiem – odparł mundurowy. – Jakoś koło godziny temu.

– Słyszałeś?

– Tak. – Tytus nie był w stanie wydusić z siebie nic więcej.

– Co jest?

Milczał dalej, ale czuł, jak zaczynają trząść mu się ręce.

– Chyba wiem, co się dzieje.

– Co?

GODZ._9.18

Wtedy był listopad, teraz mamy czerwiec. Siedem miesięcy.

O mojej śmierci mówiono w mediach. Plan się udał. Zginęłam w tragicznym wypadku niedaleko miejscowości Czarny Staw. Wszystko to było grubymi nićmi szyte, ale jakoś się udało. Doczytałam na lokalnym portalu, że zanim do płonącego wraku przyjechała straż pożarna i policja, eksplodował zbiornik z paliwem. Z ciała nie było co zbierać. Spalona i rozszarpana. Policja ustaliła, zapewne z drobną pomocą Terleckiego, że jechałam do Warszawy razem z mecenasem Jemielitą, który reprezentował znanego producenta filmowego. Historia o tym, co wydarzyło się w Kościanie – zamordowanie ucznia, moje dochodzenie i jego efekty ujawniające ogromną korupcję i przekręty – miała posłużyć za podstawę scenariusza. Nie wiem, ile oni palą, bo ten kit nie trzymał się kupy w żaden sposób, ale nikt nie dociekał. Kierowca stracił panowanie nad autem. Wypadek. Śmierć. To wystarczy. O Dominice nikt nie wspominał. Choć przyznam, że sama nie szukałam. Może nie chciałam się wpędzać w poczucie winy. A może zwyczajnie była mi obojętna. Ot, kolejna ofiara wojny.

W odnalezionych przeze mnie dokumentach Maksa był dostęp do konta, na którym zdeponowano ćwierć miliona złotych. Oraz kartka wyklejona brylantami. Zabrałam świecidełka. Pieniądze, nawet najlepiej wyprane, można namierzyć, z kamieniami było o wiele trudniej. Podobno najemnicy domagają się wypłaty w brylantach. Powód? Łatwiej je schować, a gdyby coś poszło nie tak, można je połknąć i ma się gotówkę w sobie. Dosłownie.

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku jubilerzy, punkty skupu złota i kamieni szlachetnych w Warszawie wyrastały na każdej ulicy. Dziś było inaczej.

Opchnęłam kilka brylantów w lombardach. Znalazłam kilku jubilerów. W tydzień uzbierałam sto pięćdziesiąt tysięcy. Wystarczająca ilość gotówki, by żyć i planować, nie na tyle duża, by ktoś na mieście zauważył, że upłynniam towar. Wynajęłam mieszkanie przy Wilczej, tuż obok komendy policji. Dlaczego? Powód był absurdalnie prosty. Jeśli zaczną mnie szukać, nikt nie będzie patrzył w okna wychodzące na komendę.

Przez miesiąc nie robiłam nic, jak na trupa przystało. Siedziałam w mieszkaniu, czytałam dokumenty i wpatrywałam się w ścianę, rozmyślając o tym, co straciłam. O życiu, którego nie miałam. O ludziach, którzy chcieli mojej śmierci.

Oni akurat nie kryli żadnych tajemnic. Choć oczywiście sami uważali, że jest dokładnie na odwrót. Tylko jaką tajemnicę może nosić w sobie były ubek? W nich można czytać jak w otwartych książkach. Kontakty z politykami. Brudne interesy. W teczkach Maksa była pełna dokumentacja rozmów, jakie odbywali polscy oficerowie z niejakim Ilichem Ramírezem Sánchezem, czyli Szakalem, wenezuelskim terrorystą, który w latach osiemdziesiątych próbował w Polsce stworzyć sobie swój mały terrorystyczny dom. Według tego, co czytałam, w Warszawie zaplanował zamach na Radio Wolna Europa przeprowadzony w Monachium. Niestety, chłopcy się nie dogadali, a Szakal, mimo że walczył z całych sił ze zgniłym zachodnim światem, był za drogi na portfele polskich służb. Poza tym rzucał się w oczy. Tak napisał w raporcie Terlecki. „Ciapatych zawsze wypatrzysz na ulicy”.

Dokumenty, jak się mogłam domyślić, kończyły się na 1998 roku. Roku śmierci Maksa. Kiedy myślałam więc, że na tym koniec i będę musiała sama odwalić całą śledczą robotę, żeby raz na zawsze zamknąć te drzwi, na ostatniej kopercie zobaczyłam zapisany adres e-mail.

Pierwszą wiadomość e-mail wysłano do Polski w 1990 roku. Było to 20 listopada. Wiadomość została wysłana z siedziby Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych, a trafiła do komputera w Instytucie Fizyki Jądrowej w Krakowie. Pięć lat później powstał pierwszy profesjonalny polski portal internetowy Wirtualna Polska, który na początku był katalogiem dostępnych stron internetowych, ale

szybko zamienił się w serwis. Rok później pojawił się Onet. Oba portale oferowały użytkownikom darmową pocztę internetową. W 1998 roku nie była ona tak rozpowszechniona jak dziś, a ludzie wciąż pisali do siebie kartki i listy. Mało kto zwraca uwagę na fakt, że klątwą millenium nie był reset danych w internecie, którym wszystkich straszono. Prawdziwa klątwa polega na tym, że od 2000 roku zaczął się koniec świata, jaki znaliśmy. Wszystko powoli przeniosło się do sieci. Kartki pocztowe stały się reliktem, a instytucja poczty okazała się pożyteczna głównie do odbioru paczek. I listów poleconych.

Maks wiedział, że świat się zmienia. Pochodził ze środowiska, które musiało wyprzedzać zmiany, przewidywać je i reagować. Byłam pewna, że zapisany na kopercie adres `achtelikteam@onet.pl` nie był przypadkowy. Problem polegał tylko na tym, że nie miałam jak go sprawdzić. Musiałam wyjść z mieszkania i kupić laptopa. Cokolwiek znajdowało się pod tym adresem, jeśli w ogóle jeszcze działał, mogło być na tyle ważne, że nie chciałam zaglądać tam w przypadkowej kafejce internetowej.

W kiosku kupiłam pakiet startowy do internetu w komórce, potem ruszyłam do Żółtych Tarasów, bo tak nazywało się to centrum handlowe, by kupić najprostszego laptopa, jaki tylko istniał. Gdy wróciłam do mieszkania, jakieś pół godziny zajęło skonfigurowanie sprzętu ze zrywającym się internetem z komórki. Kliknęłam w ikonkę koperty na Onecie. Wpisałam login. Tym razem Maks nie użyłby tak prostego hasła jak do skrytki. To musiało być coś innego, o wiele bardziej skomplikowanego, ale jeśli miałam się tego domyślić... Wpisałam swoją datę urodzin i prawdziwe imię. Błędne hasło. Nie mogła to być data urodzin Maksa, bo nigdy jej nie poznałam. Szukałam w głowie wszystkich rzeczy, które mi się z nim kojarzyły, ale nic nie układało się w hasło.

– Kurwa – zakląłam na głos.

Poza mną i tak nikogo tu nie było.

– Kurwa, Maks, coś ty wymyślił.

Nie odpowiedział. Zmarli nie odpowiadają.

A potem nagle cyfry same wpadły mi do głowy.

04221922

Na koniec dodałam: CM.

Kółeczko pokazujące, że system myśli, zakręciło się kilka razy. Coś działało.

A potem nagle moim oczom ukazała się wypełniona nieodebranymi wiadomościami skrzynka pocztowa.

– Dzięki, Charles – powiedziałam znów na głos.

To była data urodzin Mingusa zapisana w amerykański sposób.

Podświetlone na szaro cyfry „240” pokazywały liczbę nieodebranych wiadomości. Niewiele jak na dwadzieścia lat. W folderze „wysłane” także znajdowało się 240 e-maili. Maks musiał ustawić automat, który przez dwadzieścia lat wysyłał co miesiąc jedną wiadomość. Na nią przychodziła odpowiedź.

Kliknęłam w jedną z nieodebranych wiadomości.

Kliknęłam w jedną z nieodebranych wiadomości.

26.09.2018

Nadawca: djkojot@djkojot.pl

Odbiorca: achtelikteam@onet.pl

Temat: Re: Raport

Wrzesień. Brak nowych aktywności. Finał zakupu pałacu Rozkosz od SGGW.

Wykaz połączeń telefonicznych w załączniku.

– Nie wiem, jak to zrobiłeś, Maks, ale byłeś geniuszem – powiedziałam rozentuzjasmowana do ścian.

Moim oczom ukazało się archiwum dokonań Terleckiego po śmierci Maksa. Miesiąc w miesiąc spisana każda transakcja, każdy klient, każda zmiana lokalizacji. A co najważniejsze, także zapis zmian w biznesie prowadzonym przez Terleckiego. Spółki, firmy, firemki. Otworzyłam kolejnego e-maila. Ten był sprzed ośmiu lat. Djkojot, kimkolwiek był, opisał w nim zaangażowanie się Terleckiego w spółkę Wildcats. Nazwa nie mogła być jego pomysłem. Nawet ktoś taki jak Terlecki nie

był tak dosłowny. Spółka Wildcats zajmowała się modelingiem i tworzeniem treści internetowych, czyli mówiąc wprost, produkowała filmy porno. W załączniku znalazłam wykaz zaginionych dziewczynek w wieku między jedenaście a czternaście lat; trzysta sześćdziesiąt młodych dziewczyn, które trudno było jeszcze nazwać kobietami. Dwadzieścia osiem z nich „pracowało” w Wildcats. Porno z dziećmi. W kolejnym e-mailu w załączniku znalazłam osiem nekrologów zaginionych. Domyślałam się, że w następnych będzie ich jeszcze więcej.

Dziecięca pornografia, handel narkotykami, paserstwo, zamachy, zabójstwa na zlecenie. Przed oczyma miałam wykaz zbrodni Terleckiego, których nikt nigdy nie potrafił mu udowodnić. Dwadzieścia lat budowania przestępczego imperium funkcjonującego w zdrowej tkance miasta. Siedziba Wildcats mieściła się przy Marszałkowskiej. Po co się ukrywać, skoro nikt nie patrzy tam, gdzie jest najjaśniej.

Lektura e-maili wprowadziła mnie w świat brudu i zwyrodnienia, który istniał tuż obok, na wyciągnięcie ręki, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Jeśli ktoś wiedział o istnieniu Stefana Terleckiego, miał go za bogatego starszego pana, który żył sobie w spokoju, zarabiając miliony na consultingu.

Znalazłam jedną wpadkę. Ktoś próbował go dopaść. Dekadę temu policja wpadła do apartamentu w hotelu Bristol. Terlecki był tam z kobietą. Próbowano aresztować go za jazdę pod wpływem. Teoretycznie jest to możliwe, bo policja przecież może skontrolować kierowcę, jeśli istnieje poważne podejrzenie, że prowadził pojazd mechaniczny pod wpływem alkoholu. Tyle że ta prowokacja się nie udała. Kobietą w pokoju Terleckiego była Eliza Kamińska – żona ówczesnego premiera. Cokolwiek z nią robił, sprawiło, że prokuratura zrezygnowała z postawienia zarzutów. Zapewne pomogły w tym także załączone do e-maila zdjęcia, na których Eliza trzyma w ustach dwa penisy. Ani jeden z nich nie należał do premiera. Nie żebym wiedziała, jak wygląda jego penis, ale pamiętałam, że Kamiński był i jest biały.

Miałam wszystko. Od historii do współczesności. Mogłam rozpracowywać Terleckiego, jak tylko chciałam. Odkupując od SGGW pałac Rozkosz, zamieszkał

niemal w środku ursynowskiego parku krajobrazowego. Mogłabym zasadzić się na niego w gęstych liściach i zdjąć go, gdy schodzi do basenu na tyłach pałacu. Mogłam. I pewnie gdybym to zrobiła, nie siedziałabym teraz w tym wagonie metra. Problem był jeden. Wtedy nie wiedziałby, kto go dopadł. A jedyne, czego pragnęłam, to żeby zobaczył moją twarz. Żeby przeszłość i wszystko, kim był i jest, wróciło i odgryzło mu pół dupy. To było moje marzenie. A z marzeń nie wolno rezygnować. Tak mnie uczono. Marzenia się spełnia za wszelką cenę. A moim jedynym marzeniem było zabicie tego skurwysyna.

ROZDZIAŁ 14

GODZ._8.51

Kochani, już wiemy, gdzie odbędą się zimowe igrzyska olimpijskie w dwa tysiące dwudziestym szóstym roku. Zorganizują je Mediolan i Cortina d'Ampezzo. Tym samym najważniejsze zimowe zawody sportowe powrócą do Włoch po dwudziestu latach. Poprzednio, w dwa tysiące szóstym roku, imprezę organizował Turyn. Wielki powrót, ale czy Włosi zdobędą medale... Okaze się, okaże... A w centrum Warszawy przygotowania do odpalenia Grubej Berty, przepraszam, tarczy, która zacznie odwiert trzeciej linii metra. Za jedenaście minut łączymy się z naszą dziennikarką. A na razie Count Five i ich Psychotic Reaction.

GODZ._8.52

Obłucki wymusił na policjancie pomoc w zejściu do kanału. Gdy tylko stanął obok Tytusa, zobaczył, że chłopak się trzęsie, i to nie z zimna.

– Co?

– Teraz to zrozumiałem – zaczął Tytus.

– Co?

– Tunel. Wybuch w tunelu był około pół do szóstej. Policjant powiedział, że w domu tej kobiety coś wybuchło ponad godzinę temu. Między piątą a ósmą

przeprowadzone zostały testy tarczy. Ekipa sprawdzała, czy działa, czy wbija się w glebę itepe.

– Drgania.

– Tak. Drgania rozchodzą się falami. Taka tarcza to gigant wpuszczony w ziemię, i to ukrwioną ziemię, bo przecież kanały są...

– Obok linii metra!

– Tak. Więc teraz rozumiesz – odruchowo zaczął mówić do Obłuckiego na ty. – Kiedy pokazowo odpalą tarczę...

– Jeśli zaczną wybuchać kolejne ładunki...

– Centrum Warszawy zapadnie się. To będzie największa katastrofa od czasu zagłady miasta po powstaniu.

Obłucki wyciągnął z kieszeni telefon zawinięty w folię. Wybrał numer Kwiecińskiej. Po siedmiu dzwonekch włączyła się poczta.

– Nie odbiera.

– Próbuje. A ja pójdę w głąb. Może znajdę jakieś ładunki, spróbuję wrzucić je w to pływające gówno.

– Pójdę z tobą.

– Pod ziemią nie będzie zasięgu. Dzwon stąd, póki mamy prześwit. Jak nie do niej, to do prezydenta. Muszą to odwołać – powiedział Tytus i ruszył przed siebie.

Nigdy nie sądził, że zostanie bohaterem. Zawsze bał się istotnych decyzji. Nawet ślub odkładał Bóg wie jak długo. A teraz wchodził w świat, który w każdej chwili może rozpaść się na milion kawałków, i w ogóle, ale to w ogóle nie czuł strachu.

GODZ._9.19

Wagonem szarpnęło po raz kolejny, przez co wróciłam do tu i teraz. Basen, ogród, zarośla, w których ukrywałam się, patrząc, jak Terlecki rozmawia przez telefon, to

wszystko wyblakło, zatarło się. Przed oczyma znów miałam wewnątrz wagonu. Dziewczynie minął atak paniki. Pomógł jej w tym małolat. Nie widział tego, co ja, ale z tych kilku metrów zauważyłam, że pomógł nie tylko dziewczynie. Jego matka, patrząc, jak zajął się obcą osobą, zaczęła się uśmiechać. Wiedziała, że wychowała dzieciaka na dobrego człowieka. Umięśniona menedżerka, czy kim tam była, wypuściła z dłoni torbę. Zrezygnowała. Wiedziała już, że nie zdąży tam, gdzie tak bardzo się spieszyła. Nawet nalany typ z nadwagą i zapitym ryjem zamknął się w sobie i wbity w przestrzeń między fotelem a oparciem obrzucał świat kaprawym spojrzeniem.

– Przepraszam – usłyszałam i poczułam czyjąś dłoń na ramieniu.

W ułamku sekundy z rozluźnienia przeszłam w stan pełnego napięcia. Wszystkie mięśnie zaczęły pracować. Podniosłam wzrok. Obok mnie przechodzili starsza pani i mężczyzna. On miał jakieś pięćdziesiąt lat, ona mogła mieć równie dobrze siedemdziesiąt, jak i osiemdziesiąt pięć. Minęli mnie, idąc w stronę wolnych siedzeń.

– Tu może być, mamó? – zapytał mężczyzna.

Czyli syn – pomyślałam.

– Tak. Tu jest lepiej. Tam strasznie śmierdziało – powiedziała starsza pani na tyle głośno, że jej pogardliwe słowa dotarły do uszu Bezdomnego.

Uśmiechnął się. Ja także. Byłam ciekawa, kiedy starsza pani zauważy tego współpasażera i zacznie kolejną wycieczkę przez wagon. Na razie jednak nie spoglądała w stronę zajmowaną przez miłośnika *Anny Kareniny*.

– Robercie, kiedy pociąg ruszy? – zapytała syna.

– To metro, mamó.

– Ale też pociąg – nadal mówiła bardzo głośno. – Zrób, aby ruszył.

Pięćdziesięcioletni Robert rozejrzał się po wagonie. Przybrał tak bardzo przeproszającą minę, na jaką tylko było go stać. Niepotrzebnie. Starość rządzi się swoimi prawami. Jednym z nich bywa upierdliwość.

– Szanowni państwo, ze względu na występujące trudności nasz pociąg zostanie zawrócony na stację Centrum, gdzie na górze będzie czekał na państwa transport zastępczy – odezwał się głos w głośnikach.

Kurwa mać. Zaklęłam w myślach. Kurwa mać. Tyle przygotowań. Tyle czekania... Wszystkie mięśnie w moim ciele pulsowały. Przez ułamek sekundy przez głowę przebiegła mi szalona myśl, by przebiec przez wagon, dopaść drzwi dzielących składy, stanąć obok Tancerza, wbić mu nóż... Ale to była fantazja. Chora, absurdalna fantazja. Zauważyliby ruch. Szybko, za szybko by się zorientowali. Dla Tancerza, dla Terleckiego byłabym zagrożeniem, które należy wyeliminować, i mogliby to zrobić, bo przecież dla innych byłabym wariatką, która rzuciła się z nożem na pasażera. Nie jestem wariatką. Jestem kobietą bardzo mocno skoncentrowaną na swoim planie i teraz muszę go modyfikować zgodnie z nowymi okolicznościami. Najpierw muszę pozwolić opaść emocjom. Działanie pod wpływem gniewu nikogo nie zaprowadziło do celu. A już na bank nie w jednym kawałku.

Tyle że metro było najlepszą opcją. Mimo że Terlecki lub jego ludzie, tacy choćby jak czcigodnie usmażony Jemielita, znajdowali się w zarządach wielu spółek, to firmą matką była BTK Holding mieszcząca się przy Emilii Plater 53 w modnym biurowcu, w którym obok gangsterów można było spotkać kwiat polskiej prawicy. Ot, niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Żeby dostać się na dwudzieste ósme piętro biurowca, trzeba być na liście zaproszonych gości, dostać specjalną kartę i w towarzystwie ochroniarza wjechać na górę. Ochrona, która może robić wrażenie, ale tylko na dziennikarzach albo kompletnych laikach. Żeby wejść do systemu komputerowego i stworzyć sobie zaproszenie, potrzebowałabym kwadransa. Gdybym chciała dotrzeć do biura Terleckiego, nie zajęłoby mi to zbyt wiele czasu. Problem polegał na tym, że wchodząc tam, zmartwychwstałabym. A mnie całkiem dobrze było w roli trupa. Zmartwychwstania przynoszą same kłopoty, o czym najlepiej świadczą dwa tysiące lat ostatniej historii. Poza tym musiałabym stamtąd wyjść, a po zabiciu Terleckiego prawdopodobieństwo opuszczenia budynku w jednym kawałku gwałtownie

spadało. Oczywiście mogłabym wyobrazić sobie, jak w przebraniu sprzątaczkę zjeżdżam windą, jak mijam spanikowanych ochroniarzy, jak dziki tłum policji blokuje przejście, ale dziwnym trafem mnie przepuszcza. Mogłabym, ale jaki byłby w tym sens?

Owszem, zrobiłam to. Wjechałam na to dwudzieste ósme piętro jako serwis sprzątający. Przeszłam całe biuro i widziałam Terleckiego z daleka. Widziałam też dwie inne rzeczy. Jego biuro było oszklone i nijak nie dałoby się do niego wejść niezauważoną. Po drugie i bardziej istotne, drzwi zamykały się na czasowe zamki, co utwierdzało mnie w przekonaniu, że szyby były kuloodporne i został zainstalowany alarm. Gdybym tam weszła, a on by mnie rozpoznał, zostałabym uwięziona. A ja chciałam, żeby wiedział. Nie chciałam całej tej reszty, o której wspominałam.

Między domem a biurem Terlecki kursował w opancerzonym maybachu. Na imprezach towarzyszył mu tłum. Jedyne miejsce, jego jedynym słabym punktem był ten wagon metra. To musiało być tu. Dokładnie między stacjami Świętokrzyska a Raławicka. Metro pokonuje ten odcinek w jakieś dwanaście minut. Przejście do kamienicy zajmowało mu siedem minut. Razem dawało to niespełna dwadzieścia minut. Małe okienko, w którym musiałam się zmieścić. Okno śmierci. Tydzień czekania.

Kiedy świadomość, że ten dzień nie nastąpi dziś, przepłynęła z neuronów w mózgu do reszty ciała, poczułam, jak powoli się wyłączam. Ciało człowieka jest niebywale intrygujące. Funkcjonuje za zasadzie zadań. Jesteśmy jednym wielkim ciągiem przyczynowo-skutkowym. Kiedy zrozumiałam ostatecznie, że nici z planu, najpierw zareagowały ramiona. Opadły. Potem dłonie, przez cały czas gotowe do walki, palce odruchowo układające jak dookoła rękojeści noża. To nie był spokój. Raczej coś na kształt odpoczynku. Potrzebuje tego nawet najbardziej wyćwiczone ciało. Ostatnie sekundy były moim wytchnieniem. Spojrzałam jeszcze raz przed siebie.

Chłopak z matką. Dziewczyna w słuchawkach. Umieśniona biurwa. Koleś z tatuażem. Bezdomny. Starsza pani z synem. Agresor. Ich zarejestrowałam. Poza

nimi byli jednak inni. Kobieta z dwiema siatkami z Biedronki. Wracała z zakupów. Młoda para, około trzydziestu lat. On wpatrzony w smartfona, ona w szybę. Dwóch robotników. Nie zauważyłam ich wcześniej. Trójka dzieci, około trzynastu lat. Chłopcy. Rok szkolny skończył się 19 czerwca. Jechali zapewne do jakiejś galerii handlowej. Facet z deskorolką. Gruby chłopak w koszulce z filmu *Drive*. Dwie kobiety, które stały do mnie tyłem. Nie wiem, czy jechały razem, czy tylko przypadkowo stanęły blisko siebie. Jakaś grupa ludzi zupełnie nierzucających się w oczy. Liczę ich, w sumie dwadzieścia trzy osoby. W jednym wagonie mieści się około dwustu osób, w tym były czterdzieści cztery. Na tyle mało, by była spora przestrzeń do poruszania się, na tyle dużo, że dało się pośród nich ukryć. Niektórzy mówią, że najlepszą techniką inwigilacyjną jest ukrywanie się w tłumie. Niby racja, ale nie w każdym tłumie. Wielki, taki, w którym trzeba przepychać się łokciami, by zrobić krok, wcale nie ułatwia pracy. Owszem, człowiek jest niewidzialny. Ale też nic nie widzi. Dlatego ta liczba osób dookoła mnie była idealna. Nie za dużo, nie za mało.

– Jeszcze raz w imieniu Metra Warszawskiego przepraszamy państwa za wszystkie utrudnienia. Na stację Centrum wjedziemy o dziewiątej dwadzieścia cztery – rozległ się znów głos z głośników.

Spojrzałam na zegarek. Za sześć minut marzenia o zakończeniu pewnej części życia legną w gruzach. Na razie.

ROZDZIAŁ 15

GODZ._9.05

Hej, Diano, jesteś tam? Proszę państwa, łączymy się z Dianą Wrocławską, naszą reporterką, która będzie zdawać relację z uruchomienia tarcz drążących trzecią linię metra.

– Cześć, jestem. Dzień dobry państwu. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam placu budowy, który wyglądałby jak wielki rodzinny piknik. Ludzie tłoczą się na trawie i na chodnikach.

– Można powiedzieć, że mają taki mały piątek?

– Tak jakby. Odwiert zacznie się o dziewiątej dwadzieścia, są jakieś opóźnienia. Za to prezydent Bolesławski opowiada teraz o perspektywach, jakie trzecia linia otwiera przed mieszkańcami.

– Fantastycznie. To czekamy na twoje kolejne wejście. A w tym czasie The Easybeats i Friday On My Mind.

GODZ._9:07

Kwiecińska nie odbierała. Obłucki mógł się tego spodziewać. Dla władzy, dla ludzi takich jak Bolesławski, którzy polityczny kapitał zbijają na obietnicach rozwoju, odwołanie rozpoczęcia budowy było równoznaczne z końcem kariery. Problem polegał na tym, że jeśli jego i Tytusa przeczucia okażą się prawdą, kariery

prezydenta i Kwiecińskiej nie tylko legną w gruzach, ale oboje zapiszą się też w historii miasta jako ci, którzy dokonali zniszczeń niewiele mniejszych od tych, jakie mieli na sumieniu hitlerowcy.

GODZ._9.08

Na placu budowy Anna Kwiecińska patrzyła na komórkę. Podjęła decyzję. Gdy tylko to wszystko się skończy, zwolni Obłuckiego. Wprawdzie był jej szefem, ale wszyscy wiedzieli, że tak naprawdę tylko na papierze i że realną władzę ma ona. Miała w dupie jego okres ochronny, jego doświadczenie. Po prostu chciała, żeby go nie było. A gdy ona czegoś takiego pragnie, to to się dzieje. Włożyła telefon do kieszeni i wsłuchiwała się w przemówienie swojego kuzyna. Było dobre. Wiedziała o tym, bo sama mu je napisała.

GODZ._9.20

Nigdy nie liczyłam, ile osób zabiłam. Zresztą nigdy nie chciałam zabijać ludzi. To stało się samo. Wszystko przez zdradę. Miałam szpiegować. Byłam gówniarą, która szukała autorytetu, a nie morderczynią. Zrobiły mnie nią okoliczności. Przypadek. A potem śmierć stała się towarzyszką. Kiedy ukrywasz się przed światem, musisz być gotowa zabić, gdy ktoś podejdzie zbyt blisko. Ja byłam. Tyle że każda osoba, którą zabiłam, tak naprawdę na to zasłużyła. Nie jestem zwolenniczką kary śmierci, zresztą nawet nie wiem, czy nią jestem, bo nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Zabijałam ludzi, który który zrobiliby to samo ze mną. Moją przewagą nad nimi był mój refleks. Tylko tyle. Nie myślałam za dużo. W tym świecie nie myślisz, bo myślenie sprowadza kłopoty.

Dlatego zaskoczyło mnie, że kiedy zamieszkałam przy Wilczej, zaczęły dręczyć mnie dziwne sny. To nie były koszmary. Raczej coś, co zostawia po sobie poczucie

dyskomfortu. Jakby mózg mówił, że coś jest nie tak, ale nie do końca wiedział co.

No cóż, w moim przypadku było od groma takich rzeczy, ale jakoś nie zawracałam sobie nimi głowy. Bo po co? Co zmieni to, że zacznę rozpaczać? Nagle w magiczny sposób cofnę się w czasie o dwadzieścia lat, nie wejdę do knajpy Maksa, nigdy go nie poznam, nie przejdę specjalistycznego szkolenia, nikt nie będzie chciał mnie zabić? Poznam miłego chłopca, zakocham się, spłodzę dzieci i będę mieszkać pod Warszawą, utrzymując się z pensji nauczycielki? Nie. Kiedyś ktoś mądry powiedział, że gdyby istniał wehikuł czasu, świat pogrążyłby się w chaosie, bo każdy chciałby naprawiać błędy. Fakt, że świat istnieje, jest wystarczającym dowodem na to, że podróże w czasie nie będą możliwe.

Niemniej sen nie dawał mi spokoju. Był prosty. Siedziałam w samochodzie z Jemielitą i pseudopolicjantami. Samochód płonął, a my trwaliśmy w bezruchu. Płomienie tańczyły dookoła, ale nie zbliżały się do nas. Zupełnie jakbyśmy utknęli w epicentrum trąby powietrznej. Dookoła szalał żywioł, a my byliśmy otoczeni spokojem. Spokojem, który hipnotyzował i nie pozwalał się poruszyć. Ogień lizał szyby, wdzierał się do środka przez wywietrzniki, klimatyzację, ale cały czas nas omijał. My zaś nie robiliśmy nic, by wyjść, uciec. Trwaliśmy w miejscu, wpatrzeni w siebie. W tym śnie nie bałam się, nie panikowałam, dlatego nie mogłam uznać go za koszmar. Patrzyłam, jak ogień nie chce albo nie potrafi się do mnie zbliżyć. Sen ten powracał niemal każdej nocy gdzieś do połowy maja. Potem nagle zniknął. Przez chwilę nie wiedziałam dlaczego. Pomyślałam po prostu, że organizm i moja głowa uznały, że mają go dość. Olśniło mnie zupełnym przypadkiem, kiedy szukając danych w sieci, natknęłam się na informację o zaginionej Dominice Czerskiej. Mieszkanka Czarnego Stawu rozplynęła się w powietrzu na dworcu w Krakowie, gdzie ostatnio ją widziano. Miała trzydzieści siedem lat. Była asystentką stomatologa. Rozstała się z mężem, nie miała dzieci. Zaginięcie zgłosił jej kuzyn. Policja prosiła każdą osobę, która mogła coś wiedzieć o miejscu pobytu Dominiki, by zgłosiła się na najbliższy komisariat.

A więc Dominika była jedną z tych przeciętnych kobiet, które żyły i zniknęły. Wtedy zrozumiałam, że to ona, jako pewna część danych zapisanych w mojej

głowie, była odpowiedzialna za sny. Jedyna osoba, która zginęła przeze mnie i która w żaden sposób na to nie zasłużyła. Nie chciałam, nie planowałam tego. Pewne rzeczy po prostu się dzieją.

Mimo że drzwi wagonu metra były zamknięte, rozległ się dźwięk informujący, że zaraz się zasuną. Wszyscy, włącznie ze mną, spojrzeliśmy w ich stronę. A potem metro ruszyło. Powoli, majestatycznie, cofając się, niczym jakiś gigantyczny gad, który zrozumiał swój błąd i próbuje wpełznąć z powrotem do nory.

ROZDZIAŁ 16

GODZ._9.21

Szanowni państwo, przerywam muzykę... Czegoś takiego jeszcze nie było. Dosłownie dwie minuty temu, jak donosi nasza reporterka Diana Wrocławska, która zbierała dla państwa informacje z inauguracji budowy trzeciej linii metra, dwie minuty temu miał miejsce wybuch. Diana...

– Witam państwa. Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co widzę... Wszędzie unoszą się kłęby dymu. Policja i straż pożarna. Proszę państwa, panuje tu kompletny chaos. Nie wiemy nic o ofiarach. Nic nie wiemy. Czy to ISIS, czy jakieś inne ugrupowanie terrorystyczne? Warszawa, Polska była ostoją Unii Europejskiej. Państwem, w którym nigdy do tej pory nie było zama...

– Diana? Diana? Niestety, proszę państwa, sygnał się urwał, ale wrócimy do Diany lada moment... A teraz Czesław Niemen i Sen o Warszawie.

GODZ._9.21

W 1995 roku żołnierze wspólnie z oddziałami policji i straży pożarnej przeprowadzili w metrze symulację zamachu terrorystycznego. Czy raczej radzenia sobie z jego skutkami. Założono, że w wagonach wybucha bomba, a służby próbowały pokazać, jak przebiegałaby ewakuacja pociągu.

Dwadzieścia lat później, po zamachach w Paryżu, kiedy to 13 listopada islamscy terroryści przypuścili skoordynowane ataki na teatr, dwa bary, restauracje i centrum handlowe, w Warszawie pojawiła się plotka, jakoby 12 grudnia bojownicy ISIS mieli przeprowadzić atak terrorystyczny na metro. Plotka wzięła się... z plotki. Ponoć jakaś dziewczyna podała wyglądającemu na Araba mężczyźnie portfel, który wcześniej wypadł mu z kieszeni, a on w ramach rewanżu miał powiedzieć jej, by dwunastego nie wsiadała do metra. Ta banalna opowieść urosła do skali miejskiej legendy. Sprawą zainteresowali się pracownicy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Ratusz. Zareagowali na nią nawet mieszkańcy Warszawy, tworząc na Facebooku wydarzenie „12 grudnia wsiądę do metra”. Była to ich odpowiedź na próby zastraszania. Warszawa nie podda się islamskim naciskom. Warszawa się nie boi.

Ciekawe, jak zareagowaliby organizatorzy tamtego wydarzenia, gdyby wiedzieli, że cztery lata później pierwsza tragedia, jaka wydarzy się w warszawskim metrze, nie będzie miała nic wspólnego z islamskimi terrorystami. Że tak naprawdę bombę w metrze podłożą warszawiacy. Nie zrobią oczywiście tego celowo. Nikt tego nie planował. Nikt nie chciał. Śmierć czasami czeka na swoją kolej. A potem atakuje.

Po dziesięciu sekundach jazdy do tyłu pociąg przyspieszył. Nie nabrał normalnej prędkości, ale jechał szybko. Ospący wąż ustąpił miejsca agresywnej kobre. Za minutę powinniśmy wysiadać.

Powinniśmy.

Najpierw odniosłam wrażenie, że drży podłoga. Nie było to nic zaskakującego. W metrze podłoga drży cały czas. Tym razem jednak poczułam to przez podeszwy butów. Jakby coraz mocniej napierała na moje stopy, a te reagowały coraz większym mrowieniem. Odruchowo chwyciłam się żółtej poręczy. Z nieznanego zakątku mózgu do ciała popłynął sygnał o zagrożeniu, zanim cokolwiek sama zdążyłam zarejestrować. Mózg wiedział pierwszy. Mięśnie z rozluźnienia wróciły do stanu bojowego. Nawet nie wiem, kiedy sięgnęłam do ukrytej pochwy z nożem. Jakby jego obecność mogła jakoś mnie uspokoić. Był.

Odwróciłam głowę w stronę kierunku jazdy.

Wtedy to zobaczyłam.

Najpierw obraz. Zbliżający się jakby w zwolnionym tempie. Dalsza część wagonu wydawała się ułożona inaczej. Lekko uniesiona, a po chwili jakby delikatnie przekręciła się w prawo.

Wtedy do obrazu dołączył dźwięk.

Potworny jazgot eksplozji.

Powolne tempo zniknęło tak szybko, jak się pojawiło. Patrzyłam przed siebie, a wagon na moich oczach zwijał się w spiralę. Zupełnie jakby gdzieś nad nami stał olbrzym, który wyjął pociąg i postanowił zamienić go w korkociąg.

Jako trzeci dotarł do mnie podmuch.

Zaburzenia ruchu. Huk eksplozji. Podmuch.

Przez ułamek sekundy próbowałam trzymać się poręczy, ale nagle uświadomiłam sobie, że poręcz odpadła. Trzymałam w dłoni żółty kawałek metalu i leciałam z nim w powietrzu.

Grupa niezidentyfikowanych osób, które zauważyłam dwie minuty temu, siłą podmuchu została wyrzucona na zewnątrz. Widziałam, jak ludzie uderzają o betonowe ściany tunelu. Czyjaś głowa zderzyła się z betonem z taką siłą, że wbiła się w szyję. Jeden z ludzi, wypadając z wagonu, zahaczył o framugę czegoś, co sekundy temu było oknem. Resztki szkła i cienkie kawałki metalu obcięły mu rękę tuż nad łokciem. Chwilę później człowiek z kikutem odbił się od ściany tunelu. Dwie kobiety, które stały tyłem do mnie, siłą podmuchu zostały ciśnięte na fotele. Moc uderzenia była tak wielka, że okręciła ich głowy dookoła szyi. Koleś w koszulce *Drive* próbował łapać równowagę w chaosie, ale deskorolka stojącego obok chłopaka uderzyła go w kolana. Upadł, uderzając o drzwi, które otworzyły się, a potem nagle zamknęły, obcinając mężczyźnie głowę. Deskorolka niczym bumerang wróciła do właściciela, który nie wiadomo dlaczego chciał ją złapać. Nachylił się, a wtedy w plecy wbiła się mu żółta rurka z jednego z uchwytyłów.

Owca

Metalowy pojemnik na ulotki oderwał się od mocowania i z całej siły uderzył w stojących chłopców. Jego prędkość była tak wielka, że jednego przeciął niemal na pół, drugiemu zaś wbił się w szyję. Trzeci próbował uciec, ale stracił równowagę i upadając, skręcił kark.

W torbie z zakupami kobieta miała mąkę, która teraz rozsypała się po całym wagonie, tworząc surrealistyczną białą mgłę, która z każdym ułamkiem sekundy z białej stawała się coraz bardziej czerwona. Kobieta próbowała złapać zakupy. Wypadła przez szybę po drugiej stronie. W tej samej chwili wagon mocno się przechylił. Kobieta może i przeżyłaby upadek, ale została zmiażdżona przez trzydziestotrzytonową konstrukcję. Robotnicy nie zdołali nic zrobić. Wpadali jeden na drugiego, a siła impetu sprawiła, że zginęli w chwili uderzenia.

Telefon mężczyzny, który ignorował partnerkę, wypadł mu z dłoni w chwili, gdy wagon się przechylił. Mężczyzna próbował go złapać, ale nie dał rady. Za to z całej siły uderzył głową swoją partnerkę. Trafił w nos. Kobieta zaczęła dławić się krwią i udusiła się nią chwilę później. On sam upadł na podłogę. Gdy już wyglądało na to, że jest w miarę bezpieczny, deskorolka trafiła go w podstawę czaszki, przerywając rdzeń kręgowy. Nawet gdyby przeżył, byłby sparaliżowany do końca życia. Ale jeszcze o tym nie wiedział. Leżał nieprzytomny na podłodze, krwawiąc.

Starsza pani krzyczała. Krzyczała tak głośno, że udało się jej przebić przez jazgot eksplozji:

– Boże!!!!!!!!!!!!

Bóg jednak jej nie słuchał. Upadła na podłogę, łamiąc sobie łokieć. Spod narzuconej na ramiona chusty wystawała zakrwawiona kość. Syn próbował podnieść matkę, ale sięgnął po złamany łokieć. Kobieta zawyła, a zaraz potem zamilkła. Syn zaczął krzyczeć jeszcze głośniej niż przed chwilą jego matka. Jego blada twarz stawała się coraz bardziej krwista. W tętnicę szyjną matki wbił się jakiś przedmiot. A potem nagle wypadł, sprawiając, że jej serce jak szalone wypompowywało krew. Mężczyzna w szoku próbował odsunąć głowę. Siła poddmuchu pchnęła go do tyłu. Łądując na siedzeniu, skręcił sobie kark.

Upadając na podłogę, kątem oka zobaczyłam, jak zapity facet przechyla się i spada z siedzenia. Chłopak, który jechał z mamą, ciałem zasłonił dziewczynę ze słuchawkami. Pomyślałam, że dobry z niego dzieciak.

Rąbnęłam na plecy, jakaś siła pchnęła mnie dalej. Moje ciało okręciło się dookoła jednej z poręczy. Wtedy poczułam, jak fiolka z trucizną wypada mi z kieszeni. Poleciała gdzieś. Nie wiem gdzie.

A ja spadałam dalej. Minęłam matkę. Upadła na twarz. Koleś z tatuażem miał wbity w nogę kawał blachy. Umięśniona biurwa uderzyła głową o drzwi. Miała szczęście, że nie trafiła twarzą w szybę, tylko w metal. Najprawdopodobniej wybiła zęby, ale zachowała twarz.

A potem upadłam tuż obok Bezdomnego. Leżał zwinięty w kłębek. Kartki ze zniszczonej *Anny Kareniny* fruwały w powietrzu. Sięgnął ręką, niczym po motyla, złapał jedną i schował do kieszeni.

Zgubiłam nóż.

To była ostatnia rzecz, o jakiej pomyślałam.

Potem zapadłam się w ciemność.

GODZ._9.21

Tytus Dobroczyński otworzył oczy. Żył.

CZĘŚĆ II

SIEDEMDZIESIĄT MINUT PÓŹNIEJ

SUMMER IN THE CITY

ROZDZIAŁ 1

GODZ._10.30

Państwo tego nie mogą zobaczyć, ale to lepiej. Warszawa nie wyglądała tak od tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Dym w centrum. Dym na całej długości Marszałkowskiej do placu Zbawiciela. Służby porządkowe, policja, wojsko, kilkaset osób pracuje przy wejściach do stacji Centrum i Politechnika. Wciąż nie da się wejść na perony, nie wiemy, ile osób jest tam uwięzionych. Warszawska Patelnia zapadła się niemal cała. Ulubione miejsce spotkań mieszkańców stolicy... Sekunda... Kochani, przerywam, bo nasza reporterka Diana Wrocławska właśnie otrzymała niezwykłą możliwość porozmawiania z prezydentem miasta. Jak państwo wiedzą, nie będzie konferencji prasowej, prezydent za to włączył się bezpośrednio w akcję ratowniczą. Diana? Czy mnie słyszysz?

– Słyszę cię doskonale. Obok mnie stoi pan prezydent Grzegorz Bolesławski. Panie prezydencie, czy już wiadomo, co się wydarzyło?

– Dzień dobry pani, państwu, choć trudno nazwać to dniem dobrym. Nie wiemy jeszcze. Dopóki służby ratownicze nie wejdą pod ziemię, trudno będzie cokolwiek powiedzieć. Wiemy, że nastąpiła eksplozja.

– Czy to był zamach terrorystyczny?

– Żadna organizacja nie przyznała się do ataku na Warszawę. Biorąc pod uwagę techniki przeprowadzania zamachów przez ISIS, myślę, że możemy wykluczyć zamach. To wypadek, ale jego podłoże poznamy dopiero, gdy uda się

nam zejść na dół. Teraz zresztą ważniejsze od tego, co się stało, jest to, ilu ludzi możemy uratować. Ratowanie ludzi to nasz priorytet.

– Pojawiła się plotka, że Ratusz wiedział o potencjalnych niewybuchach, które mogły znajdować się na terenie budowy, i nie zareagował.

– Szanowna pani, plotki będą teraz pojawiać się co chwila. Niewybuchy mają to do siebie, że jeśli przez dekady nie wybuchły, a przypominam, że jesteśmy w samym sercu miasta, gdzie dziennie przejeżdża kilkaset tysięcy samochodów, powodując gigantyczne drgania, to nie wybuchają same z siebie.

– Czyli sugeruje pan zamach?

– Nic z tych rzeczy. Mówię, że musimy poczekać na jakiegokolwiek wnioski. Na to przyjdzie czas, teraz pora ratować ludzi.

Będziemy na bieżąco zdawać relacje z tragedii, jaka wydarzyła się w centrum stolicy, a w oczekiwaniu na kolejny wywiad Diany zapraszam do posłuchania zespołu Cherry People. Utwór nazwa się I'm the One Who Loves You. Kochamy was, warszawiacy. Kochamy.

GODZ._10.31

Ciemność. Na początku była ciemność.

Potem pojawił się dźwięk.

Bezustanne brzęczenie.

Jak komar, który lata nocą obok ucha. Ciało reaguje odruchowo. Mimo że śpimy, nasze dłonie unoszą się i odganiają brzęczącego skurwysyna.

Tu żaden ruch nie był w stanie wyciszyć jazgotu. Nic nie mogło go przegonić. Dźwięk trwał. Wwiercał się w mózg, rozsadzając głowę od środka. Zupełnie jak w filmie Davida Cronenberga *Skanersi*. Jeszcze chwila i mózg eksploduje, zamieniając głowę w krwawą papkę.

Nie wiem, ile czasu minęło. Może minuta, a może pół godziny. A może wieczność. W końcu bezlitosne piszczenie zaczęło ustępować. Stawało się mniej

uciażliwe. Drenaż mózgu był coraz subtelniejszy.

Kiedy myślałam, że nastąpił koniec, że będę mogła spróbować podnieść głowę i rozejrzeć się w panujących dookoła ciemnościach, usłyszałam kolejny dźwięk.

Ten był o wiele bardziej przerażający. Pełzł po ziemi, zakradał się niczym nieprzyjaciel na froncie i nagle wbijał się w uszy, wysyłając do mózgu jeden komunikat. Umarłaś i jesteś w piekle.

Tym dźwiękiem był jęk. Czy raczej jęki. Skowyt rannych, konających ludzi.

Ktoś próbował krzyczeć, ale z jego ust wydobywał się tylko niezrozumiały bulgot. Wewnętrzny wylew. Ktoś dławił się krwią. Nic nie widziałam. Tylko słyszałam.

Jakaś kobieta błagała, żeby ją dobić. Prosiła o śmierć. Chwilę później zamilkła. Jej prośba została wysłuchana.

Ktoś szlochał. Zanosił się płaczem, a potem zamilkł. Na zawsze.

Jęczenie.

Płacz.

Błaganie.

Oto śmierć w całej swojej okazałości. W ostatecznej chwili odbiera człowiekowi całą godność.

Zostawia jęk i szloch.

Skomlenie.

Błaganie. O oddech. O życie. Albo o szybszą śmierć.

Mora przechadzała się powoli między nami, zbierając żniwa.

Dźwięk, jaki wydawała przy swojej pracy, był nie do zniesienia. Paraliżował. Odbierał chęć życia. Wolę walki. Mora była jak syrena. Wiodła do swojego królestwa, z którego nie było powrotu. Zamknęłam powieki. Zacisnęłam je tak mocno, aż zabolą mnie oczy. Kiedy mózg zarejestrował ból, przestałam słyszeć pieśń śmierci. Wyrwałam się z jej mocy.

Na jak długo?

Nie wiem.

W katastrofie kopalni w Chile górnicy przeżyli pod ziemią sześćdziesiąt dziewięć dni. W ciemności. W beznadziei. Każdy dzień mógł być ich ostatnim. A mimo to nie wsłuchali się w śpiew Mory. Nie dali się jej zwieść. Przetrwali.

Oparłam się dłońmi o podłogę. Była wilgotna. Nawet nic nie widząc w kompletnej ciemności, wiedziałam, w czym mam zanurzone ręce. Krew jest płynem, który trudno pomylić z jakimkolwiek innym.

Wtedy powrócił węch. Zmysł, do tej pory oziębiały, zaatakował z całą swoją mocą. Nozdrza wypełniły się słodkawym aromatem krwi zmieszanej z kurzem, brudem i czymś jeszcze. Śwadem, jaki wypełza z człowieka, gdy ktoś go otworzy. Smrodem buchającym z jelit. Żołądka. Przetrawione pokarmy zmieszane z płynami i tym, co powstaje wewnątrz naszych ciał.

Zwymiotowałam.

Starając się zakryć usta, roztarłam na twarzy czyjaś krew.

Przez chwilę miałam wrażenie, że stracę równowagę i runę twarzą we własne wymiociny i cudzą krew. Jakimś cudem udało mi się nie upaść. Wysportowane ciało i dobrze pracujące mięśnie głębokie. Usiadłam. Poczułam za sobą twardy metal. Wyciągnęłam rękę za siebie i zaczęłam macać w ciemności.

Drzwi.

Udręczony mózg zareagował natychmiast.

Tancerz. Terlecki.

Siła eksplozji rzuciła mną w stronę drzwi, obok których siedział Bezdomny czytający *Annę Kareninę*. Jeśli Terlecki i jego ludzie przeżyli, dzieliło mnie od nich kilka centymetrów nadwerężonej stali, stłuczona szyba, ciemność i być może zwłoki dwóch osób.

Ciało zareagowało błyskawicznie. Chciałam wstać. Wtedy poczułam na ramieniu czyjaś dłoń.

– Powoli – wyszeptał jakiś głos.

Nic nie odpowiedziałam.

– Powoli. Podnoś się powoli. Przeżyłaś, przeżyliśmy... – Głos próbował coś powiedzieć, ale nie mógł zebrać myśli. – Nie podnoś się za szybko. Daj organizmowi dojść do siebie – wydusił.

– Dlaczego? – zapytałam jak głupia.

– Bo... – Przerwał. – Bo tak...

– Kim... – zaczęłam mówić, ale ugryzłam się w język. Wiedziałam, kim jest. To Bezdomny.

– Nikim – odpowiedział na pytanie, którego nie zadałam.

Milczeliśmy.

Miał rację. Ciało powoli dochodziło do siebie. Z każdą kolejną minutą coraz inne części ciała dawały o sobie znać.

Oddychałam normalnie, jeśli można tak powiedzieć o wdychaniu unoszącego się pyłu i całego syfu, jaki niósł za sobą wybuch.

Wzięłam głęboki wdech. Nic nie zaboląło. Żebra całe. Zaczęłam dotykać nóg. Wcierając w spodnie krew z moich dłoni, przejechałam w dół po udach i łydkach. Też całe. Powoli zakradał się ból mięśni, ale jego źródłem nie były złamania czy uszkodzenia mechaniczne. Mięśnie bolały, bo oberwały mocno. Prawa dynamiki Newtona.

– Czy to Arabcy?

Pytanie zawisło w ciemności niczym niewidzialny topór. Nie musiałam zbyt daleko szukać w pamięci, żeby domyślić się, kto mógł je zadać. Zapuchnięty bufon.

– To na bank Arabcy. Jebane brudasy. Zaatakowały Polskę. Najświętsza Panienko, módl się za nami.

Był jakiś metr, może półtora ode mnie. Gdyby powiedział jeszcze coś, mogłabym szybko odnaleźć go w ciemności i skrócić mu kark. Nie żebym była zwolenniczką poprawności politycznej i czuła się urażona jego językiem. Nie. Po prostu wiem, że w kryzysowych sytuacjach tacy ludzie oznaczają tylko jedno – kłopoty. A kłopoty najlepiej eliminować.

– Nie sędzę – odezwał się Bezdomny. – Polska nigdy nie była i nie będzie krajem, który w jakikolwiek sposób byłby atrakcyjny dla ISIS. Oni atakują tam, gdzie zaboli Zachód, a Polska na Zachodzie nic nie znaczy. Nasza władza mocno się o to postarała. Więc spokojnie. To nie ISIS – zakończył.

– Jak, kurwa, nic nie znaczy! Znaczy! Kurwa, znaczy! Polacy zajebali im pod Wiedniem i teraz się szmaty brudne mszczą. Kozojebcy. Macie swoje multi-kulti.

– Biorąc pod uwagę liczbę stosunków płciowych, jakie nasi górale odbyli z owcami, nie byłbym tak skory do oceniania nacji po preferencjach seksualnych – odparł Bezdomny, wyraźnie rozbawiony.

Takie rzeczy mogą wydarzyć się tylko w Polsce. Właśnie rozjechało pół warszawskiego metra, a dwóch facetów kłóci się o to, kto dmucha owce, a kto kozy. Pokręciłam głową w niedowierzaniu.

Nóż.

Nie miałam noża.

Fiolka zapewne gdzieś się rozbiła. Miałam nadzieję, że nie pode mną. Styczność z trucizną na zawsze zakończyłaby moją egzystencję. Byłoby w tym coś przewrotnie zabawnego. Morderczyni przeżyła eksplozję w metrze, ale zabiła ją jej własna broń.

– Pewnie sam pan jebie kozy. Islamski pacholek. – Pijak nie dawał za wygraną.

Miałam nadzieję, że Bezdomny domyśli się, że kontynuowanie tej rozmowy nie ma sensu.

Milczał.

Otaczał nas dziwny rodzaj ciszy, ale nie było cicho. Stłumione jęki, urywane oddechy, krzyki mieszały się z odgłosami pękającego betonu. Gdzieś za nami jakiś – zapewne spory, sądząc po odgłosie – kawał zabudowy tunelu musiał oderwać się i z hukiem runął na wagon.

Najpierw uderzenie, potem krzyk.

Mora zapewne popędziła w tamtą stronę. Świeża krew. Świeża śmierć. Idealny pokarm dla pani zaświatów.

– Żyjesz? – dobiegł mnie głos młodego mężczyzny. Bardziej chłopca niż dojrzałego faceta.

Wzrok przyzwyczaiał się już do ciemności, ale to nie znaczyło, że widziałam wyraźnie. W ciemności majaczyły zaledwie kontury osób.

– Mmmmm... – usłyszał chłopak w odpowiedzi.

– Nie ruszaj się. Zobaczę, co z mamą.

Dzieciak i dziewczyna żyli.

Powoli podniosłam się z podłogi.

– Uważaj! – krzyknął Bezdomny.

W ostatniej chwili uchyliłam głowę. Nade mną wisiał kawałek pogiętej blachy, która kiedyś była dachem wagonu. Gdybym podniosła się szybciej, wbiłby mi się w środek czaszki.

– Dzięki – odparłam.

– Nie ma za co.

– Niezły wzrok. Nie widziałam.

– Niezły wzrok to wszystko, co mam – rzucił.

Nie odpowiedziałam.

Ciemność dawała mi pełną anonimowość, więc dopóki nikt nie włączy tu światła, mogłam bezpiecznie odwrócić się za siebie i spojrzeć w stronę Terleckiego. A jakiegokolwiek światło pojawi się nieprędko. Metro pewnie ma jakieś zasilanie i oświetlenie awaryjne, ale i tak zostanie włączone dopiero, gdy ratownicy dostaną się na dół. A komórki, które pasażerowie mieli przy sobie, albo w chwili wybuchu zostały rozbite, albo wyładowały w tej brei na podłodze, albo pofrunęły gdzieś w przestrzeń. Szukanie ich w ciemności nie miało najmniejszego sensu.

Połowa drzwi oddzielających wagony była zmasakrowana. Odruchowo naciągnęłam na głowę kaptur i zbliżyłam się do dziury, która kiedyś była szybą w drzwiach. W wagonie obok było więcej osób. Nikt się nie ruszał. Wsłuchiwałam się w odgłosy, próbując wyłapać w kakofonii trzasków i pogłosów czyjś oddech.

Cisza.

Jeśli Terlecki zginął, powinnam się cieszyć. Byłabym wolna. Ale do euforii było mi daleko. Śmierć należy potwierdzić. Sama byłam tego najlepszym dowodem.

Odsunęłam się od pozostałości drzwi. Podniosłam rękę, delikatnie dotknęłam palcami blachy i zrobiłam dwa kroki w stronę wnętrza wagonu. Nie uszłam daleko. Jakiś metr dalej potknęłam się o czyjeś nogi.

– Jezu!!! – krzyknął mężczyzna.

Upadłam na kolana. Po omacku zaczęłam nerwowo szukać człowieka, na którego wpadłam. Najpierw wyczułam jego krew, potem ciało. Łydkę. Umięśnioną. Wysportowaną. Gdzieś w jej połowie poczułam metal. Spory kawał blachy wbił się w nią głęboko. Rana obficie krwawiła. Jeśli nie uda się zatamować upływu krwi, mężczyzna umrze, zanim zdoła zrozumieć, co tak naprawdę mu się przydarzyło.

– Pasek. Ma pan pasek? – zapytałam.

– Yhy – odparł.

Chwilę później podał mi skórzany pasek, który dzięki ciemności mógł być każdego koloru, jaki tylko człowiek sobie zamarzy.

– Muszę zatamować krew – powiedziałam spokojnie. – To nie będzie boleć.

Nie wiem, czy pokiwał głową ze zrozumieniem, czy nie. Wymacałam kolano, włożyłam pod nie pasek, przesunęłam go przez sprzączkę, a potem z całej siły zacisnęłam pętlę. Nie miałam pojęcia, czy to uratuje mu życie, ale w sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, nie powinno zaszkodzić.

GODZ._10.34

Kiedy człowiek leży nieprzytomny, traci rachubę czasu. Ostatnią rzeczą, jaką zarejestrował mózg Tytusa, był świst. Przerażający, nadciągający z głębi kanału świst. Jakby jakiś Hades nabrał powietrza w swoje boskie płuca i z całych sił wydmuchnął je, spuszczając na swoje podziemne królestwo oddech chaosu. Zawsze gdy nagle zasypiamy, mózg wpada w panikę. Wysyła nerwowy sygnał do

reszty ciała, a my podskakujemy, tak jakbyśmy chcieli powiedzieć: „Nie, nie spałem, to ściema. Tylko na sekundę przymknąłem oczy”. Tytus znał ten stan. Wiele razy, gdy zasypiał przed telewizorem, a jego narzeczona z czułością dotykała jego ramienia, pytając cicho, czy śpi, on podskakiwał nerwowo, mówiąc: „Nie, nie, skąd”.

Teraz też tak się czuł. Z tą różnicą, że ze snu wybił go nie delikatny dotyk kobiecej dłoni, ale smród. Przeróżający smród.

Wnętrze tunelu wypełnił odór spalenizny. Zupełnie jakby Tytus znalazł się na grillu w samym środku piekła. Kilka sekund zajęło mu domyślenie się, co tak cuchnie. Zwierzęta. W kanałach mieszkają szczury, bezpańskie koty. Wybuch musiał sprawić, że gdzieś tam usmażyła się spora populacja jego mieszkańców. Może pośród nich byli też ludzie... Ratusz mógł opowiadać niestworzone historie o tym, jak zapobiega bezdomności i walczy o podniesienie jakości życia mieszkańców, ale bezdomni nie znikali. Przeciwnie, było ich coraz więcej. Ostatni kryzys ekonomiczny doprowadził do ubóstwa tysiące osób, część z nich znalazła nowy dom tu, w kanałach. Wśród szczurów i brudów miasta. Tym przecież byli. Brudem. Niechcianą tkanką miejską, którą najlepiej było ignorować. Wymazywać ze statystyk. Ich życie przecież było warte dokładnie tyle.

Kiedy przyzwyczał się do smrodu, powoli podniósł się z kamiennego podłoża. Pył i dym opadły. Teraz widział dokładnie. Kanał był nienaruszony. Podmuch, który rzucił nim o ziemię, nie wyrządził szkód. Co nie znaczyło, że gdzieś tam przed nim było tak samo. To musiała być potężna eksplozja, skoro jej efekt dotarł aż do niego.

Przypomniała mu się Rotunda. Kiedy na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich wybuchł gaz, jego jeszcze nie było na świecie. Rok 1979. Zima stulecia. Jeden głupi błąd robotnika zabrał ze sobą czterdzieści dziewięć ludzkich istnień. Gdyby ów człowiek nie zakręcił z całej siły śruby mocującej zawór gazu ziemnego. Gdyby nie było siarczystego mrozu i gigantycznych opadów śniegu. Gdyby, gdyby, gdyby... Kiedy badano przyczyny, komisja doszła do wniosku, że gdyby w centrum nie było ruchu tramwajowego i kolejowego, zapewne gaz nigdy

by nie eksplodował. Ale mikrowstrząsy spowodowały, że kopuła zaworu pękła. Gaz ulatniał się i ulatniał... A potem wystarczyła iskra. Zwarcie w instalacji elektrycznej. W Rotundzie nie było instalacji gazowej. To był największy paradoks tej katastrofy. Gaz zmiótł z ziemi budynek, który nie był podłączony do sieci. Ulatniający się, bezwonny, zadomowił się w budynku PKO. Do czasu, gdy jedna iskra postanowiła przeskoczyć na kabelek obok.

Czy teraz było tak samo? Zawinił jeden człowiek, który miał do wykonania prostą pracę? Nie. Tytus nie weźmie na siebie odpowiedzialności za to, co się stało. Ani on, ani Obłucki. Nie stanie się kozłem ofiarnym Ratusza. W przeciwieństwie do robotnika z Rotundy on głośno mówił o tym, że należy wstrzymać się z pracami, dopóki nie wykluczy się wszystkich zagrożeń. Nawet tych fantastycznych. Teraz już wiedział, że opowieści o ukrytej broni nie były bajkami. Miał tylko nadzieję, że nie doszło do najgorszego. Powstańcy ukrywający pod ziemią broń, zakładający bomby pułapki, zapewne nie chowali kilku karabinów i granatów. Arsenał musiał być pokaźny. A jeśli doszłoby do jego wybuchu... Czterdzieści dziewięć osób zginęło w Rotundzie. To było czterdzieści lat temu. Od tamtej pory Warszawa rozwinęła się, rozrosła. Jeśli arsenał wybuchnie, ofiary będą liczone nie w dziesiątkach, ale w setkach tysięcy.

Obejrzał się za siebie. Nie miał pojęcia, ile czasu minęło, odkąd rozdzielił się z Obłuckim. Miał tylko nadzieję, że staremu nic się nie stało. Nie pozostało mu nic innego, jak iść przed siebie. Nie wiedział, co robi, gdy znajdzie arsenał. Nie miał żadnego planu. Ale w sumie na co był mu plan, skoro nie miał nikogo, komu mógłby o nim opowiedzieć.

GODZ._10.44

Kazimierz Obłucki dzięki pomocy policjantów przebił się przez zakorkowane, sparaliżowane miasto i dotarł do epicentrum wybuchu.

Marszałkowska była nieprzejezdna. Wzdłuż ulicy, tam gdzie wcześniej była trakcja tramwajowa, biegło długie pęknięcie. Tramwaje, które tędy jechały, gdy nastąpił wybuch, leżały przewrócone na boki. Wokół nich biegali strażacy i ratownicy pogotowia.

„Krajobraz jak po wojnie” – pomyślał Obłucki.

Kiedy przyszedł na świat, władze Polski Ludowej, wspólnie z bratnim narodem radzieckim, oddawały mieszkańcom Warszawy do użytku Pałac Kultury i Nauki. Miasto podnosiło się ze zniszczeń, choć jego ulice wciąż poszatkiwane były zrujnowanymi kamienicami i miejscami, które przed wojną tętniły życiem, a po niej sączyła się z nich tylko brudna, cuchnąca krew.

Obecna Warszawa była inna. Kolorowa, dumna. Może i nie była najpiękniejszym miastem w Europie, po prawdzie było jej do tego daleko, ale miała swój wielkomiejski klimat. Teraz ten klimat ulatniał się z niej wraz z parą unoszącą się nad popękkanymi ulicami. Warszawa znów się wykrwawiała. Na szczęście nie doszło do najgorszego. Gdyby wybuch był silniejszy o kilka kiloton, stojące wzdłuż Marszałkowskiej kamienice i biurowce złożyłyby się niczym domki z kart. Morał z tego płynął jeden: pod ziemią wciąż czekała na rozbrojenie bomba, a on musi przekonać władze do zejścia do kanałów.

Przyglądał się stojącej kilka metrów od niego Kwiecińskiej. Udzielała wywiadu jakiejś dziennikarce. Była przejęta, pełna skupienia. Doskonale znał język jej ciała. Kwiecińska napinała się tak tylko wtedy, gdy uświadamiała sobie, że jej życie i kariera są w wielkim niebezpieczeństwie. Prawdziwym. Widział ją taką tylko raz, gdy dziennikarze z „Gazety Publicznej” jakimś cudem weszli w posiadanie e-maili, które wymieniała z pewnym developerem. Na jej szczęście, z bliżej nikomu nieznanых powodów, developer przyznał się do fałszowania korespondencji i oszukiwania Ratusza. Dostał trzy lata w zawiasach, a kamienicę, którą chciał kupić, dostała w akcie dziwnej darowizny jego kuzynka.

– Dzień dobry, pani Anno – powiedział Obłucki, zbliżając się do Kwiecińskiej. Zignorowała go.

– Pani Anno? – przerwał jej wypowiedź dla dziennikarki. – Proszę posłuchać, mieliśmy rację. Tarcza uruchomiła...

– Co uruchomiła? – zapytała zaciekawiona dziennikarka.

– Nic nie uruchomiła – fuknęła Kwiecińska. – To pan Obłucki, były pracownik Ratusza.

– Może mnie pani zwolnić – odparł Obłucki. – Nie robi to na mnie wrażenia. Najważniejsze jest teraz jedno, szanowna pani: jak najszybsze powołanie ekipy saperów, którzy zejdą pod miasto. Może pani mi grozić, może pani mnie nawet wywalić dyscyplinarnie. Jedno wiem: siedzimy na bombie i jeśli ona wybuchnie, krew mieszkańców będzie miała na rękach pani, nikt inny – wyrzucił z siebie.

Dziennikarkę zamurowało. Patrzyła to na Obłuckiego, to na Kwiecińską, zastanawiając się, czego tak naprawdę była świadkiem. Kilka sekund później jej mózg przeanalizował informacje, spojrzała na Kwiecińską i otworzyła usta, by zadać jej pytanie.

– Ubiegnę panią. – Kwiecińska była szybsza. – Pan Obłucki opowiada dość niestworzone historie. Obecnie z urzędem miasta opracowujemy strategię pomocy poszkodowanym, a nasza specjalna grupa pracuje nad planem, który umożliwi nam dotarcie do zasypanych ludzi. Jak pani wie, stacje Centrum i Politechnika są odcięte. Sytuacja lepiej wygląda przy Świętokrzyskiej i z tej strony zejdzie ekipa.

– Wyślij tam saperów, durna pizdo! – warknął Obłucki i nie czekając na odpowiedź, sięgnął po komórkę.

Wybrał numer Tytusa. Włączyła się poczta głosowa.

– Trzymaj się tam, synu – powiedział do nieaktywnego telefonu.

Jedyne, co mógł teraz zrobić, to iść do prezydenta. Kwiecińska może i była kuzynką Bolesławskiego, ale odpowiedzialność za masowe zabójstwo powinna wpłynąć na ostudzenie rodzinnych koneksji.

„Zabawne – pomyślał. – Przez dekady powstańcy byli krwawą dumą tego miasta. Legendą, która potwierdzała narodowy hart ducha Polaków. Teraz mieli

ściągnąć na swoje miasto zagładę. A wszystko to w imię dawnej wojny, o której dziś mało kto pamiętał”.

– Sami się pozabijamy – powiedział na głos.

ROZDZIAŁ 2

GODZ._10.56

Akcja ratunkowa w centrum Warszawy trwa bez chwili przerwy. Minister obrony narodowej w porozumieniu z ministrem spraw wewnętrznych i warszawskim Ratuszem ogłosił, że do miasta zostają skierowane oddziały jednostki specjalnej GROM, której wyszkoleni specjaliści mają wspomagać policję i straż pożarną podczas prac. Połączmy się z Dianą Wrocławską. Diano, czy mnie słyszysz?

– Tak, głośno i wyraźnie.

– Jak wygląda sytuacja?

– Sytuacja jest rozwojowa. Jak mówiłeś, do centrum zostają wpuszczone oddziały GROM-u.

– GROM kojarzy się nam głównie z działaniami zbrojnymi. Czy możemy mówić zatem o zamachu terrorystycznym? Czy Warszawa jest w stanie wojny?

– Jednostka specjalna dwa trzy zero pięć, owszem, może kojarzyć się z wojną i działaniami wymierzonymi w agresorów, ale to także wykwalifikowani specjaliści, którzy potrafią przeprowadzać trudne i skomplikowane akcje ratunkowe. A co do twojego pytania, to nie, nikt nie mówi o zamachu, za to pojawiła się ciekawa plotka, jakoby za eksplozję w centrum odpowiedzialne były niewybuchy z czasów powstania warszawskiego. Będę drążyła ten temat i dam znać.

– Dziękujemy. Dla państwa ze strefy zero mówiła nasza reporterka Diana Wrocławska. A my wracamy do studia, gdzie czekają na nas Pete Dello i Przyjaciele w kompozycji Do I Still Figure in Your Life.

GODZ._10.57

Pięciu pasażerów żyło. Przynajmniej na razie tyłu się doliczyłam. Nie wliczałam siebie i Bezdomnego. Do grona wybrańców nie należała starsza pani i jej syn Robert. Jego siła uderzenia wypchnęła przez okno. Mimo ciemności udało mi się wymacać ciało wystające przez rozbite okno. Głowa albo nie wytrzymała siły zderzenia ze zbrojoną szybą, albo zahaczyła o coś za oknem, a potem... W każdym razie nie było jej w miejscu, w którym powinna być. Nie traciłam czasu na jej szukanie. Domyśliłam się, kim jest bezgłowy pasażer, wymacując jego szeleszczącą torbę. Mocno przylegała do ciała. Wokół pasa trupa zacisnęły się ręce. Zasuszone, zniszczone. To musiała być matka, która w ataku paniki próbowała szukać ratunku u syna. Nieudanie. Nie wiedziałam, jak zginęła, i niespecjalnie chciałam tego dochodzić.

Chłopak szukał matki. Byłam przekonana, że jej też się nie udało, ale młody się nie poddawał. Kiedy udało się mu ją odnaleźć, zaczął ją cucić, krzycząc:

– Mamo, błagam, mamo, żyj!

Ku mojemu zaskoczeniu kobieta posłuchała. Nagle rozległ się odgłos krztuszenia, a potem kobieta wyszeptała coś, co brzmiało jak „Jestem, Patryś”. Choć oczywiście mogło to też być „Jesteś palant”.

Nie byłam do końca przekonana.

Mieliśmy więc na stanie Bezdomnego, siłacza z żelastwem w nodze, pijaka, który szuka arabskich terrorystów, matkę, syna i dziewczynę.

Siedmiu wspaniałych kontra ciemność.

Odgłosy konania cichły. Powoli zaczynała otaczać nas całkowita cisza, przerywana już nie przez jęki umierających, ale przez gdzieś w oddali spadające kawałki betonu i ziemi. Mora zabrała, co jej. Czy to znaczyło, że skończyła? Nic z tego. Tylko się przyczaiła, czekając na okazję, by znów chłonąć ból, strach. I życie.

Z rozmyślań o śmierci wyrwał mnie nagle dziwny dźwięk. Coś, co brzmiało tak, jakby ktoś się topił. Bulgot połączony z rżeniem. Ruszyłam w stronę,

z której dobiegały te odgłosy. Minęły trzy, może cztery sekundy, ale w ciemności czas biegnie zupełnie inaczej. Wszystko się wydłuża, ciągnie. Podróżujesz przez inny wymiar – wymiar nie tylko obrazu i dźwięku, ale przede wszystkim umysłu. To podróż przez krainę, której granice wyznacza wyobraźnia. Jedyne drogowskaz, jaki stoi na tej trasie, głosi: „Twój następny przystanek – strefa mroku”. Nie wiem, dlaczego w mojej głowie odezwał się głos Roda Serlinga. Teraz do pełni szczęścia brakowało nam wychodzących z mroku wielkich robali albo ataku kosmitów. Choć ci ostatni częściej jednak pojawiali się w serialu *The Outer Limits*.

Dotarłam do źródła dźwięku. Znajdowało się pod ciałem człowieka, którego wcześniej nie zauważyłam. Mężczyzna około czterdziestki. Miał skręcony kark. Nawet w ciemności dało się zobaczyć nienaturalnie wykręconą głowę. Był duży. Ważył pewnie jakieś sto dwadzieścia kilogramów. Teraz jego masa rozlała się na resztkach podłogi wagonika, miażdżąc to, co leżało pod nim.

Spod ciała wyswobodziła się jedna dłoń. Potem druga. Krztuszenie się było coraz donośniejsze. Dłonie ruszały się nerwowo. Kobieta pod ciałem się dusiła. Martwy człowiek, mimo że waży tyle samo, co żywy, jest o wiele cięższy. Nie miałam zamiaru siłować się z olbrzymem, ale jakoś jego niedoszłą ofiarę należało uratować.

Facet z paskiem na nodze był bezużyteczny. Pijak mamrotał coś o zemście za Wiedeń. Pozostała mi Anna Karenina.

– Musisz mi po... – rzuciłam w stronę miejsca, gdzie ostatnio siedział, ale nie zdążyłam dokończyć.

– Jasne – powiedział Bezdomy. – Popchnij go w pasie, ja chwycę za ramiona.

Za pierwszym szarpnięciem ciało nawet nie drgnęło, za to leżąca pod nim kobieta rzeziła coraz bardziej.

– Najpierw go rozbijamy, a potem pchasz w moją stronę na trzy – zarządził.

– Na trzy? Czy na raz, dwa, trzy? – zapytałam, czując się jak bohaterka *Zabójczej broni*.

– Na raz, dwa, trzy – odparł, powoli zaczynając bujać ciałem. – Raz. – Ciało lekko się ruszyło. – Dwa. – Było lepiej, ale wciąż bez euforii. – Trzy! – Pchnęliśmy go. Spadł.

Pod mężczyzną leżała wysportowana bizneswoman. Ta, która się spieszyła i nerwowo przebierała stopami obutymi w sportowe buty. Gdy upadałam, widziałam, jak uderzyła twarzą w drzwi. Siła, z jaką jej przystojna twarz spotkała się z metalem, była ogromna, byłam przekonana, że uderzenie musiało przerwać rdzeń kręgowy czy coś w tym stylu, ale okazało się, że nie. Co prawda czekała ją spora inwestycja w nowy nos i wymiana szczęki, ale poza tym, gdy podnieśliśmy ją tak, by mogła wypluć krew, którą się dusiła, więcej szkód nie zauważyłam.

A zatem ośmiu wspaniałych kontra ciemność.

Powinniśmy się jak najszybciej stąd wydostać. Przebywanie wewnątrz wagonu, który doznał tak rozległych uszkodzeń, było niebezpieczne. Poza tym w każdej chwili tunel mógł się zawalić i zmiążyć to, czego nie zniszczył wybuch. Problem ze spacerem przez tunel był podstawowy. Raz – było w nim ciemno, a dwa – wciąż nie mieliśmy pojęcia, czy wysiadło tylko oświetlenie, czy cały prąd. Tak czy inaczej, czekała nas wycieczka przez pole minowe. W ciemności łatwo źle postawić krok, a dodatkowo jeśli trzecia szyna wciąż była pod napięciem, to człowiek zostaje ludzką frytką.

– Przeliczyłaś? – usłyszałam tuż obok ucha głos Bezdomnego.

– Tak. Ze mną osiem.

– Musimy stąd jak najszybciej wyjść. Wiesz o tym?

– Wiem. Myślisz, że tam jest bezpieczniej?

– Nie. Nigdzie nie jest. Jesteśmy w tunelu metra, które nigdy nie było projektowane na przetrwanie takiej sytuacji.

– Jak to?

– Co?

– Przecież kiedy buduje się metro, trzeba zakładać możliwość katastrofy.

– Teoretycznie. W praktyce zazwyczaj zakłada się to na papierze, a potem podczas budowy się oszczędza, a bezpieczeństwo jest drogie.

– To co proponujesz?

– To samo, o czym myślałaś.

– Czyli?

– Pójdziemy wzdłuż wagonów aż do ostatniego, tam wyskoczmy na tory, jeśli jeszcze istnieją, i będziemy się modlić, żeby nie trafić na trzecią szynę.

– Skąd... – Nie potrafiłam ukryć zaskoczenia. Miałam wrażenie, że facet czyta mi w myślach.

– Myślisz, że każdy bezdomny rodzi się w łachmanach i pod ziemią?

– No nie.

– To dobrze. Idziesz przodem. Ja zamykam. Wezmę ze sobą gościa z nogą. Ty pilnuj dziewczyny z rozbitą twarzą. W środku pójdą ci, którzy nie wymagają opieki.

– W którą stronę? W przód czy w tył?

– Cofając się, jechaliśmy ponad minutę, czyli jesteśmy bliżej stacji Centrum. Poza tym jeśli problem zaczął się od Politechniki...

– To za nami są zgliszcza – dokończyłam.

– Tyle że przed nami w każdej chwili wszystko może runąć, łatwiej jest więc iść po zgliszczach niż w nieznane. Odległość między Centrum a Politechniką to tysiąc dwieście czterdzieści metrów. Mamy więc kilometr za sobą albo ponad dwieście metrów przed sobą.

I leżących Terleckiego, Tancerza i tego trzeciego przed nami – dodałam w myślach. Może i nie żyli, ale bez broni, w ciemności i w otoczeniu niewinnych ludzi nie miałam ochoty tego sprawdzać. Czym innym jest wykonanie wyroku, a czym innym narażanie na utratę życia ludzi, którzy z porachunkami nie mają nic wspólnego. Pomyślałam o Dominice Czerskiej. Przypadkowej śmierci. Jej rodzina będzie się łudzić, że gdzieś tam żyje. Że uciekła i ma się dobrze. Będą zastanawiać się dlaczego, będą przerzucać się winą. Szukać powodu. Z tym nie tylko mogłam,

ale musiałam żyć. Ale pakowanie niewinnych dzieciaków w paszczę lwa, bez pewności, że lew nie żyje? Nie.

Gdy tylko wyrzuciłam z głowy Dominikę i zaczęłam powoli przedzierać się z bizneswoman na przód naszej mrocznej wycieczki, z wagonu obok dobiegł głos. W zasadzie był to okrzyk. Jedno słowo. Wyrzucone z siebie z furją, ale i ze strachem.

– Kurwaaaaaa!!!

Wiedziałam, kto przemówił.

GODZ._11.02

Jako dziecko nie potrafiła panować nad emocjami. Zdarzało się jej wybuchać, krzyczeć i tupać nóżkami. Kiedy jednak uświadomiła sobie, że krzyki nie działają na dorosłych, a tupanie nogami nie zbliża jej do celu, który chciała osiągnąć, zmieniła taktykę. Gdyby wtedy pochylił się nad nią jakiś terapeuta, uznałby, że dość wcześnie, bo raptem mając osiem lat, Anna Kwiecińska zaczęła wypracowywać w sobie socjopatyczne odruchy. Zaczęła od wygaszania emocji. Im bardziej dorośli myśleli, że jest przygnębiona, smutna czy samotna, tym szybciej udawało się jej uzyskać to, na czym jej zależało. I tak nagle ojciec sam wpadał na pomysł, żeby zabrać ją do wesołego miasteczka, do którego nigdy nie chciał chodzić. Nie wolno jej jeść słodczy. Ale popatrz na jej minę, siedzi taka smutna w pokoju. Nie zaszkodzi jej, a czekolada podobno poprawia humor.

Zaczęła od prostych rzeczy, a z upływem lat podnosiła poprzeczkę. W wieku siedemnastu lat przejechała ze swoim przyjacielem całą Europę. Za nic nie płaciła. Oczywiście wiele obiecywała. Bardzo wiele, ale jej „przyjacielowi” nie było dane nawet złapać ją za kolano. Kiedy po latach myślała o tej eskapadzie, nie do końca była w stanie wyjaśnić, jakim cudem udało się jej tego gościa tak omotać, ale fakty były takie, że zrobiliby dla niej wszystko. I robił.

Empatia, ludzkie odruchy, przywiązanie do kogoś – to wszystko było jej obce. Budowała relacje tylko takie, które były jej potrzebne do osiągnięcia kolejnych celów podróży. Na jej końcu zaś było to, do czego dążyła – władza absolutna. Tylko tego chciała. Tylko na tym jej zależało i nikt nie był w stanie odgrodzić ją od celu. A już na pewno nie ktoś taki jak Obłucki.

Zaskoczył ją. To nie ulegało dyskusji. Bezcelnie przeszkodził w wywiadzie i zasiał ziarno niepewności w dziennikarce. Co prawda była to nic nieznacząca pizda z lokalnego radia, ale... Największe tragedie zaczynają się często od nic nieznaczących pizd.

Obłucki miał rację. Jeśli do opinii publicznej przedostaje się informacja o tym, że Ratusz wiedział o potencjalnym zagrożeniu, skończy się to w najlepszym razie jej dymisją, a w najgorszym zawiasami lub odsiadką. Co z kolei definitywnie przekreśliłoby jej szanse na sięgnięcie po władzę najwyższą. Prezydent Polski. Szefowa Rady Europejskiej. Tam się widziała, a afera w stolicy mogła pokrzyżować jej plany.

Musiała jak najszybciej uciszyć Obłuckiego. I dowiedzieć się, gdzie jest Tytus. Jeśli zginął w wybuchu, tym lepiej dla niej. Jeśli jednak był w podziemiach i mógł naprowadzić jednostkę 2305 do składowiska niewybuchów, a to z kolei... Bolała ją głowa. W tym wszystkim najgorsze było to, że nie mogła w żaden sposób polegać na swoim kuzynie. Był marionetką i debilem, który aparycją nadrabiał pustkę między mózgowymi zwojami.

Pomachała w stronę kierowcy. Prezydent kończył rozmowę z którymś z pomniejszych ministrów. Nie mogła go zabrać ze sobą. Gdyby zniknął ze strefy zero, opozycja rzuciłaby mu się do gardła jak rozwścieczone pitbulle. Zresztą nigdy nie powinien wiedzieć, dokąd jedzie i co ma zamiar zrobić.

Dookoła roiło się od migających na niebiesko świateł. Winda przy wejściu do metra stała mocno przekrzywiona w prawo. Po schodach prowadzących pod ziemię biegali strażacy i ratownicy, wynosząc ze stacji ofiary wybuchu. Karetki nie nadążały z wywożeniem rannych, zaś ci, którzy byli w stanie stać o własnych siłach, po przetransportowaniu na powierzchnię byli opatrywani przez ratowników.

Jakiś mężczyzna z plecakiem siedział na krawężniku. Dłonie trzęsły mu się tak, że nie potrafił trafić papierosem do ust. Kwiecińska obrzuciła go spojrzeniem pełnym pogardy. Nigdy nie rozumiała, jak można pozwolić, by emocje brały górę nad człowiekiem. Przecież to prowadziło donikąd. A to była droga, której nigdy nie zamierzała odbyć.

Kierowca zaparkował przy radiowozie. Kiwnęła głową prezydentowi i zamknęła za sobą drzwi samochodu.

– Do biura – rzuciła do kierowcy.

– Się robi – odparł.

Przez chwilę jechali w ciszy. Kwiecińska układała w myślach plan, kierowca zaś, nauczony doświadczeniem, zamiast radia włączył Spotify i wyszukał playlistę Kwiecińskiej. Wnętrze mercedesa wypełnił głos Luciano Pavarottiego śpiewającego przejmująco *Ave Maria*.

Anna uśmiechnęła się do siebie. Wiedziała już, co musi zrobić. Wyjęła z torebki mały, archaiczny telefon komórkowy i wybrała numer. Po trzech dzwonek w słuchawce rozległ się męski głos.

– Nikt nie będzie mi mówił, jak mam żyć.

– Bo nikt za mnie nie umrze – odpowiedziała.

GODZ._11.03

Smartwatch na nadgarstku wskazywał, że przeszedł jakieś dwa tysiące trzysta kroków, co daje w przybliżeniu blisko dwa kilometry. Pod ziemią odległość liczyło się zupełnie inaczej, więc musiał dojść... No właśnie – nie miał pojęcia gdzie.

Smród spalenizny był coraz bardziej wyraźny, więc Tytus obstawiał, że zbliża się do granicy, do której musiała dotrzeć fala wybuchu. Miejsca, do którego uciekły zwierzęta. Gdyby potrafiły biegać szybciej, zapewne udałoby im się przetrwać. Wybuch to nic innego jak gwałtowne wydzielenie ogromnej ilości energii. Ta zaś zawsze szuka ujścia. Kobieta, która zginęła w domu, miała pecha, bo stanęła

w miejscu, które wybrała sobie energia. Kierowca w tunelu znalazł się w złym miejscu o złym czasie. Gdyby jechał pięć kilometrów na godzinę szybciej, studzienka i wiata zabiłyby kogoś innego. A może energia trafiłaby w próżnię, a zniszczenie wiaty uznano by za atak wandalii. Tu było inaczej. Ładunek był większy. Ciepło, które zostało wydzielone, o wiele mocniejsze. No i więcej energii. Solidny beton sprawił, że miasto się nie zapadło. Gdyby do tego doszło, zapewne nie szedłby teraz przed siebie w poszukiwaniu epicentrum, ale leżał zmiażdżony przez kawałki betonu i ziemię.

Minął zwęglone zwłoki szczurów. Od dawna zbierało mu się na wymioty. Teraz organizm nie wytrzymał. Postój trwał może minutę. Kiedy torsje przestały szarpać jego ciało, ruszył dalej, układając w głowie potencjalny scenariusz zdarzeń.

Zakładał, że ukrywający przed Niemcami swoje uzbrojenie powstańcy nie tylko zamontowali pułapki, ale musieli też ukryć wejście do arsenału. Może nawet podzielić go na dwie, trzy komory. Nie miał pojęcia, ile i jaką broń mieli, ale jeśli miała ona pomóc w walce, musieli zrobić wszystko, by nie wpadła w ręce wroga. Wiedział, że podziemie Warszawy zamieniono w żywy organizm, miasto w mieście. Mając świadomość, że podczas ewakuacji kanałami ładunki wybuchowe mogą zrobić krzywdę komuś przypadkowemu, powstańcy zapewne zabezpieczali je tak, aby nikt postronny nie ucierpiał. Zatem Tytusa czekało podwójne wyzwanie. Nie dość, że szukał czegoś, o czym nie miał pojęcia, to jeszcze musiał myśleć jak żołnierz, którym nigdy nie był.

Szedł powoli, rozglądając się na boki. Ciepło podmuchu zapewne spowodowałoby eksplozję kolejnych ładunków. Czyli tu ich nie było. W płynącej śródkiem kanału rzece odchodów i wody coś sporego zamajaczyło w ciemności. Kształt, który wyróżniał się w mroku. Tytus zrobił kilka kroków do przodu. Prąd przepchnął przedmiot niemal pod jego stopy. Gdy spojrzał w jego stronę, zwymiotował po raz drugi. Był to człowiek. Zapewne bezdomny. A raczej to, co z niego zostało. W mętnej wodzie błyszczała czaszka z pustymi oczodołami. Gorące powietrze wypaliło mu oczy. Przyspieszył, by jak najszybciej oddalić się od ciała.

– W co ty się wpierdoliłeś – rzucił w kanałową ciemność.

Niemal w tej samej chwili zobaczył coś, czego zupełnie się nie spodziewał. Choć może właśnie powinien... Może to było to, czego szukał.

Oto jakieś dwadzieścia metrów przed nim na środku kanału leżała sterta gruzu. A to znaczyło tylko jedno. Wybuch coś zburzył.

ROZDZIAŁ 3

GODZ._11.07

Ponownie łączymy się z naszą reporterką Dianą Wrocławską. Diano, czy mnie słyszysz?

– Tak, słyszę cię doskonale.

– Diana, znajdując się w strefie zero, zdobyła dla państwa to, na co wszyscy czekaliśmy. Rozmowę z osobą, która przeżyła wybuch. Diano, oddajemy ci głos.

– Dziękuję. Jest ze mną pan Waław. Kilka minut temu bohaterscy strażacy pomogli mu wyjść ze stacji Politechnika. Panie Waławie, jest pan w stanie opowiedzieć nam, co tam się stało?

[Cisza. Słuchać ciężki, urywany oddech].

– Panie Waławie?

– Tak... – Mężczyzna zawiesza głos.

– Panie Waławie, co tam zaszło?

– Nie wiem, proszę pani, nie wiem. Schodziłem, miałem dojechać na Młociny, bo tam dom remontujemy. Taki dom. No, dom. I szedłem na metro, bo on od metra niedaleko. Wie pani, szybciej tak dojadę. Więcej już do metra chyba nie wejść.

– Ale co się stało?

– Jakbym nie poszedł do sklepu, tobym przez bramki przeszedł, a tam to ludzie latali. Latali w powietrzu. Jak na tych... na horrorach. Wie pani, to są te efekty, że facet lata. Tam było tak samo. Jakaś siła nagle się pojawiła. Wielki huk. Przez chwilę widziałem, jak latają, a potem przyszła wielka chmura szara. I wszystko

zniknęło. Ja poleciałem do schodów. Tam mnie pchnęło. W stronę schodów, co nimi przyszedłem. A potem to już pamiętam tego strażaka, co do mnie mówił. I to wszystko. [Łkanie].

– Jak państwo słyszeli z relacji bezpośredniego świadka, pod ziemią działały się sceny niczym z horroru.

– Dziękujemy, Diano. Przerazająca historia. Pozdrawiamy serdecznie pana Wacława. Łączymy się w bólu z rodzinami uwieczonych pod ziemią i tych, którzy zginęli. Przypominam, że dziś ramówka Radia WSK zostaje zmieniona. Skupimy się na tragedii w metrze i na bieżąco będziemy podawać najświeższe informacje. Program kulinarny Patelnia Alicji, który miał się zacząć za kilka minut, zostanie nadany za tydzień. A teraz Gold and Silver zespołu Quicksilver Messenger Service.

GODZ._11.09

Terlecki zaklął drugi raz. Tym razem głośniejsze. Chwilę później usłyszałam stęknienie. Odgłos, jaki wydaje człowiek, gdy zbyt długo leży i próbuje się podnieść.

Odruchowo zacisnęłam dłonie w pięści. W myślach zaczęłam układać scenariusze wydarzeń. Mogłabym ruszyć w jego stronę. Dopaść go, zabić. Skręcenie karku zajmuje ułamki sekundy. Tyle że miałabym siedmiu świadków. Co z nimi? Jak wytłumaczyłabym się z zabójstwa? Kto chciałby iść w ciemność z zabójczynią? No i jeśli przeżył Terlecki, to co z Tancerzem i tym drugim przydupasem? A jeśli będę skręcać mu kark, a oni się ockną? Mam nad nimi przewagę, bo wiem, ile czasu potrzebuje organizm, żeby do siebie dojść. Byliby zamroczeni, więc skasowanie ich też nie powinno stanowić problemu. Tyle że byłabym już nie zabójczynią, ale potrójną zabójczynią. Może i mogłabym się rozplątać w ciemności, ale ktoś, obstawiam, że Bezdomny, byłby w stanie dokładnie opowiedzieć policji, jak wyglądam. Jest bystry. Pewnie przyglądał się mi podczas jazdy. Poza tym gdy policja odkryje, kim był zabity, zaczną grzebać, będą

szukać w przeszłości. Możesz się ukryć, możesz zapaść się pod ziemię, ale zawsze zostaje jakiś ślad. Ślad, na który nikt wcześniej nie zwraca uwagi, ale potem przez zupełny przypadek staje się on kluczowym elementem śledztwa. Nie żyłam i tak miało zostać. Zabójstwo na oczach świadków odpadało.

Co zatem mi zostało? Liczenie na cud? Z cudami jest ten problem, że w nie nie wierzę. Za to w ułomność ludzką już tak. Wydaje mi się, że gdyby uważnie się przyjrzeć wszystkim cudom, doszukalibyśmy się w nich ludzkiej ułomności. Czy Jezus zamienił wodę w wino? Nie sądzę. Myślę, że wszyscy na tym weselu byli już tak najebani, że uwierzyli mu na słowo. I tak dalej. Dlaczego żyję? Bo spotykałam leniwych ludzi. Bo wychodzili z najwygodniejszego założenia i nikomu nie chciało się sprawdzać.

Jeśli Terlecki nie miał zmiażdżonych nóg, było pewne, że dołączy do naszej grupy. Będzie szedł za mną. Dopóki będzie ciemno, nie było szans, żeby mnie poznał, ale co będzie, gdy dojdziemy do światła? Jeśli jego ochroniarze także żyją, byłam pewna, że zabiją wszystkich, żeby nie zostawić świadków. Jeśli tylko mnie rozpoznają. Oni nie będą mieć skrupułów. Poza tym szukali mnie tyle lat... A tu proszę, mają mnie na talerzu. Czym zatem będzie kilku świadków, których dodatkowo można wrzucić między ofiary eksplozji? Zanim policja doszuka się śladów zabójstwa, miną miesiące. Jeśli w ogóle zaczną szukać. W końcu najwygodniejsze rozwiązania są najlepsze.

– Pójdę zobaczyć – powiedział Bezdomny.

– Czek... – Udałam, że się potykam.

Potrzebowałam czegoś, by jeszcze lepiej zamaskować twarz. To coś było na podłodze. Broczyliśmy w tym. Było czerwone, pachniało metalem i miało słodkawy smak. Celowo upadłam na ziemię, lądując na dłoniach. Teraz całe były we krwi.

– Uważaj – rzucił.

– Nic mi nie jest – odparłam, podnosząc się, i dodałam: – Tak, chodźmy zobaczyć.

Gdy Bezdomny odwrócił się do mnie plecami, przyłożyłam dłonie do twarzy. Roztarłam po niej krew. Barwy wojenne made in metro. Może to było niepoważne, ale nic innego nie wpadło mi do głowy. Ciemność, kaptur, usmarowana twarz. Pozorne maskowanie powinno dać mi wystarczającą ilość czasu. Jeśli oczywiście będę go potrzebować.

Drzwi dzielące wagony były rozwalone. Żeby je otworzyć, mój towarzysz musiał niemal wyrwać je z futryną. Co było o tyle proste, że cała konstrukcja wagonu została mocno nadwerężona, a drzwi i ich mocowanie przekrzywione. Nie udało mu się otworzyć ich na oścież, ale przesmyk, który powstał, pozwalał się prześlizgnąć niemal każdemu.

Widziałam majaczący przede mną kontur postaci Terleckiego. Siedział na ziemi. Wciąż był zamroczony, więc jeszcze nie zarejestrował tego, co się stało. Gdy pojawiliśmy się obok, stanęłam za Bezdomnym i pochyliłam głowę tak, by widoczne było tylko czoło pokryte krwią.

– Wszystko w porządku? – zapytał Bezdomny.

Terlecki milczał. Słyszałam jego oddech. Sapał, jakby na klatce piersiowej usiadł mu słoń. Może to zawał – modliłam się w duchu.

– Słyszysz mnie pan? – powtórzył pytanie.

– Słyszę, kurwa – odparł Terlecki. – Co tu się odpiardoliło? Gdzie są moi ludzie?

Od dawna zastanawiałam się, co było pierwsze. Czy polskie filmy gangsterskie utwierdziły w przekonaniu wszystkich bandytów, że aby być groźnym, należy przeklinać, czy filmy gangsterskie wzięły to z ulicy? Nie miałam pojęcia, ale jedno było pewne: klęli jak szewcy. I to najczęściej w sytuacjach, które wcale tego nie wymagały. Jak choćby teraz. Terlecki, zanim dopuścił do głosu Bezdomnego, wyrzucił z siebie kolejnych kilkadziesiąt kurew. Kiedy się wreszcie uspokoił, usłyszeliśmy obok jakiś szelest.

– Aha. Widzi pan. Raczej słyszysz. Ktoś obok się rusza. Może to ludzie, których pan szuka.

Terlecki nie zareagował. Jego mózg potrzebował jeszcze kilkudziesięciu sekund, żeby przetrwać informacje. Potem zapewne zacznie ustawiać nas, jak to ma w zwyczaju. Za jego plecami wyłonił się cień. Widywałam go od tak dawna, że nawet w ciemności byłam w stanie rozpoznać. Tancerz.

Jeśli kiedykolwiek miałam sposobność do myślenia o tym, czy Bóg istnieje, teraz miałam ostateczny dowód na to, że nie. Z dziesiątek osób, które zginęły w tym wypadku, dwie najbardziej podłe i okrutne przetrwały.

Kolejny odgłos.

Poprawka. Zanosząc się kaszlem, drugi przydupas próbował wstać.

Nie. Boga nie ma.

A jeśli jest, to ma absolutnie absurdalne poczucie humoru.

Trójca, którą miałam zabić, siedziała u moich stóp, a ja nie mogłam nic zrobić. Jedyne, na co było mnie stać, to milczenie.

– Czyli jest was trzech – odezwał się Bezdomny. – U nas przeżyło osiem osób. Ponieważ jesteśmy niedaleko stacji Centrum, uznaliśmy, że przejdziemy wzdłuż torów, by się tam dostać.

– Co tu się, kurwa, stało? – zapytał Terlecki, ignorując informacje Bezdomnego.

– Coś wybuchło pod ziemią. Jak na razie wszystko wskazuje, że jesteśmy jedynymi ocalonymi.

– Jak wybuchło? – zapytał z niedowierzaniem Terlecki.

– Nie wiem. Chcemy spróbować wyjść stąd, żeby się dowiedzieć.

– Gdzie iść? – zapytał.

– W stronę...

– Szefie, jest szef cały? – przerwał mu Tancerz.

– Chyba cały. Pomóż mi wstać.

Tancerz, który sam się zataczał, podał rękę Terleckiemu. Ten powoli podciągnął się w górę.

– Co pan mówił? – zwrócił się do Bezdomnego.

– Że ruszamy w stronę Centrum. Jeśli chcecie, chodźcie z nami. Mamy jednego rannego...

– Szefie... – Tancerz po raz kolejny przerwał.

– Co?

– Z Młodym jest niedobrze.

– Co mu?

– Nie wiem. Ale nie może się podnieść.

– To go zostaw – rzucił Terlecki. – Wyjdziemy stąd? – zwrócił się do Bezdomnego.

– Nie wiem. Będziemy próbować.

– To chodźmy. Nienawidzę ciemności.

– Szefie, niestety, on nie pójdzie.

– Wiesz, co masz robić. Skończ i chodź.

Zbliżyłam się do Bezdomnego na odległość twarzy. Nasze oczy, przyzwyczajone już do ciemności, dobrze widziały zarysy twarzy. Próbowałam dać mu znak, by milczał i nie reagował, ale nie musiałam. Doskonale wiedział, jak się zachować. Obrócił mnie w stronę drzwi i gdy pochyliliśmy się, by przejść przez przesmyk, wyszeptał mi do ucha:

– Będziemy mieć z nimi kłopoty.

Nie przypuszczał, jak wielkie.

GODZ._11.13

Kierowca zaparkował pod siedzibą prezydenta miasta przy placu Bankowym. Kwiecińska kazała mu czekać, a sama ruszyła w stronę swojego biura. Kilka przerażonych pracowników obrzuciło ją zaniepokojonymi spojrzeniami. Wybuch to kryzys, a ludzie zazwyczaj źle znoszą takie sytuacje. Przestają myśleć, reagują emocjonalnie, jakby to miało ocalić ich od konsekwencji, przez co tylko pograżają

się jeszcze głębiej w bagno paranoi i strachu. Gardziła nimi. Gardziła każdą osobą, która ulegała słabościom.

Zamknęła za sobą drzwi gabinetu. Opadła na czarny, miękki fotel. Pięć minut. Tyle potrzebowała, by zebrać myśli i ruszyć tam, gdzie była umówiona na spotkanie. Nie mogła zabrać tam kierowcy. Nie żeby mu nie ufała. Rafał jeździł z nią od pięciu lat i widział już różne rzeczy, ale tam, gdzie się wybierała, nie powinien widzieć jej nikt. Przy Orlej miała zaparkowany prywatny samochód. Tak zwany wóz awaryjny, gdyby kiedykolwiek musiała uciekać z urzędu. Prywatny samochód równał się pozbawieniu wszystkich zabawek w stylu uprzywilejowany pojazd, koguty i tak dalej. Na szczęście tam, gdzie jechała, nie powinno być korków. Otworzyła butelkę wody mineralnej stojącą na biurku. Upiła dwa łyki. Bąbelki gazu przyjemnie drażniły podniebienie. Przełknęła wodę i uśmiechnęła się do siebie.

– Doskonale – powiedziała do pustego pokoju. – Doskonale – powtórzyła.

A potem podniosła się z krzesła i wyszła z gabinetu. Torebkę zostawiła na fotelu. Jedyne, czego potrzebowała, to telefon. Włożyła go do kieszeni i ruszyła w stronę tylnego wyjścia z budynku. Chwilę później siedziała w białej toyocie yaris, zmierzając w kierunku Pruszkowa.

Jechała na spotkanie z panem R. Człowiekiem, który wielokrotnie pomagał jej załatwiać przeróżne sprawy tak zwanej delikatnej natury. Jak szantaż. Kiedy jeden z dziennikarzy dziwnym trafem wszedł w posiadanie dokumentów, z których wynikało, że zaprzyjaźnieni z nią politycy mieli skłonności nie tylko do hazardu, ale też zbyt bliskich kontaktów z osobami nieletnimi, pan R. sprawił, że zniknęły nie tylko materiały, ale i dziennikarz. Nie, nie zaginął. Żył sobie w spokoju, o ile można nazwać spokojem trwanie w ciągłej obawie o życie żony i córki. Albo kiedy wywóz śmieci w stolicy chciała przejąć pręźnie rozwijająca się nowa firma z Gdańska. Nagle firma przestała się rozwijać. Nikt nigdy nie zapytał dlaczego. Pan R. potrafił wiele rzeczy. Dlatego gdy tylko usłyszała Obluckiego, wiedziała, kto za nią rozwiąże ten problem.

Podjechała pod mały jednorodzinny domek, do którego prowadziła jedna z bocznych ulic odbijających od Alej Jerozolimskich. Zaparkowała. Wysiadła. Niemal spod ziemi wyłonił się ochroniarz. Znała ten mechanizm. Uniosła rękę. Silne męskie dłonie dotykały jej ciała. Chwilę później mogła ruszyć w górę wąską ścieżką prowadzącą do domu. U jej szczytu stał starszy mężczyzna.

Pan R.

– Co cię, dziecko, sprowadza? – zapytał.

– Sprawy.

– Sprawy to wy macie. Pół Warszawy stoi. Metro wam wybuchło.

– To mniej ważne. Z tym sobie poradzimy. Natomiast jest pewna sprawa, która wymaga interwencji...

– Siły wyższej?

– Tak.

– Zamieniam się w słuch.

Weszli do salonu. Na masywnym dębowym stole czekały na nią filiżanka kawy i szklanka wody. Usiadła na wygodnym, starym krześle i zaczęła opowiadać. Streściła podejrzenia Obłuckiego, jego zarzuty wobec niej i prezydenta. Wspominała o Tytusie, o którym w tej chwili nie wiedziała nic poza tym, że oprócz Obłuckiego jest jedyną osobą, która mogła wiedzieć o arsenale. Pan R. jak zawsze słuchał, kiwał głową i milczał. Kiedy skończyła, powiedział, żeby spróbowała kawy. Upiła łyk. Jak zawsze była wyśmienita. Pan R. był znawcą i kolekcjonerem kawy. Kupował najdziwniejsze gatunki, jakie tylko istniały. Wiedział wszystko o ziarnach, sposobach uprawy. Żywa encyklopedia z tej dziedziny.

– Pytanie brzmi, czy chcesz rozwiązania terminalnego, czy też...

– Terminalnego. Nie mam ani siły, ani ochoty widzieć kiedykolwiek tego człowieka.

– Myślisz, że podzielił się swoimi przypuszczeniami?

– Myślę, że jeszcze nie. Próbował, ale jeszcze nic nie zrobił.

– Rozumiem – odparł pan R., uderzając palcami w stół. – Podzielimy operację na trzy etapy. Wykorzystamy też dwa trzy zero pięć. Skoro pomagają, to przyda się nam ich wiedza ekspercka.

– Jak?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Chyba nie.

– Opowiem ci w kilku zdaniach o kolejnych etapach. Ile mamy czasu?

– Nie mamy czasu.

– No dobrze. To zrobimy tak.

Plan, który przedstawił jej pan R., był rzeczowy i wyważony. Nie było w nim żadnych szalonych i nieobliczalnych ruchów. Ot, proste i logiczne rozwiązanie sprawy, która, gdyby się nią nie zajęła, zamieniłaby się w poważny, jeśli nie ostateczny kryzys wizerunkowy.

Wsiadając do samochodu, Kwiecińska próbowała wypatrzeć ochroniarza, ale nigdzie nie było go widać. Trzasnęła drzwiami, włączyła silnik i ruszyła w drogę powrotną. Dzień, który zaczynał się jak koszmar, miał szansę skończyć się całkiem udanie. Grunt to nie tracić zimnej krwi. Emocje to najgorszy doradca.

GODZ._11.14

Cegły leżały rozsypane wzdłuż wąskiego korytarzyka. Nic nie wskazywało na to, by w miejscu, do którego wejście ukrywały, doszło do eksplozji. Wystarczyła szybka ocena szkód przeprowadzona nawet przez kogoś tak niewprawnego jak Tytus, by domyślić się, że ściana runęła, bo podmuch naruszył jej strukturę. Czyli musiała stać tu od czasów wojny, a postawiona została na szybko, tak by zmylić Niemców, nikt nie traktował jej jako konstrukcji, która ma przetrwać dekady. To i tak cud, że wytrzymała tyle lat.

Tytus odsunął kamienie i cegły blokujące przejście, a potem pochylił się nad wyrwą w ścianie. Zaglądając w czerń absolutną, przypomniał sobie, że ma na

głowie czołówkę, którą wyłączył, gdy przez chwilę stał w świetle dochodzącym z powierzchni, kiedy Obłucki rozmawiał z policjantami.

– Ty debilu – powiedział sam do siebie. – Przez tunel w ciemności z niezapaloną latarką na łbie. Idiota – dodał, wciskając włącznik.

Światło latarki omiotło pomieszczenie. Nie było duże, miało może siedem metrów kwadratowych. Naprzeciwko wejścia znajdowało się kolejne. Widział je wyraźnie. Były to stare drzwi, które zapewne prowadziły do innego tunelu. Powstańcy widocznie wykorzystali stare mapy, na których znaleźli nieużywane tunele, i tam chowali sprzęt i amunicję, a żeby Niemcy do nich nie dotarli, stawiali sztuczne ściany i wszędzie zakładali pułapki. Jeśli więc miał rację, za drzwiami czekało go przejście do magicznej krainy. Narnia dla saperów. Czy coś w tym stylu.

Tytus przekroczył wyrwę i podszedł do drzwi. Na szczęście nie było na nich kłódki czy łańcuchów. Pamiętał, jak na działce, którą on i jego narzeczona dostali od mamy z okazji zaręczyn – mama należała do grona staroświeckich osób, które uważały, że o statusie człowieka świadczy pozycja i posiadanie działki – musiał dostać się do zamkniętego domku. Nawet nie do domku, ale do schowka z narzędziami na jego tyłach. Problem polegał na tym, że zamek w drzwiach zardzewiał. Walka z nim trwała blisko godzinę i niemal zakończyła się rozwaleniem całej dziwacznej budowli, którą osobiście zaprojektowała mama. Dziś z rozbawieniem wspominał, jak z całej siły napierał na zamek i jak pod wpływem zbyt dużej liczby filmów sensacyjnych próbował rozwalić drzwi kopniakiem. Przez tydzień chodził potem z usztywniaczem na kostce.

Kiedy położył dłoń na klamce, znów pomyślał o tym, że gdyby ktoś jeszcze przedwczoraj zapytał go, czy odważyłby się zejść do podziemi w poszukiwaniu ładunków wybuchowych, wybuchnąłby śmiechem. Kurczę, on przecież do trzynastego roku życia bał się zasypiać przy zgaszonym świetle. Dopiero gdy w pełni objawił mu się urok erekcji i tego, co mógł z nią robić, mrok przestał być tak groźny.

A teraz minął martwe zwierzęta, trupa i sam wszedł do przejścia, które na sto procent prowadziło do zapomnianego przez Boga i wszystkich świętych

składowiska broni. Nacisnął klamkę. Na skórze poczuł brud. Nikt nie dotykał tego metalu od 1944 roku. Pokrywała go skorupa kurzu, połączona zapewne z odchodami wszystkich pajęczaków, jakie wpadły tu na chwilę się wypróżnić. Naciskając klamkę, pomyślał o scenie z *Indiany Jonesa*, nie pamiętał, z której części, w której blond aktorka przechodziła przez tajne podziemne przejście, a w jej włosy wchodziły wszystkie stawonogi, jakie udało się Spielbergowi ściągnąć na plan. Co ciekawe, aktorka ta została potem żoną Stevena Spielberga. Chyba wyszła z założenia, że nic gorszego od tego, co zrobił jej na planie, nie mogło jej spotkać. I nie spotkało. A przynajmniej nikt o tym głośno nie mówił.

Nacisnął klamkę mocniej. Tym razem poczuł, jak mechanizm się rusza. Zardzewiałe, od dziesięcioleci nieużywane zapadki ustąpiły i powoli oddawały bez walki swoje tajemnice. Klamka opadła.

Popchnął drzwi. Przez chwilę wydawało mu się, że nie ustąpią, że lata zamknięcia zrobiły swoje i będzie musiał wezwać specjalistów, ale nagle, ku jego zdziwieniu, drzwi zaczęły się otwierać. Cokolwiek je blokowało, przestało działać. Za tymi drzwiami czekał go świat, którego szukał. Wielka nadzieja Warszawy, która zamieniała się w jej wielkie przekleństwo. Broń. Zapewne ogromna ilość broni. Wciąż zdolnej do odbierania życia, mimo że spędziła pod ziemią ponad siedemdziesiąt lat.

Chciał zrobić krok w ciemność, gdy nagle usłyszał dziwny dźwięk. Trwał ułamek sekundy. Tytus znał ten odgłos. Jakby upadło coś drewnianego i metalowego zarazem... W tej samej chwili dobiegł go drugi dźwięk. Łatwo go rozpoznał, bo w świetle czołówki zobaczył jego źródło. Do jego stóp potoczyły się trzy długie trzonkowe granaty.

Mózg Tytusa pracował na najwyższych obrotach. Granaty zaczepne. Niemiecka technologia wojenna. Musiały wisieć po drugiej stronie drzwi i gdy je otworzył, uruchomił pułapkę, która wyszarpnęła zawleczkę. Nie miał pojęcia, ile sekund mija od wyjęcia zawleczonego do wybuchu, ale wiedział, że musi jak najszybciej coś zrobić, bo będzie nie tylko po nim, ale i po mieście. Umysł podsunął mu gdzieś kiedyś usłyszaną lub przeczytaną informację, że granat po wyjęciu zawleczonego nie

wybuchnie, dopóki ściska się go w dłoni, i że zawleczkę da się włożyć z powrotem. Na szczęście granaty były związane linką, a na końcu uchwytów widać było coś, co wyglądało jak sznurek. Błyskawicznie je podniósł i ścisnął obiema rękami niczym wisior z jakiegoś upiornego wojennego horroru.

Nie wyleciał w powietrze.

Uff.

Teraz musiał znaleźć zawleczkę. Dźwięk, który usłyszał jako pierwszy, to musiał być odgłos metalu upadającego na betonową podłogę. Pochylił się. Zawleczkę nie mogły upaść daleko, skoro słyszał je wyraźnie. Problem polegał na tym, że je słyszał, ale nie widział. I na dodatek nie mógł przeczesać podłogi rękami, bo obie miał zajęte ściskaniem granatów. Omiótł czołówką podłogę. Próbował przypomnieć sobie, z której strony dobiegł go ten dźwięk.

Osunął się na kolana.

– Gdzie wy jesteście... – wyszeptał.

Oczywiście wyobraźni widział siebie z urwanymi rękami i dziurą zamiast głowy.

– Nie dam rady trzymać ich wszystkich...

Wtedy jak na zawołanie z mroku wyłoniła się metalowa zawleczko-nakrętka, potem druga i trzecia. Spojrzał na granaty. Założenie nakrętek wymagało obu rąk. Musiał zatem na chwilę odłożyć dwa granaty, nasadzić zawleczkę i chwycić dwa pierwsze. I zrobić to w ułamkach sekundy, bez wcześniejszego treningu. Prawdopodobieństwo, że się uda, było niemal zerowe, ale chciał spróbować. Nawet nie tyle co chciał, ile nie miał innego wyjścia. Jeden granat szkód może by nie narobił, ale trzy... Tego się obawiał. Nie miał pojęcia, że aby zaczepny granat wybuchnął, trzeba wyrwać wystający z niego sznurek. Tu upływ czasu, wilgoć i podziemne wstrząsy sprawiły, że po otwarciu drzwi pułapka nie zadziałała, jak trzeba, i nakrętki nie uruchomiły odblokowującego zapalnik mechanizmu.

Usiadł na podłodze. Między nogami leżały zawleczkę. W dłoniach trzymał granaty. Nachylił się tak, żeby ułożyć bezpiecznie dwa, i sięgnąć po zawleczkę.

Cała operacja powinna zająć może trzy sekundy. Jeśli trafi zabezpieczeniem w odpowiednie miejsce.

Wziął głęboki oddech. Na filmach widział żołnierzy, którzy mieli pięć sekund na ratowanie życia. Tyle że film... Nie ma powodu, by dobrze opowiedziana historia przypominała rzeczywistość. W końcu to rzeczywistość ze wszystkich sił stara się przypomnieć dobrze opowiedzianą historię. Przypomniał mu się ten cytat z filmu *Babel*.

Przestał myśleć. Zaczął działać.

Odłożył dwa granaty. Złapał zawleczkę. Wsunął na miejsce w trzecim i położył go na podłodze, niemal jednocześnie podnosząc dwa poprzednie. Mocno je ścisnął. Odłożył jeden granat i powtórzył całą operację z nakładaniem nakrętki i błyskawicznym łapaniem ostatniego granatu. Nakładanie na niego nakrętki, gdy dwa pozostałe już nie groziły wybuchem, wydało mu się prawie bułką z masłem. Kiedy skończył, był zlany potem jak nigdy. Gdyby miał wódkę, wypiłby całą butelkę, a potem padł na twarz. Kręciło mu się w głowie. Na szczęście wcześniej wyrzygał już wszystko, co w sobie miał. Podniósł się. Ręce mu się trzęsły. Według niego od śmierci dzieliły go ułamki sekund. Gdyby mechanizm opadł... Nawet nie chciał myśleć, co by się stało, gdyby się spóźnił. Nie miał pojęcia, że bez uruchomienia zapalnika granaty typu stielhandgranate mogły służyć do ubijania mięsa.

Opanował drżenie rąk i podniósł granaty z ziemi. Położył je na podłodze pod ścianą. Gdyby ktoś wchodził tu po nim, nie powinien na nie wpaść.

Przez całe to zamieszanie nie miał nawet czasu rozejrzeć się po tym, co znalazł.

Czołówka omiotła wnętrze. To było niskie pomieszczenie. Po broni nie było śladu, ale musiała być niedaleko. Uśmiechnął się do siebie. Zrobił krok do tyłu. Butem uderzył w jeden z granatów. Ten potoczył się w stronę rozsypanych kamieni i cegieł.

– Kurwa! – warknął. Był zmęczony i zestresowany. Ruszył w stronę uciekającego granatu. – Gdzie ty...

Złapał uciekiniera, który kręcił się jak bączek i ułożył obok pozostałych.

– Leżeć – powiedział stanowczo.

Odwrócił się od ściany i ruszył w głąb pomieszczenia. Światło czołówki omiotło przestrzeń. Przed nim na wysokości ramion wisiał jakiś robal. Może pająk. Był czarny i ogromny. Tytus odruchowo strącił go dłonią. Kiedy jednak skóra dotknęła tego, co wydało mu się żywym stworzeniem, zrozumiał swój błąd. To nie był pająk.

Najpierw usłyszał szcęk wrywanej zawlecзки. Później odgłos, który brzmiał jak wystrzał z kapiszona. Potem pająk, który był granatem wz 33 o owalnym kształcie, upadł na podłogę.

Jesteś debilem – to była ostatnia rzecz, o której pomyślał Tytus. Nagle jego wzrok się wyostrzył. Widział, jak zawlecзка odbija się od podłogi. Odskakuje, obija się o cegły i wpada do rzeki gówna i szczyn. Granat upadł mu pod stopy.

Tytus zamknął oczy.

A potem zrobił jedyną rzecz, jaka przysłała mu do głowy.

Rzucił się na granat i przykrył go własnym ciałem.

GODZ._11.19

Obłucki świetnie się domyślał, jakie kroki poweźmie teraz Kwiecińska, dlatego musiał ją uprzedzić. Nie raz i nie dwa widział, jak wprowadzała w życie plan niszczenia. Zabierała ludziom pracę, dawała wilczy bilet, uniemożliwiała podjęcie roboty w mieście, aż w końcu jej wróg uznawał, że nie ma czego tu szukać, i wyjeżdżał. Do tego wszystkiego prowadziła idealnie zaplanowaną kampanię oszczerstw i pomówień, które sprawiały, że ten, kto jej podpadł, kończył na dnie jak najgorszy degenerat.

Musiał uderzyć pierwszy. Dziennikarka, którą widział, gdy jędzka udzielała wywiadu, pracowała dla Radia WSK, on zaś znał jego naczelnego i prezesa

zarazem. Może nie był to RMF, ale mocne, spore radio z Warszawy, mające tradycje i całkiem przyzwoity status.

– Jak ty się nazywasz...? – zapytał na głos sam siebie.

Od rozmowy z Kwiecińską opadł z sił. Przez chwilę udawał twardego, ale tak naprawdę był nieprzytomny ze zmęczenia. Dodatkowo martwił się o Tytusa. Układał w myślach kolejność zdarzeń. Nie mógł brzmieć jak wariat. Wszystko w odpowiedniej kolejności i z głową. Kluczowe było to, by uwierzyli, że to wina Kwiecińskiej. Że mogła to powstrzymać. Wszystko, co się wydarzyło, ma związek z tą zasraną tarczą i drażeniem pod ziemią. A ta obrzydliwa baba musi wziąć za to odpowiedzialność.

Tak byłoby uczciwie. I Warszawa na to zasługiwała. W końcu na coś dobrego. Po wszystkich aferach, po spaleniu Joli Brzeskiej, działaczki społecznej, która walczyła z czyścicielami kamienic i z dzikimi eksmisjami, której morderstwo nigdy nie zostało wyjaśnione, a sprawcy nie zostali wykryci, to miasto zasługiwało na coś dobrego. A ukaranie podlej karierowiczki, która buduje swój kapitał na krzywdzie innych, było najlepszą rzeczą, jaka przychodziła mu do głowy.

Obłucki skończył przeglądać kontakty w telefonie. Mimo że nie pamiętał nazwiska naczelnego, nie znaczyło, że nie żył z nim w dobrych układach. Jakub Kucharski. Ostatnia wiadomość: marzec. Byli na rybach. Kucharski miał patent na łowienie pod lodem. Końcówka zimy była mroźna, a przywieźli wtedy tyle okoni, że głowa mała. I zupełnie dobrze poradzili sobie z dwiema flaszkami.

Wcisnął zieloną słuchawkę. Przez chwilę czekał, a po czwartym sygnale usłyszał w słuchawce znany głos.

– Czołem, Kazek. Myślałem o tobie – rzucił na powitanie Kucharski.

– Jak widzisz, ja o tobie też – odparł Obłucki

– Pali się u was.

– Palić to się dopiero zacznie. Dlatego chciałem z tobą pogadać.

– Coś wypłynie?

– Nie przez telefon. Myślę, że to naprawdę dobry temat, ale muszę opowiedzieć to twarzą w twarz.

– Jasna sprawa. Powiedz kiedy.

– Już.

– Jest...

– Jedenasta dwadzieścia trzy.

– Okej. Dwunasta dwadzieścia? Ogrodowa.

– Idealnie.

Rozłączyli się.

W kamienicy przy ulicy Ogrodowej Kucharski miał zajmujące całe poddasze studio, gdzie załatwiał prywatne sprawy i zaszywał się, gdy potrzebował pracować z dala od rodziny i pracowników. Obłucki był tam kilka razy, głównie po to, by pić alkohol, ale słyszał, że inni koledzy mieli więcej szczęścia i nie tylko byli częstowani drogim alkoholem pochodzącym zza wschodniej granicy, ale i mieli możliwość poznania byłych pracowników baletu Bolszoi, które dziwnym trafem znały Kucharskiego.

GODZ._11.24

Pan R. odłożył telefon. Źródłem sukcesu nie były agresja czy siła, ale wiedza. Nie minęło dwadzieścia minut od wyjścia Kwiecińskiej, a on już wiedział, gdzie będzie Obłucki i z kim się zobaczy. Pozostało zebranie odpowiednich ludzi.

Wziął telefon i wyszedł z domu. Na tyłach ogrodu, gdzie nigdy nie zapuszczał się z gośćmi, stał kurnik, w którym pan R. hodował dwadzieścia pięć kur. Nie miał pojęcia dlaczego. Po prostu pewnego dnia obudził się i uznał, że potrzebuje mieć kury. Jego babcia miała kury. Mama miała kury. Może nie chciał wyłamywać się z rodzinnej tradycji. A może zwyczajnie lubił świeże jajka.

Włożył dłoń do worka z owsem. Jedną ręką sypał kurom ziarno, a drugą trzymał telefon przy uchu.

ROZDZIAŁ 4

GODZ._11.30

Kochani, policja właśnie podała do wiadomości najnowsze dane. Do tej pory ustalono, że w dzisiejszym wybuchu zginęło dwieście trzydzieści sześć osób. Niestety, nie udało się jeszcze zejść do zasypanych tuneli, gdzie według szacunków przebywa od sześćdziesięciu do stu osób. Najwięcej osób zginęło przy stacji Centrum. Eksplozja dotarła także do okolicznych sklepów. Antresole nad peronami zawaliły się. Policja twierdzi, że w samym Centrum ofiary możemy nawet liczyć w tysiącach.

Więcej o tym opowie państwu Diana Wrocławska, która przeniosła się z okolic stacji Politechnika do Centrum i niebawem, bo za pół godziny, będzie dla was przeprowadzać wywiad z rzecznikiem policji stołecznej oraz z byłym żołnierzem jednostki GROM ukrywającym się pod pseudonimem Zaval.

A na razie posłuchajmy Sama Cooka i legendarnego A Change is Gonna Come. Potrzebujemy zmiany jak nigdy.

GODZ._11.31

Istnieje powiedzenie, które od lat przypisywane jest Winstonowi Churchillowi, mimo że nigdy go nie wygłosił. Brzmi ono mniej więcej tak: „Jeśli idziesz przez piekło, nie zwalnij kroku”. Churchill sporo wiedział na temat piekła. W końcu

wysyłał do niego setki tysięcy młodych ludzi. Ale nigdy o nim tak nie opowiadał. Niezależnie jednak od pochodzenia tego stwierdzenia, jeszcze nigdy tak bardzo się z nim nie zgadzałam.

Brodziliśmy w krwi, kurzu i ciałach.

Ku mojemu zaskoczeniu Terlecki i Tancerz bez większych oporów zgodzili się iść w środku naszego konwoju. Choć z drugiej strony nie było w tym nic zaskakującego. Środek dawał im czas na reakcję, gdyby przed nami pojawiło się zagrożenie.

Posuwaliśmy się powoli. Mieliśmy do przejścia pięć wagonów składu, którym jechaliśmy. Każdy oddzielony drzwiami. Do tego ich wnętrze wyglądało tak, jakby do każdego ktoś wrzucił granat.

Potykałam się o zwłoki. Przebijając się przez ciemność, co chwilę miażdżyliśmy coś butami. Mózg próbował racjonalizować. Okulary. Bransoletka. Odruch ratujący przed obłędem. Bo przecież łatwiej zaakceptować, że rozdeptało się czyjeś okulary niż sztuczną szczękę czy dłoń dziecka.

Dzieciaki trzymały się dzielnie. Matka popadała w coraz większą katatonię. Pijak, któremu do tej pory nie zamykała się jadaczka, z każdym kolejnym krokiem w mrok coraz bardziej zamykał się w sobie. Możesz być nie wiadomo jak twardy, możesz być pozerem i cwaniakiem, ale kiedy zaczyna dotykać cię Mora, poza znika. Maski opadają. Jesteś tylko ty i ona. I od jej dobrego samopoczucia zależy, czy potraktuje cię ulgowo, czy nie.

Była wszędzie. Jej zapach unosił się w powietrzu. Zapach słodki jak krew. W trzecim składzie zaczynała się prawdziwa wyprawa. Siła podmuchu była bowiem tak wielka, że wagony zostały dosłownie przekręcone w powietrzu i postawione na dachu. Lekko zaokrąglone sklepienie sprawiało, że ciała pasażerów opadły na środek, tworząc coś w rodzaju arrasów z ludzkiej krwi i mięsa.

Tu wszystkie mechanizmy obronne, jakimi dysponował mózg, przestawały się liczyć. Głowa nie mogła dłużej się okłamywać, gdy droga prowadziła wprost w paszczę szaleństwa.

– Stop! – krzyknęłam. Nie wiedziałam, jak Bezdomny ma na imię, a potrzebowałam go obok. – Anna Karenina! Panie Tołstoj, mógłbyś tu przyjść?! – palnęłam.

– Jasne – usłyszałam w odpowiedzi. – Tylko położę naszego kolegę.

– Co jest? Czemu nie idziemy? – dopytywał się pijak.

– Sekunda. Zaraz ruszymy – powiedział, mijając go, Bezdomny.

Chwilę później był obok mnie.

– Co jest?

– To – odpowiedziałam, wskazując przewrócone składy. – I nie przejdziemy bokiem. Abstrahując od braku światła, to tu jest po prostu za wąsko.

– Kurwa.

W mroku przed nami majaczyły ciała. Wciąż ciepłe. Niektórzy ludzie być może jeszcze żyli.

– Nie wiem, czy matka da radę. – Ściszyłam głos, ale w ciemności i kompletnej ciszy, którą przerywały tylko głucho jęki, szept brzmiał jak normalny głos.

– Mama da radę – powiedział chłopiec.

– Pomogę im – dodała dziewczyna.

– Czeka nas droga jak po dywanie. Będzie miękko. Będziecie się potykać o nierówności. Ale próbujcie nie patrzeć pod nogi. I nie myśleć. Najlepiej ustawcie się w szeregu i każdy niech położy dłonie na ramieniu osoby, którą ma przed sobą.

– Dobry pomysł – odparłam. – Wracaj na tyły.

Nie odpowiedział. Odwrócił się i ruszył w stronę rannego pasażera. Miałam jednak wrażenie, że gdy mijał Terleckiego, zwolnił i przyglądał mu się dłużej niż potrzeba.

Kiedy Bezdomny dotarł na swoje miejsce, dał znak, by wszyscy ustawili się w szeregu. Pochód otwierałam ja z moją bizneswoman. Musiałam ją mieć obok siebie, bo sama nie zrobiłaby zbyt wielu kroków. Nie oglądałam się za siebie, więc nie wiedziałam, jak się ustawiają. Dopiero kiedy poczułam na ramionach męskie dłonie, zrozumiałam, że za mną stanął Terlecki.

Dreszcz przebiegł mi przez całe ciało.

Nie mogłam się poddać. Nie mogłam się odwrócić i skrócić mu karku. Musiałam iść do przodu. Prowadząc za sobą do światła człowieka, którego miałam zabić.

Życie jest przewrotne. I bezlitosne w swoim poczuciu sarkazmu. Oto ja, która uważała się za współczesną Moreę, staję się jej zaprzeczeniem. Siostrą życiem, a nie panią śmierć.

A potem zrobiliśmy krok w stronę szaleństwa. W chwili gdy stanęłam na pierwszym cieple i poczułam, jak w ostatnim odruchu ten ktoś charczy, plując na moją nogę krwią, wiedziałam, że będzie to najgorszy marsz w moim życiu.

GODZ._11.42

Kwiecińska wróciła do biura, zasiadła w fotelu i powoli zaczęła opracowywać notkę dla mediów. Oczywiście przekaze ją do publikacji w chwili, gdy dostanie zielone światło od pana R. Tyle że wołała być gotowa. Zawsze wołała znać plan i wybiegać w przyszłość, niż improwizować.

Sztuka improwizacji, choć nie była jej obca, bo Kwiecińska potrafiła adaptować się do każdej sytuacji, zawierała jakiś element niepewności i błędu. Kiedy zaś można wyeliminować błędy, należy to robić jak najszybciej.

Kiedy skończyła, przeczytała dwa razy tekst, potem zapisała go na pendrive i dopiero wtedy przelogowała się z systemu prywatnego na firmowy. Nikt nie będzie sprawdzał, kiedy tekst powstał, ale jeśli mogła choć w minimalny sposób ukryć swoje metadane, zawsze to robiła. Miała oczywiście świadomość, że pisanie na partycji, o której pozornie nikt nie wie, a dobry spec od komputerów znajdzie ją w dwie minuty, było ryzykiem, ale... wiedziała też, że stołeczna policja nie ma dobrych speców od komputerów. Coś za coś.

W firmowej poczcie roilo się od wiadomości dotyczących sytuacji w metrze. Jej służbowy telefon już dawno oszalał, dlatego wyciszyła go. Z nikim nie chciała

rozmawiać, póki plan nie wejdzie w życie. Ci, co trzeba – jak jej kuzyn czy pan R. – wiedzieli, jak się z nią skontaktować, a reszta świata zapewne myślała, że jest pogrążona w chaosie zarządzania kryzysowego. I poniekąd mieliby rację. Zarządzała kryzysem. Tylko nie tym, o którym myśleli.

Czy mogła uniknąć katastrofy? To pytanie zadała sobie dziś już wcześniej. Zapewne gdyby posłuchała Obłuckiego i tego jego Tytusa – tak. Tyle że oni pojawili się późno. Za późno. Gdyby zareagowała tak, jak oczekiwali, musiałaby przyznać się do kompromitacji. Oczywiście jakoś dałaby sobie radę, ale straciliby miliony, miliardy złotych, a prezydent zostałby zniszczony. Dlatego wołała zaryzykować. Miała pięćdziesiąt procent szans. Wybuchnie czy nie wybuchnie. Wybuchło.

Jej nieszczęście.

Pozornie nieszczęście.

Odwołanie odwiertu niesie wiele konsekwencji, których nie sposób przeskoczyć. Przede wszystkim finanse. Gdyby zawiesili z własnej winy budowę, musieliby zapłacić gigantyczne kary. A na to nie mogli sobie pozwolić. Nie dlatego, że miasta na nie to stać, ale dlatego, że nie wynikają z tego żadne korzyści. Wręcz przeciwnie – same komplikacje i problemy. Wybuch zaś... Pozornie był katastrofą, ale gdy dłużej o nim myślała, widziała w nim tylko dobre strony.

Oczywiście konsekwencje eksplozji wiązały się z wydatkami, ale tymi, które wiele dają. Bo przecież odbudowa metra i miasta daje możliwość współpracy z wieloma różnymi podmiotami. To były drobiazgi, ale drobiazgi, umiejętnie połączone, dają dużo. A akurat pieniądze były tu najmniejszym zyskiem.

Teraz była już pewna, że gdyby wstrzymała budowę, straciłaby twarz jako nieudacznik. Teraz zaś może zyskać nowe oblicze – władzy, która idealnie radzi sobie z kryzysem. Doszło do wybuchu, zginęli ludzie, ale oni nie mieli na to wpływu. Tę część już opisała w nocy. Za to zaledwie w kilka godzin od eksplozji rozwiązali sprawę, odkryli, jak do niej doszło, i znaleźli z niej wyjście. W polityce

zdolność do podejmowania słusznych decyzji jest na wagę złota, a oni właśnie je podejmowali. W zasadzie to ona.

Oczywiście będą musieli stworzyć fundusz dla rodzin ofiar, będzie musiała odbyć się żałoba... Kurwa!

– Pani Krystyno! – krzyknęła jak oparzona, wzywając sekretarkę.

Do gabinetu weszła około trzydziestoletnia kobieta. Miała na sobie szary kostium, włosy spięte w kok i czerwone od płaczu oczy.

– Tak, proszę pani? – zapytała ze smutkiem w głosie.

– Proszę przekazać mediom, że prezydent ogłasza tygodniową żałobę obejmującą całe miasto. Do tego proszę wysłać zapytanie do marszałka Sejmu i prezydenta RP, czy zamierzają wprowadzić żałobę narodową. Zaraz wrócę do strefy zero. Proszę wysłać mi odpowiedzi esemesem. Czy my mamy dział prasowy, do kurwy nędzy?

Żałoba. Była tak zajęta rozwiązywaniem problemów, że zapomniała o żałobie.

Sekretarka wyszła.

Niestety będzie musiała też pochylić się nad tymi, którzy zginęli. Jakby ją to w jakikolwiek sposób interesowało. To miasto i tak było przeludnione. Jedna eksplozja nie rozwiąże tego problemu. Ale o tym pomyśli później. Kiedy wszystko tu się uspokoi.

Opuściła swój gabinet. Kątem oka zauważyła, jak Krysia wisi na telefonie. „I dobrze – pomyślała. – Za coś jej płacimy”.

GODZ._11.49

Najbardziej żałował tego, że nie miał więcej dokumentów. W zasadzie to nie miał niczego, co potwierdzałoby jego tezę. Nawet nie do końca jego, ale Tytusa. Niczego poza przecuciem i tym, co się wydarzyło.

Oczywiście nie raz i nie dwa w historii udawało się zainteresować media tematem, a gdy dziennikarze zaczynali kopać... Watergate. Przecież na samym

początku nie było żadnych dowodów. Nixon nawet wygrał wybory. Dopiero kiedy dziennikarze zaczęli kopać, kiedy zaczęło się grzebanie w życiorysach tych, których złapano podczas włamania do siedziby Demokratów, sprawa się rypła. I to dwa lata po samym włamaniu. Potrzeba było dwóch lat i gigantycznej pracy dziennikarzy, by Nixon w niesławie podał się do dymisji. Więc może tu też tak będzie. Nie miał sobie nic do zarzucenia. Jeśli ktoś będzie chciał udowodnić, że mógł zapobiec działaniom Kwiecińskiej, że nie wierzył w arsenał... No cóż... będzie musiał się z tego wytłumaczyć. Ale to i tak było niczym w porównaniu z konsekwencjami, jakie poniosłoby miasto, gdyby doszło do ostatecznej eksplozji.

„A co, jeśli się mylisz? – pomyślał Obłucki. – Będziesz bezrobotny. Lepsze to niż życie z tysiącami ofiar na sumieniu”.

Pojechał do domu. Przed spotkaniem z Kucharskim chciał zabrać z mieszkania kilka opracowań naukowych, w których pojawiały się plotki o domniemanym arsenale. Wbiegł na klatkę, potrącając przy tym sąsiada, pana Andrzeja, który był może o dziesięć lat starszy, ale zawsze wiedział o wszystkim, co działo się na osiedlu.

– Weź pan! Co pan biegasz! – krzyknął sąsiad.

Obłucki nie odpowiedział. Wbiegł na pierwsze piętro, wykonując kilka skoków. Trzasnął drzwiami i zaczął szukać materiałów źródłowych dotyczących powstania. Dla dziennikarza, w zasadzie dla nikogo nie miały one zbyt dużej wartości, ale mogły zasiać ziarno niepokoju. A tego potrzebował. Ziarna niepokoju. I niechęci do Kwiecińskiej. O to drugie było najłatwiej. W zasadzie żaden dziennikarz jej nie lubił. Zimna, wyniosła pizda. Kiedyś usłyszał, jak ktoś ją tak nazwał, i od tamtej pory nie mógł znaleźć lepszego określenia.

Kiedy Obłucki szukał w mieszkaniu materiałów, pan Andrzej, zirytowany jego szaleńczym rajdem przez klatkę, opowiadał o nim kolegom, z którymi grał w szachy na pobliskim skwerku. Jako jeden z nielicznych reliktyw PRL-u ostały się tam ławeczka i betonowy stolik do gry w szachy.

– Jak wariat pobiegł, prawie mnie przewrócił – mówił do kolegów.

– Daj spokój człowiekowi, on w mieście robi, to pewnie teraz im się tam wszystko pali. Do tego wybuchu – odparł jego szachowy partner.

– Ale nawet jak się mu pali, to kultura obowiązuje jeszcze w tym kraju – odparł pan Andrzej, ustawiając figurę na szachownicy. – Szach – rzucił z triumfem w głosie.

Kolega milczał. Był zbyt skupiony na obmyśleniu nowego ruchu. Nie obchodził go żaden typek z urzędu miasta, skoro mógł przegrać rozgrywkę, którą ciągnęli od wczoraj.

Oczywiście oni robili sobie przerwy i daleko im było do Ivana Nikolicia i Gorana Arsovicia, których partia liczyła 269 posunięć i trwała ponad dwadzieścia godzin. Nie zmieniało to faktu, że nie miał zamiaru przegrywać. Obaj wpatrywali się w szachownicę, nie widzieli więc wybiegającego z domu Obłuckiego.

ROZDZIAŁ 5

GODZ._11.53

Wciąż żadna organizacja terrorystyczna nie przyznała się do zamachu, co – zgodnie z tym, co powiedział major Póltuski, który kilka minut temu zakończył publiczne wystąpienie – w zasadzie wyklucza prawdopodobieństwo międzynarodowego zamachu. Wysłuchajmy jego wypowiedzi z konferencji prasowej.

„Współczesny terroryzm cechuje dążenie do tworzenia nowych i bardziej skutecznych form przeprowadzania zamachów. Dążąc do zastraszenia społeczeństw, terroryści demonstrują swą brutalność i nieprzewidywalność oraz przekraczają kolejne granice, zarówno moralne, jak i techniczne. Warto też napomknąć tu, iż organizacje takie jak ISIS zwyczajowo przyznają się do zamachów w ciągu pierwszej godziny od jego nastąpienia. Tu mamy ciszę. A ponieważ modus operandi poszczególnych grup terrorystycznych jest w zasadzie podobny, oparty na ideologii, tu raczej musimy wykluczyć atak z zewnątrz. Reasumując – to nie terroryści.

[Zamieszanie w sali].

– Panie majorze, Stanisław Orłowski, TVP Info. Czy możemy ze stuprocentową pewnością wykluczyć zamach, który mogliby zorganizować przedstawiciele ideologii LGBT?

[Major próbuje się powstrzymać, ale w końcu wybucha śmiechem; koniec nagrania]”.

Przepraszam, nie wiem, dlaczego nagrało się nam to niezbyt mądre pytanie. Zatem co wydarzyło się w metrze? Na godzinę trzynastą Ratusz wyznaczył kolejną konferencję prasową. Chwilę temu miasto ogłosiło tygodniową żałobę w stolicy, a Pałac Prezydencki poinformował, że od jutra wprowadzona zostanie także siedmiodniowa żałoba narodowa. Czekamy na to, co Ratusz powie po trzynastej, a na razie łączymy się w bólu z warszawiakami. A w tle zagra nam Strawberry Alarm Clock z ich największym przebojem Incense and Peppermint.

GODZ._11.59

Telefon komórkowy. Wcześniej szukanie w ciemności komórki miało tyle sensu, co dyskusja z Jarosławem Jakimowiczem. Nie żebym interesowała się polityką, po prostu wydaje mi się, że dyskusja ze ścianą jest bezcelowa. Tak samo wyglądałoby macanie przestrzeni w poszukiwaniu zgubionych telefonów. Zresztą aparaty przy kontakcie z taką siłą, jaka uderzyła w wagony, kończyły rozbite w drobny mak. Teoretycznie. W praktyce mogło oczywiście być bardzo różnie. O ile wcześniej wydawało mi się to bezcelowe, o tyle teraz, brnąc krok po kroku przez martwe ciała, modliłam się o to, by przypadkiem nie znaleźć żadnego telefonu. Powód był najbanalniejszy w świecie. Telefon, poza funkcją dzwonienia, miał także latarkę. Latarka to światło, światło – po chwilowym kryzysie związanym z bólem oczu przyzwyczajonych do ciemności – to twarze. Twarze to śmierć.

Gdyby Terlecki szedł dwie, trzy osoby dalej ode mnie, mogłabym improwizować, ale szedł tuż za mną i gdyby pojawiło się jakiegokolwiek światło, byłabym skazana. Oczywiście istniała szansa, że mógłby mnie nie poznać, ale obstawiam, że moje wydrukowane zdjęcie miał w domu, a na strzelnicy, na którą czasami chodził, wszystkie tarcze były przyozdobione moją podobizną.

Czułam absurd tej sytuacji. W innym świecie, gdyby rzeczywistość nie wykonała fikołka, Terlecki leżałby teraz martwy na schodach metra, ja pakowałabym swoje rzeczy i planowałabym wyjazd. Dokąd? Nie miałam pojęcia.

Gdzieś na północ. Może nad Bałtyk? Wyszukałam kilka zapomnianych przez Boga i świat miejsc. Choczewo, Lubiatowo. Kilka domów na krzyż. Las, spokój i cisza. Mogłabym tam zapaść się pod ziemię i nikt nigdy by mnie nie znalazł.

Zamiast tego czułam na sobie dłoń człowieka, którego miałam zabić, a pod stopami martwych ludzi.

– Nie patrzcie pod nogi – powiedział Bezdomny. – Jeśli komuś chce się wymiotować, niech wymiotuje.

– Nikt, kurwa, nie ma tu światła? – odezwał się Terlecki.

Niedoczekanie twoje – przemknęło mi przez głowę.

– Nie – odparłam.

– A co, jeśli tam nie ma wyjścia? – zapytała dziewczyna, która odezwała się chyba pierwszy raz od wypadku.

– Nie wiem – powiedziałam zgodnie z prawdą.

– Prowadzicie nas na rzeź – stwierdził pijaczyna.

Nikt mu nie odpowiedział.

Na końcu wagonu musieliśmy się rozłączyć. Fikołek, który wywinął skład, sprawił, że przejście przez drzwi łączące wagony wymagało sporej gimnastyki. Podparłam się na dłoniach, podciągnęłam i przeskoczyłam.

Skok w ciemność. Na szczęście po drugiej stronie nie było nic, co mogłoby sprawić, że skończyłby się tragicznie.

– Podaj mi rękę – powiedziałam do kobiety.

Przez chwilę nie reagowała. Ale po upływie jakichś pięciu sekund wymacała w ciemności moją dłoń. Chwyciłam ją mocno.

– Musisz się wybić i podskoczyć w moją stronę. Przerzucę cię.

Nie odpowiedziała, tylko zrobiła dokładnie to, o co ją prosiłam.

– Następny – powiedziałam.

Terlecki podał mi dłoń. Chwyciłam go mocno. Dużo mocniej, niż powinnam. Nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Uniósł się i chwilę później stał obok mnie.

Jego ramię dotykało mojego.

Śmierć obok śmierci w krainie Mory.

Teraz wiedziałam, co czuje myśliwy, gdy zwierzę przechodzi tuż obok jego kryjówki. Gdy ociera się o maskowanie i jest na wyciągnięcie ręki. Ekscytacja połączona z lękiem. Podniecenie i strach.

Czułam jego zapach. Kiedy człowiek się boi, zaczyna się pocić. Kortyzol, adrenalina i noradrenalina. Pot, który wydziela się pod wpływem emocji i stresu, ma inny zapach niż ten, który oblewa ciało zmęczone wysiłkiem fizycznym. Wydzielają go inne gruczoły, przez co znajdują się w nim także białko i tłuszcze. W kontakcie z bakteriami na skórze powodują one nieprzyjemny zapach. Zapach strachu.

Z zamyślenia wyrwał mnie hałas. Kobieta, którą się opiekowałam, próbowała chwycić się wykręconej poręczy i upadła.

– Ostrożnie – podeszłam do niej. – Pan wciągnie kolegę, a kolega następnych i ustawimy się w szeregu.

Terlecki był nad wyraz spokojny. Im dłużej o tym myślałam, tym wydawało mi się to bardziej logiczne. Nie chciał zostać zapamiętany. Chciał wyjść i zniknąć. Nigdy nie pchał się na pierwszy plan i tak było tym razem.

Gdy wszyscy wylądowali po drugiej stronie, uformowaliśmy nasz szpaler. Terlecki znów położył dłonie na moich ramionach. Ruszyliśmy. W tym wagonie było mniej ciał. Maszerowaliśmy przez ciemność, co jakiś czas trafiając na miękkie przeszkody. Kiedy byliśmy pod kolejnymi drzwiami dzielącymi wagony, usłyszałam huk. A potem krzyk. Po głosie poznałam młodą dziewczynę.

– Co się stało? – zapytałam, podążając na głos.

Nikt nie odpowiedział. Szereg się rozpadł. Dziewczyna krzyczała. Po sekundzie dołączyła do niej matka chłopaka.

Prezydent Bolesławski miał przebłyski, w których wydawało mu się, że jest w stanie narzucić swoje zdanie Kwiecińskiej. Trwały one zazwyczaj kilka sekund, a potem boleśnie zderzał się z rzeczywistością, ale przez chwilę czuł się tak, jakby coś od niego zależało.

Ten krótki moment złudnej iluminacji nastąpił, gdy jego kuzynka zjawiała się w na szybko skleconym centrum sztabu kryzysowego, które umieszczono w Pałacu Kultury i Nauki. Urząd Miasta miał w nim swoje biura rozsypane na różnych piętrach, ale ponieważ nikt nie miał czasu na jeżdżenie windami i szukanie pomieszczeń, Centrum Kryzysowe przejęło w ramach sytuacji nadzwyczajnej powierzchnię należącą do Teatru Dramatycznego.

Bolesławski próbował zarządzać zarówno gospodarowaniem przestrzenią, jak i akcją ratunkową, ale musiał przyznać, że bez trzeźwego spojrzenia Kwiecińskiej zwyczajnie mu to nie szło. Dlatego po tym, jak nie mógł jej znaleźć przez czterdzieści minut, zamknął się w jednym z biur teatru i pod pretekstem ważnej rozmowy czekał tam, aż jego prawa ręka się odnajdzie. Jednak najbardziej irytowało go to, że musiał dla niej kłamać. Ogłosiła żałobę. Zwołała konferencję o trzynastej. Robiła rzeczy, o których dowiadywał się ostatni.

Gdy tylko otworzyła drzwi, za którymi na nią czekał, Bolesławski eksplodował.

– Co ty odpierdalasz! – krzyknął. – Zostawiasz mnie z tym burdelem! Knuje...

– Zamknij się – przerwała mu Kwiecińska. – Ryczysz jak rozhisteryzowany dzieciak.

– Gdzie byłaś?!

– W dupie.

– Co to znaczy? Mam ci przypomnieć...

– Co? Kim jesteś? – zapytała rozbawiona.

I wraz z tą odpowiedzią, a bardziej z tonem głosu Kwiecińskiej skończył się przebłysk ważności prezydenta.

– Gdzie byłaś? – zapytał już spokojnym głosem. – Przepraszam. Poniosło mnie.

– Spoko. Byle nie publicznie. I wyjdźmy stąd. Nie ufam tym komuszynom. Więcej tu pluskiew niż w tureckim burdelu – odparła.

Za oknem biura znajdował się sporej wielkości parapet, z którego łatwo można było ześlizgnąć się na ziemię.

– Chodź na zewnątrz. Tylko zostaw telefon – powiedziała, odkładając swój na biurko. – Wszystko ci powiem.

Prezydent położył telefon i ruszył w stronę okna. Wskoczyli na trawnik. Gdy odeszli kilka metrów dalej, Kwiecińska zaczęła mówić. Opowiedziała mu o podejrzeniach Obłuckiego, o problemach, jakie mogą wyniknąć z kompromitacji. O planie, który opracowała, podczas gdy on zachowywał się jak porzucony nastolatek.

– Teraz kumam. To się uda? – zapytał.

– Musi.

– Skąd masz pewność?

– Eliminuję wszystkie elementy, które mogą nawalić.

– Okej. Rozsądnie. Czyli teraz co?

– Teraz idź do zwierzchników dwa trzy zero pięć i opowiedz im o swoich podejrzeniach. Temat broni pod ziemią musi wyjść z jednostki i od nas równocześnie.

– Jasne. A ty?

– Ja będę dalej sprzątać. I uwierz mi, jestem ostatnią osobą, która chce ci zrobić krzywdę.

– Wiem.

– Wracamy. Sępy już się nam przyglądają.

Kilkanaście metrów dalej stała grupa dziennikarzy, która wpatrywała się w ich naradę. Kwiecińska zauważyła ich wcześniej, dlatego stała tak, by nikt nie mógł, używając teleobiektywu czy nagrywając ich kamerą, czytać z ruchu jej warg. Mimo że mieszkają tylko w Polsce, a techniki śledcze znane na świecie wciąż są tu sporą nowością, lepiej dmuchać na zimne. Niż samemu stać się zimnym. Jak trup.

Pan R. nie lubił pracować w pośpiechu. Jednak czasami, w sytuacjach tak skrajnych jak ta, pośpiech tworzył pokłady koncepcji, na jakie normalnie nigdy by nie wpadł.

Wydobycie próbek ręcznego pisma Obłuckiego zajęło mu sześć minut. Dokładnie tyle minęło od chwili, gdy złożył zapotrzebowanie na nie u swojego człowieka w Ratuszu, do momentu, gdy wpadły na ukryty przed wścibskimi oczami dysk.

Kiedyś podrobienie cudzego pisma zajmowało tygodnie. Dziś wystarczył program, który zapamiętywał krzywizny ręcznego pisma, tekst, który chciało się napisać, i drukarka. Oczywiście była potrzebna też wprawna ręka, która była w stanie skopiować pismo z wydruku na papier. Póki nikt jeszcze nie wymyślił tuszu do drukarek, który imitowałaby tusz z długopisu, była to najbardziej żmudna część pracy. Na szczęście zatrudniał dziewczynę, która potrafiła bezbłędnie przepisywać wszystko przez kalkę.

Oczywiście był w tym wszystkim jeden problem. I także nazywał się technologia. Ta sama, która sprawiała, że podrobienie dokumentów stało się niezwykle proste, drugiej stronie dała do rąk oręż, który prostotę komplikował. Dzięki nowym programom od ponad dziesięciu lat instytuty do badań grafologicznych dysponowały programami, które badały naciskowość, czyli rzecz niemożliwą do podrobienia, bo jest zmienna przy każdym znaku. Na szczęście technologię dało się oszukać. No może nie oszukać, ale delikatnie wywieść w pole. Wystarczyło, by dokumenty trafiły do ludzi, którzy wiedzą, jakich programów użyć. Przekupiony biegły, wtyki w policji i każdy świstek staje się autentyczny. No, może nie każdy, ale ten, który on chciał, aby był.

Treść tekstu, który ustalił z Kwiecińską, była więc już nanoszona na ostateczny dokument. Pozostało im tylko zgranie działań w czasie. Cała akcja była zaplanowana niemal co do minuty.

Oczywiście to rodziło pewne obawy, bo plan z tak sztywnymi ramami czasowymi miał pięćdziesiąt procent szans powodzenia, ale on lubił wyzwania. One sprawiały, że czuł, iż żyje. A życie było najlepszą rzeczą, jaką miał. Nawet jeśli sprowadzało się do tego, że odbierał je innym.

ROZDZIAŁ 6

GODZ._12.08

Kiedy myślę o dzisiejszym dniu, o tym, jak się zaczynał, jak nic nie zwiastowało tej tragedii, myślę też o tym, jak niewiele w tym, co robimy, zależy od nas. Dlatego chciałbym teraz oddać antenę wam, słuchacze. Dzwońcie, piszcie. O tym, co czujecie. Lista ofiar porannego wybuchu rośnie z każdą chwilą, a ratownikom nie udało się jeszcze dostać pod ziemię. Przypominam numer: dwadzieścia dwa, dwieście trzydzieści dwa, dwadzieścia trzy, dwadzieścia trzy. Czekaając na wasze słowa, puszczę nam zespół Sam The Sham and The Pharaohs z ich wielkim hitem Little Red Ridding Hood.

GODZ._12.09

Czytałam kiedyś, że zwłoki zostawione w Teksasie w środku lata w samochodzie w ciągu niecałej doby zamieniają się w bulgoczącą kupę zielonkawatej papki i gazów. Temperatura robi swoje. Niecała doba.

Kiedy dotarłam do krzyczącej dziewczyny, moim oczom ukazał się dość osobliwy widok. Dziewczyna musiała mocniej chwycić się poskręcanej poręczy lub poręcz poluzowała się po tym, jak złapało się jej kilka osób. W każdym razie dookoła poręczy owinięte były zwłoki, które utrzymywały się w górze, mając za nic siłę ciężenia, aż do chwili gdy poręcz puściła, a wraz z nią ciało, które uznało, że zmieni miejsce położenia, runęło dziewczynie na głowę.

Gdyby nie to, że było ciemno i prawie nic nie było widać, zapewne dziewczyna zemdlałaby na widok pokiereszowanego ciała. Klęczałam nad zwłokami i dotykając je od głowy do klatki piersiowej, stwierdziłam, że brakowało mu połowy czaszki, a tuż pod obojczykiem ziała dziura na jakieś dziesięć centymetrów. Przesunęłam zwłoki na bok.

– Ciało. Nic się nie dzieje. To tylko ciało – powiedziałam tak, by usłyszeli mnie wszyscy. – Nie pierwsze i nie ostatnie, jakie może na nas spaść.

Oczywiście tłumaczenie tego przerażonej dziewczynie nie miało najmniejszego sensu. Musiała po swoim wyjść z szoku. Tylko na filmach policzkuje się ludzi, a oni jak za dotknięciem magicznej różdżki atak histerii zamieniają w pełen zen.

Chłopak stał rozdarty między matką a dziewczyną. Ta pierwsza balansowała między katatonią a obłędem. Druga cała się trzęsła.

– Zostały nam jeszcze dwa wagony, jeśli dobrze liczę, i maszynownia. Jeśli przyspieszymy, wyjdziemy stąd za kilka minut – dodałam.

– Idź – wycedził przez zęby Terlecki.

Podobno kryzysowe sytuacje wyciągają z człowieka to, co w nim najgorsze. Tylko co w sytuacji gdy człowiek nie ma w sobie nic dobrego? Jeśli wypełniają go samo zło, pazerność i brak empatii?

Zacisnęłam pięści. Tak bardzo chciałam odwrócić się i zrobić mu ostateczną krzywdę. A przy tym tak bardzo nie mogłam tego zrobić.

– Już idziemy – odpowiedziałam.

– Tracimy czas na pierdoły – powiedział.

– Każdy może się przestraszyć. – Niepotrzebnie wdawałam się w dyskusję.

– Taaa... – odparł. – Tylko dlaczego ma się to odbijać na mnie? Chce krzyczeć, niech tu zostanie.

– Zgadzam się – zawtórował mu pijaczyna. – Lewackie pizdy.

Ruszyłam. Dalsza rozmowa nie miała sensu. Trzeba być skrajnie nieodpowiedzialnym człowiekiem, by pozwolić nakręcać się w takiej sytuacji dwóm małpom z brzytwami.

Przed nami były jeszcze dwa wagony.

Pierwszy z nich przeszliśmy bez niespodzianek i przeszkód. Niewiele ciał. Zupełnie jakby cały poranny tłum skumulował się na przodzie składu. Oczywiście potykaliśmy się o ciała, ale droga nie była tak uciążliwa jak wcześniej. Przejście między wagonami także było niemal nienaruszone. Przez sekundę cieszyłam się, że najgorsze za nami, ale nigdy nie należy cieszyć się z końca kłopotów. Bo potem dzieją się takie rzeczy jak to, co zobaczyłam, gdy stanęłam z moją towarzyszką na środku ostatniego wagonu.

GODZ._12.14

Ulica Ogrodowa ciągnęła się od Jana Pawła II aż do alei Solidarności, zaś loft, do którego zmierzał Obłucki, mieścił się w kamienicy kilka metrów od Żelaznej. Przyjechał kwadrans przed czasem. Zaparkował samochód na parkingu przy cukierni Gromulski i ruszył do mieszkania Kucharskiego.

Nie spieszył się. Powoli układał w myślach wszystko, co chciał mu opowiedzieć. Wiedział jedno – jeśli chciał przekonać media, musiał być wiarygodny. Nie mógł wpaść w euforię, opowiadać o składach broni, bo wyjdzie na nawiedzonego wariata, który mówi o jakichś nieprawdopodobnych rzeczach. Kluczem do przekonania ludzi do najbardziej szalonych teorii jest opowiadanie o nich w przekonujący sposób. To lekcja, którą odrobili różni popaprańcy w rządzie. Potrafili sprzedawać doskonały kit do tego stopnia wiarygodnie, że ludzie to kupowali bez mrugnięcia okiem. Zamach! Jaki zamach? Taki, w którym zabili nam prezydenta, bo przecież nie sądzi pan, że katastrofa, w której ginie połowa polskiego rządu, to przypadek. Musieliśmy podpaść tym, którzy stoją za drugą stroną. Bzdura? Skoro tak pan twierdzi... Ale niech pan pomyśli, kto na tym skorzystał... Tak. Od twórców religii smoleńskiej powinien uczyć się sztuki opanowania i manipulacji.

W myślach powtarzał dane. Powtarzał swoją historię. Sam zadawał sobie pytania, które mogą paść. Próbował przewidzieć, w jaki sposób Kucharski będzie wątpił. Gdzie są słabe punkty jego opowieści.

Oczywiście istniała szansa, że prezes tego nie kupi. Że uzna, iż oskarżanie prezydenta miasta i jego prawej ręki o zignorowanie zagrożenia to zbyt daleko posunięta nadinterpretacja, na którą zresztą nie miał dowodów. Tak, to fakt. Poza tym, że Kwiecińska ignorowała jego uwagi i nie chciała odwołać odwiertu, nie miał nic. Ale to musiało wystarczyć. Kurde, rządzącym wystarczyły gówniane ośmiorniczki i jakaś milionerka, która dała dupy na tyłach knajpy. A tu miał setki ofiar, zniszczone miasto i straty, które będą odrabiane przez lata. O odbudowie nie mówiąc. Ktoś musiał ponieść za to odpowiedzialność i nie był to ani on, ani Tytus.

Wcisnął przycisk w domofonie. Przez chwilę nikt nie odpowiadał. Domofon wydawał z siebie zimny automatyczny dźwięk. Potem rozległo się metaliczne „klik”. Zamek w drzwiach ustąpił, a on zrobił krok za próg. Nie było odwrotu. Musiał zaatakować Kwiecińską, nim ona to zrobi.

Loft był na szóstym piętrze. Wcisnął okrągły przycisk windy. Czekał. Stary, pamiętający czasy PRL-u dźwig zjeżdżał niespiesznie. Kiedy w końcu zatrzymał się na parterze, Obłucki chwycił za klamkę. Ciężkie metalowe drzwi ustąpiły. Za nimi były drewniane wahadłowe drzwiczki. Winda jechała tylko do piątego piętra. Na szóste musiał wejść po schodach.

W czasach mieszkaniowego prosperity Kucharski wykupił od spółdzielni stare suszarnie, połączył je w jedno pomieszczenie, tworząc swoją przestrzeń, jak niektórzy mawiali – miłości. Czym ona była, kompletnie Obłuckiego nie interesowało, ważne były teraz tylko koneksje dziennikarza i to, czy uwierzy w jego historię, czy nie. A wiara była uzależniona od dwóch rzeczy. Po pierwsze, czy będzie przekonujący. A po drugie, i bardziej istotne, czy Kucharski na tym zarobi. Każda tego typu afera była źródłem przychodu. Pytanie, czy wystarczająco dużym, by zbijać na niej kapitał.

Zatrzymał się pod drzwiami. Wcisnął czarny dzwonek. Rozległo się brzęczenie. Po drugiej stronie usłyszał kroki. Chwilę później Kucharski otworzył drzwi.

Biała, rozpięta do trzeciego guzika koszula, granatowe lniane spodnie i lekkie mokasy. Od ich ostatniego spotkania zmienił fryzurę. Teraz miał głowę ogoloną na zapałkę.

– Wchodź i opowiadaj – powiedział, wykonując zapraszający gest.

– Jasne. Dzięki, że w ogóle znalazłeś czas.

– Nie ma sprawy. To, co się wydarzyło, to wielka tragedia. Jeśli masz coś, co... Zresztą zaraz opowiesz. Napijesz się czegoś?

– Wody. Usycham. Biegam cały czas. Z nerwów zapomniałem, jaki jest upał.

– Siadaj. Już ci przyniosę i wszystko opowiesz.

Obłucki wszedł do salonu. W jego centralnym miejscu stała wielka, skórzana biała sofa. Naprzeciwko niej na ścianie wisiał ogromny telewizor, a pod nim stały gramofon i wzmacniacz. Talerz sprzętu kręcił się, choć nikt nie założył igły na płytę.

Chwilę później do salonu wszedł gospodarz. W jednej dłoni trzymał karafkę z wodą i cytryną, w drugiej szklanę.

– Proszę, to dla ciebie – powiedział, stawiając na szklanym stoliku szklanę i naczynie. – Ja mam tu – dodał, wskazując kufel z piwem. – Jakoś nie mogę tej wody.

Obłucki nalał sobie pełną szklanę. Opróżnił ją jednym haustem. Potem zaczął opowiadać. Robił to tak, jak planował. Powoli, bez obłędu. Zreferował odkrycia w tunelu, opowiedział o martwej kobiecie i wybuchu. Wszystko dokładnie w takiej kolejności, jak powinien. Kucharski mu nie przerywał. Słuchał, kiwał głową. Kiedy Obłucki skończył swój monolog, gospodarz przez chwilę milczał, po czym upił solidny łyk piwa i zaczął zadawać pytania.

– Masz jakieś kwity? Dowody?

– Będę z tobą szczery. Nie. Mam tylko to, co widziałem, to, co widział Tytus, i swoje przeczucie.

– Czyli?

– Ona zrobiła to celowo. Nie odwołała odwiertu, bo kosztowałyby to fortunę i pewnie biznesowo pograżyłyby administrację. Zwłaszcza gdyby wykonawcy dowiedzieli się, że mogła zlecić dodatkowe badania i wyeliminować niebezpieczeństwo.

– Ale że co? Przecież umowy można prolongować, można podpisać aneksy. Jakoś nie chce mi się wierzyć, że Kwiecińska nie wiedziała, co może zrobić, żeby nie stracić.

– Stary, nie wiem. Znasz to powiedzenie. Pycha kroczy przed upadkiem. Może czuła się tak wielka, że nie chciała uwierzyć w to, że może się pomylić.

– Wiesz, że jeśli to wypłynie, pograżysz ją, prezydenta... To będzie koniec jego kariery. Bo co to za prezydent, który naraża własne miasto.

– Wiem.

– Gorszy numer, niż wywinął Biedroń w Słupsku. Rzeź mieszkańców. Przejdzie do historii jako ten, który zabił największą liczbę warszawiaków od czasów hitlerowców. I chcesz, żebym pomógł ci to nagłośnić?

– Nikt inny nie wpadł mi do głowy.

– Dobrze. Coś wymyślimy. Gdzie ten Tytus?

– Nie wiem. Jeśli przeżył eksplozję, jest pod ziemią.

– Rozumiem. Szlag. Nie włączyłem muzyki – powiedział, podnosząc się i kierując się w stronę gramofonu. – Rory Gallagher czeka.

Salon wypełniły dźwięki gitary irlandzkiego muzyka.

– *Top Priority*. Bardzo dobry album. A wracając do naszej sprawy...

– Zajmiesz się tym? – zapytał Obłucki z nadzieją w głosie.

– Już się zająłem – odparł Kucharski.

Ta odpowiedź go zaskoczyła.

– Jak to?

– Powiedzmy, że się domyśliłem. Ta moja dziennikarka, Diana, dzwoniła do redakcji i mówiła, że strasznie się z Kwiecińską pokłóciłeś. Chciała z tobą zrobić wywiad.

– Niech robi. Wszystko jej opowiem.

– Nie opowiesz. Przykro mi.

Obłucki nie zdążył zareagować. W chwili gdy Kucharski skończył mówić, poczuł, jak na szyi ktoś zaciska mu pętlę. Ten ktoś był zwinny. Obłucki niemal nie poczuł zarzuconego sznura. Zorientował się w chwili, gdy ktoś szarpnął za koniec liny.

Pętla zaciskała się coraz mocniej.

Obłucki wpatrywał się przerażonym wzrokiem w Kucharskiego.

Nie rozumiał. A potem zrozumiał. Olśnienie przyszło nagle. Wcale nie było mu przykro. Kłamał.

Jedyną prawdziwą rzeczą w tym pokoju była śmierć, która na zawsze pogrzyła jego marzenia o nadzorowaniu odbudowy Warszawy.

– Wyhuśtany – powiedział mężczyzna stojący za plecami martwego Obłuckiego. – Zbieramy się z nim, jeśli mamy się wyrobić.

– Pewnie – odparł Kucharski, dopijając piwo.

„Nie cierpiał” – powiedział sam do siebie w myślach.

– Opróżnij mu kieszenie – odezwał się do gigantycznego czyściciela.

– Jasne. Biorę go do domu. Lina nie może się poluzować, bo będą problemy.

– Leć.

Pożegnali się skinieniami głowy. Kucharski patrzył na martwe ciało Obłuckiego. Niedobrze. Pokręcił głową. Niedobrze. Po co mu było to mielenie ozorem? Gdzieś w tyle głowy kołatała mu odpowiedź na to pytanie. Sprawiedliwość. Bo miastu się to należy. Ludziom. Upił łyk piwa i przymknął oczy. Ani ludziom, ani miastu nic się nie należy. Skarcił się w myślach. Nic. Niech żrą i zdychają za miskę ryżu. Tyle się im należy.

Dokładnie tyle.

Pan R. odebrał telefon. Sprawy przyspieszyły. To dobrze. Mieli na plusie kilka minut. Było dokładnie tak, jak przewidział. Obłucki przyjechał wcześniej. Niecierpliwi zawsze tak robią. Są przed czasem.

Teraz musieli zawieźć ciało do domu. Ułożyć wyhuśtanie. I podrzucić list. I najważniejsze – obserwować teren. Było zbyt mało czasu na pełną obserwację, więc jego ludzie zabezpieczali tylko te punkty, które były oczywiste. Jak ławeczka z szachistami. Siedzą tam godzinami. Grają i obserwują. Jego człowiek podszedł do nich, gdy Obłucki zniknął za zakrętem. Przyglądał się grze, której daleko było do fascynujących rozgrywek Kasparowa, zadając niezobowiązujące pytania. Takie, w których ludzie zazwyczaj opowiadają za dużo, choć nie mają o tym zielonego pojęcia. Kolejny facet stał przy kiosku. Dwa punkty obserwacyjne. Dwa punkty, w których ktoś mógłby zauważyć, że Obłucki wychodził z domu.

Ziemią niczyją była klatka schodowa. Nie miał jak obstawić mieszkań. Nie wiedział, czy gdzieś tam nie ma wścibskiej sąsiadki, która lubi wyglądać przez judasza. To była niewiadoma. Ryzyko, jakie musieli podjąć. Oczywiście były sposoby, aby w razie czego uniknąć zeznań takiej pani. Sprawdzili, w mieszkaniach wciąż były junkersy, najgenialniejszy wynalazek służb specjalnych. Narzędzie do popełnienia zabójstwa doskonałego, zamontowane na własne życzenie w domu potencjalnej ofiary. Teraz, kiedy czasy się zmieniły, a służby przestały być tym, czym były, junkersy nie pełniły już tak ważnej funkcji. Ale tu były i w razie gdyby coś poszło nie tak, dało się w niebudzący podejrzeń sposób usunąć potencjalnych sprawców zamieszania.

Najtrudniej było wnieść ciało. Operacja wymagała udziału trzech osób. Jedna była już w mieszkaniu. Druga pilnowała klatki, trzecia zaś wносиła ciało. Ponieważ Obłucki był martwy, musieli pętlę na jego szyi cały czas trzymać zaciśniętą w taki sam sposób, żeby przez przypadek nie powstały dwa ślady. A gdyby czas transportu się wydłużał albo pojawiły się komplikacje przy dostawie – transportować ciało tak, by nie dopuścić do zmian, które mógłby odkryć patolog. Reasumując – nie mieli czasu. Plamy opadowe pojawią się po dwóch godzinach

i wtedy nawet taki sam układ ciała nie pomoże. Ktoś się domyśli, że pan zadyndał w innym miejscu.

Jeśli chłopcy wniosą ciało bezpiecznie do mieszkania, pozostanie tylko ułożenie go w odpowiednim do powieszenia miejscu, żeby zgadzał się ślad na szyi po sznurze, i podrzucenie listu. Jego treść była prosta.

Przepraszam. To wszystko, co się wydarzyło, to moja wina. Mając świadomość, że pod ziemią istnieją ładunki wybuchowe, postanowiłem zataić ten fakt przed prezydentem. Zaślepiła mnie nienawiść. Wydawało mi się, że będę mógł żyć ze świadomością katastrofy, bo zniszczenie rządzących da mi siłę. Ale się myliłem. Nienawiść nie jest paliwem. Nienawiść jest rakiem. Zniszczyła mnie, a ja zniszczyłem to miasto. Zabiłem niewinnych ludzi w imię swoich prywatnych animozji. Niech pani Ania sprowadzi na dół GROM czy kogo tam ma. Niech ratuje miasto i ludzi.

Przepraszam, choć wiem, że Warszawa mi tego nigdy nie wybaczy.

Skruszony grzesznik odbiera sobie życie. Chciał ukarać władzę. Nie on pierwszy i nie ostatni. Jak i nie jego pierwszego i nie ostatniego przerósł ogrom zła, jakie wyrządził.

Teraz ci, których chciał ukarać, muszą posprzątać syf, który po sobie zostawił. Wygłosić płomienne przemówienie. Warszawa nigdy się nie podda. Warszawa jest wieczna. Odbudujemy to, co ten zły człowiek zniszczył. Nienawiść nie jest lekarstwem. Lekarstwem jest miłość i akceptacja.

GODZ._12.28

Kiedy dowiedziała się, że Obłucki nie żyje, spłynął na nią spokój. Wszystkie elementy wskakiwały na swoje miejsce. Teraz czekała ją rosza. Gdyby zwołana przez nich konferencja prasowa dotyczyła Obłuckiego, ktoś z miejsca połączyłby kropki. Ogłosili ją godzinę przed znalezieniem zwłok. Wiedzieli, że coś się święci. Może to ukartowane. Nic z tych rzeczy. Z biura prezydenta do mediów rozejdzie

się lada moment temat konferencji. Zaproszeni goście będą mówić o szpitalu tymczasowym, o pomocy dla poszkodowanych. Dopiero pod koniec nastąpi zwrot akcji.

Zacznie się żałoba i rozpacz na oczach milionów Polaków.

Tylko ktoś skrajnie pozbawiony empatii nie będzie czuł wzruszenia i poczucia solidarności z miastem, na które rękę podniósł ten, który miał je rozwijać.

Uśmiechnęła się pod nosem.

Wygrają wszystkie wybory.

Świat leżał u ich stóp.

Pozostała jedna drobna rzecz. Malutki element, który w tym momencie był usuwany.

ROZDZIAŁ 7

GODZ._12.30

Kochani, przerywamy muzykę, żeby podać wam okropną wiadomość. Dzisiejszy dzień, dwudziesty czwarty czerwca dwa tysiące dziewiętnastego roku, zapisze się w historii zarówno Warszawy, jak i Radia WSK jako jeden z najgorszych w historii.

Kilka minut temu nasza reporterka, dziennikarka, przyjaciółka, Diana Wrocławska zginęła w wypadku. Zbierając materiały do kolejnej relacji z miejsca katastrofy, Diana została potrącona przez jedną z ciężarówek wywożących gruz.

W takich momentach trudno cokolwiek powiedzieć. Diana była młoda, ambitna, miała całe życie przed sobą. Kochała zwierzęta, była wolontariuszką w schronisku na Paluchu. Miała dwa psy, kundle o imionach: Rocky i Balboa. Jak się domyślacie, była wielką fanką Sylvestra Stallone. I dlatego dziś, w dniu jej tragicznej śmierci, łamiemy zasady poniedziałków z rockową prehistorią. Dla Diany, by uczcić jej pamięć. Zespół Survivor i Eye of the Tiger.

Zanim jednak wybrzmi piosenka. Jak przekazał nam Ratusz, około godziny trzynastej piętnaście odbędzie się nadzwyczajna konferencja prasowa, podczas której prezydent Warszawy przedstawi szczegółowy plan pomocy poszkodowanym.

A teraz dla Diany. Gdziekolwiek jesteś.

GODZ._12.31

Szkło. Kiedy szkło czy jakikolwiek inny przedmiot wbije się w ciało, każdy ratownik powie to samo. Nigdy nie usuwaj ciała obcego. Nie wiesz, jakie narządy uszkodził, nie wiesz, jakie obrażenia spowodował. Ta zasada dotyczy oczywiście ludzi żywych. A mężczyzna, który wisiał na drzwiach prowadzących do maszynowni i kabiny maszynisty, był martwy.

Nie miałam pojęcia, jak ma na imię moja towarzyszka, więc nie mogłam zwrócić się do niej po imieniu. Zamiast tego krzyknęłam coś w stylu „tylko mi tu, kurwa, nie mdlej”. Nie posłuchała.

Osunęła się na ziemię.

Pochyliłam się nad nią, by przeciągnąć ją na bok. Terlecki nawet nie drgnął. Zimny, wyrachowany. I nieskory do współpracy. Nie kiwnął też na Tancerza, więc jeśli chcieliśmy wyjść z wagonów, trupa musiałam usunąć sama.

– Hej, Anna Karenina! – zawołałam.

– Tak?! – dotarła do mnie odpowiedź.

– Chodź, jest robota.

– Dlaczego mam wrażenie, że nie wołasz mnie do niczego przyjemnego?

– Jesteś domyślny – odparłam.

– Kwestia inteligencji – zażartował, gdy stanął tuż obok mnie.

Staliśmy obok zwłok. Mężczyzna, którego wieku nie byliśmy w stanie ocenić, bo był nabity na drzwi plecami do nas, podczas wypadku musiał stać przodem do kabiny. Siła podmuchu rzuciła nim na drzwi, a szyba nie wytrzymała uderzenia i rozpadła się, urządzając mu przy tym w brzuchu swoje małe królestwo. Nie wiem, co było przyczyną zgonu, i nie interesowało mnie to. Jedyne, czego chciałam teraz, to pozbyć się trupa i wyjść na tory. Nawet jeśli tam nie czekało mnie nic lepszego, to miałam dość przebywania w rozwalonych wagonach, w których temperatura powoli stawała się nie do zniesienia. Miałam świadomość, że poza nimi nie będzie lepiej, ale potrzebowałam przestrzeni. Minimalnie większej przestrzeni.

Wentylacja, podobnie jak gaz, została zapewne odłączona, by uniemożliwić rozprzestrzenianie się ognia, którego na szczęście nigdzie nie było. Tyle że na

górze nikt o tym nie wiedział. Temperatura więc i tak będzie rosnać. Ale przynajmniej nie w towarzystwie trupów.

Do tego prąd. Największe ryzyko. Metro, które bazuje na prądzie, musiało mieć swoją własną sieć. Byłam już pewna, że ciemności zawdzięczamy temu, że coś się zepsuło. Natomiast czy padło wszystko, nie miałam pojęcia. Do tej pory metro interesowało mnie jako środek transportu, który wiozł mnie do celu, a nie ciekawostka technologiczna, której funkcjonowanie spędzało mi sen z powiek. Ale jeśli stąd nie wyjdę, nigdy się tego nie dowiem. A żeby to zrobić, potrzebowałam przenieść trupa.

– Będziesz się mu przyglądać czy się modlisz? – zapytał Bezdomny.

– Zamyśliłam się.

– Widzę. Na trzy?

– Co na trzy?

– Podnosimy go.

Spojrzałam na ciało. Tkwiło głęboko, blokując przejście i możliwość jakiegokolwiek ruchu. Ponieważ drzwi otwierały się do środka, żeby podnieść ciało i usunąć je tak, aby umożliwić przejście, ktoś z nas musiał wychylić się w głąb kabiny i ponieść trupa za ramiona, a ktoś inny trzymać stabilnie od drugiej strony.

Byłam szczuplejsza, więc wsunęłam się w głąb. Gdy Bezdomny doliczył do trzech, podnieśliśmy ciało. A przynajmniej próbowaliśmy.

Najpierw rozległo się głośnie mlaśnięcie. Potem wagon wypełnił smród odchodów. A potem coś upadło na podłogę.

– Kurwa – zaklął Bezdomny.

– Jezu... – rzuciłam.

Smród unosił się znad wnętrzości, które wypadły, gdy tylko poruszyliśmy ciało.

– Zaklinał się – stwierdził Bezdomny. – Sami nie damy rady.

– Ktoś nam pomoże? – zapytałam, odwracając głowę w stronę Terleckiego.

Oczywiście na niego nie liczyłam. Ani on, ani Tancerz nie pobrudzą sobie rąk siłowaniem się z trupem. Problem polegał na tym, że poza nimi nie mieliśmy zbyt dużego wyboru. Mężczyzna, którego prowadził Bezdomny, miał rozwaloną nogę. Pijaczyna prędzej rzuciłby picie, niżby komuś pomógł. Matka była nieobecna. Pozostały nam tylko dzieciaki. I tylko oni wysunęli się do przodu.

– Jak masz na imię? – zapytałam dziewczynę.

– Marta.

– Fajne imię. Ja mam na imię Kalina. – Ugryzłam się w język. Nie powinnam mówić niczego o sobie. – Czego słuchałaś?

– Słucham?

– Czego słuchałaś przed wypadkiem.

– Słuchawki mi wypadły. Telefon się rozbił.

– Wiem. Ale pytam o to, czego słuchałaś.

– Różnych rzeczy. Tuż przed wypadkiem Tylor Swift.

– Nigdy jej nie słuchałam. Fajna jest?

– Może być.

– Okej. A teraz mnie posłuchaj. Jest ciemno, więc nie będziesz nic widzieć. Spróbuj nie myśleć o smrodzie. Przypomnij sobie ulubioną piosenkę Tylor Swift i zacznij ją nucić. Możesz nawet na głos.

– Okej – opowiedziała.

– A ty? – zapytałam chłopaka.

– Nie lubię Tylor Swift. Znaczy nie przepadam – poprawił się. Miał instynkt.

– A co lubisz?

– Taco. A na imię mam Patryk.

– Co to, kurwa, terapia grupowa? – przerwał nam pijak.

Zignorowałam go. Reszta także.

– Taco jest okej – powiedziała Marta.

– Dobra – wtrącił się Bezdomny. – Złapcie go tu. – Wskazał łydki. – I będziecie podnosić ciało, kiedy damy wam znak. Musicie podnieść najwyżej, jak potraficie.

Pokiwali głowami ze zrozumieniem.

– Na trzy. A, i jeszcze jedno. Znów może coś z niego wypaść. Możecie rzygać, jak coś.

A potem podnieśliśmy trupa.

Towarzyszyły temu odgłosy, jakich nikt nie chce słuchać. Śmierć odziera człowieka z godności. Sprawia, że wszystko to, czego się wstydzimy, co ukrywamy przed innymi, wyłania się z ukrycia i w całej okazałości prezentuje swoje możliwości. Jedynym plusem tej sytuacji jest to, że nie mamy już świadomości tego, jak bardzo jesteśmy po śmierci upokorzeni.

Odrzuciliśmy ciało na bok. Bezdomny szarpnął za klamkę. Drzwi otworzyły się. Przed nami ukazała się kabina motorniczego połączona z maszynownią. Przednia szyba była rozbita. Drzwi do kolejnego etapu podróży były otwarte. Choć nie mieliśmy pojęcia, dokąd prowadzą.

GODZ._12.37

W sztabie kryzysowym panował chaos. Pracownicy urzędu uwijały się jak w ukropie, przygotowując materiały na konferencję. Prezydent chciał mieć możliwie najbardziej aktualne dane dotyczące zniszczeń oraz liczby ofiar. Pracownicy sztabu zbierały dane od każdego oddziału straży pożarnej i pogotowia. Niestety, ponieważ nie każdy myślał w takiej sytuacji o dokumentacji, dane były rozbieżne i niepełne.

Od katastrofy minęły trzy godziny. Perony przy stacjach Centrum i Politechnika wciąż były zasypane. Nikt nie wiedział też, ile osób przeżyło w pociągu, który zaczął się wycofywać z Politechniki w stronę Centrum. Według szacunków specjalistów z obsługi metra wagony powinny być nie dalej jak jakieś czterysta metrów od Centrum. Tyle że dostanie się do nich wciąż było niemożliwe.

Sytuacja miała zmienić się w chwili, gdy do stolicy dotrze ciężki sprzęt używany w akcjach ratunkowych w katastrofach górniczych. Według najnowszych

danych miało to nastąpić około piętnastej. Wcześniej do podziemi zejdzie oddział 2305, który był już gotowy i czekał na rozkazy.

Kwiecińska natomiast czekała na informację, który z żołnierzy będzie kontaktem pana R. Przyglądała się z daleka, jak prezydent dyskutuje z ministrem zdrowia. To była ważna współpraca. Lada moment ten większy prezydent wspólnie z kilkoma generałami i nadinspektorem policji zaproszą go na spotkanie, podczas którego powołają komisję śledczą do sprawy wypadku. Zacznie się dochodzenie. Znaczący zaczęłoby się dochodzenie, które kosztowałoby miliony złotych i zapewne pograżyłoby ich na zawsze. Co prawda bez zarzutów karnych, ale z definitywnym końcem kariery.

Żeby wszystko się udało, potrzebowała zrobić tylko jedną rzecz. Ostatnią. Znaleźć tego całego Tytusa. Tylko to.

Żołnierz, który zejdzie pod ziemię, miał go odszukać i jeśli wciąż będzie żył, pozwolić odejść w możliwie najbardziej wiarygodny sposób, jaki da się zaimprovizować w otoczeniu oddziału. To nie powinien być problem, w końcu nie raz i nie dwa takie rzeczy załatwiano.

Oczywiście był jeszcze jeden problem. Mieszkanie Tytusa. Choć ludzie pana R. już je przeszukali i wynieśli z niego wszystkie potencjalnie niebezpieczne informacje, to jednak nie mieli czasu na dogłębną kontrolę. Do tego była jeszcze kwestia narzeczonej, która wyjechała sama na weekend. To oczywiście nie musiałyby być problemy, ale im mniej niewiadomych, tym łatwiej panować nad sytuacją. Była też inna opcja, którą Kwiecińska po cichu rozważała. Mogła z Tytusa zrobić bohatera. Człowieka, który próbował powstrzymać Obłuckiego. Który zszedł do tuneli, by samemu odkryć źródło zagrożenia. Wszystko było do ogrania, ale zależało od kilku czynników, w tym tego najważniejszego, czyli w jakim stanie był Tytus.

Wszystko w swoim czasie. Na razie za jakieś dziesięć minut policja powinna wejść do domu Obłuckiego. Za dwadzieścia powinni odebrać telefon z informacją o znalezisku. Niedowierzenie. Oględziny ciała. Wstępna analiza pisma, która wyklucza falsyfikat. Konferencja opóźni się o jakiś kwadrans. Około 13.40

powinni przekazywać prezydentowi informacje. Będzie musiał przerwać konferencję.

Wszystko było zaplanowane. Wystarczyło czekać i powoli, punkt po punkcie, zdobywać przewagę nad resztą świata.

Ten plan był prosty, wręcz banalnie prosty, ale ona zawsze wierzyła, że kluczem do sukcesu jest stosowanie rozwiązań najbardziej oczywistych. Tylko wtedy można mieć pewność, że nikt nie zacznie grzebać głębiej.

Z zadumy wyrwały ją wibracje starej komórki.

Pan R.

Żołnierz miał już wszystkie dane. Wszystkie elementy układanki trafiły na swoje miejsce.

Uśmiechnęła się leciutko. Dla kogoś, kto by na nią spojrział, wyglądałoby to jak grymas twarzy po wylewie. Ona jednak wiedziała swoje. Była szczęśliwa. I coraz bardziej spokojna.

GODZ._12.42

Nigdy nie rozumiał, dlaczego ludzie nie doceniają kur. Uznaje się je za głupie ptactwo, a to nieprawda. Kury mają doskonałą pamięć. Potrafią zapamiętać ponad sto kurzych twarzy. Do tego są emocjonalne. Żyjąc w stadzie, potrafią nie lubić i izolować się od osobników, które uważają za nieciekawe i irytujące. Do tego, o czym mało kto wie, kury mają własny język. Używają ponad trzydziestu różnych dźwięków, z których każdy oznacza coś innego. Potrafią ostrzegać stado przed niebezpieczeństwem, zwoływać inne kury, gdy znajdą pokarm, a także wyznawać uczucia i opowiadać o emocjach.

Pan R. przyglądał się swoim kurom, myśląc o tym, jakim cudem te inteligentne i mądre zwierzęta wypracowały sobie status ptasich imbecyli. Najliczniejsze spośród ptactwa. Ponad dwadzieścia pięć miliardów osobników. I status przygłupów.

Dlatego się od nich uczył. Tego, jak być niezauważonym. Jak sprawić, że świat uważa cię za idiotę i nie zwraca na ciebie uwagi. Dla ludzi dookoła był majętnym biznesmenem, który handlował podrobami. I niech tak będzie. Zresztą niewiele się mylili. Pracował w podrobach.

W kieszeni zawibrował mu telefon. Wyjął go. Esemes.

Jego kontakt w policji informował go, że podchodzą pod dom Obłuckiego. To była najtrudniejsza część zadania. Jak sprawić, by policja zapukała do czyichś drzwi, nie budząc przy tym podejrzeń. Gdyby miał czas, stworzyliby w systemie sięgające kilka miesięcy wstecz dochodzenie w sprawie powiedzmy podejrzenia posiadania nielegalnego oprogramowania albo materiałów pedofilskich. Tu miał jednak niewiele ponad godzinę. Bez współczesnej technologii nie dałby sobie rady. Czasami sam się dziwił, jak te trzydzieści lat temu udawało się im przeprowadzać tak sprawne i szybkie akcje. Ale jakoś się udawało.

Tu nie mieli innego wyjścia, jak sprowadzić patrol do awarii. Wyhuścili Obłuckiego na rurze od kaloryfera, którą umiejętnie urwali. Woda zalała mieszkanie w sześć minut. W sytuacji gdy Warszawa waliła się na oczach swoich mieszkańców, służby traktowały spore awarie jako potencjalne niebezpieczeństwo. Wystarczyło tylko postawić na klatce kogoś, kto zasieje ziarno niepewności w sąsiadach. Reszta toczyła się lawinowo. Istniało prawdopodobieństwo, bo takie jest zawsze, że ktoś zacznie szukać, jakiś uparty dziennikarz, który będzie uważał, że rozwiązanie zagadki jest zbyt oczywiste. Ale nad tym będą pracować potem. Kupili sobie sporo czasu, mogą go wykorzystać, jak chcą. Stworzą zaplecze Obłuckiemu. Może jakiś kredyt, który go niszczył, prośby o podwyżkę, które były odrzucane. Coś, co na wszelki wypadek nada głębię jego decyzji. Sprawí, że wścibski dziennikarzyna znajdzie kwity, które utwierdzą go w przekonaniu, że Obłucki był biednym szaleńcem, który stracił poczucie rzeczywistości. Myślał, że mści się na ludziach, którzy w jego mniemaniu go skrzywdzili. Może chciał ich zabić, ale wszystko go przerosło. Więc się załamał.

Pan R. zanotował sobie w myślach koncepcję zamachu na prezydenta, którą mógłby w najgorszym wypadku podrzucić. Był z siebie dumny. Mając tak mało

czasu i tak ograniczone środki, wykonał swoją pracę w mistrzowski sposób.

Powinien poprosić o premię. I zrobi to, gdy sytuacja się uspokoi. A teraz wrócił do przyglądania się kurom. Patrzył na ptaki, zastanawiając się, jak działa natura, która w ramach żartu sprawiła, że kury były najbliższymi krewnymi tyranozaurów.

ROZDZIAŁ 8

GODZ._12.50

Krajowe Centrum Koordynacji Ratownictwa i Ochrony Ludności donosi, że na terenie Warszawy pracuje obecnie dwustu trzydziestu ratowników medycznych, trzy jednostki strażackie i wojsko. Trwa oczekiwanie na lotniczy transport ratowników górniczych z Gliwic.

A na razie oddajemy głos wam.

Pani Maria:

„Niech Bóg ma w opiece tych, którzy są pod ziemią. To koszmar. Najgorszy koszmar, jaki mógł się ziścić. Modłę się za Warszawę”.

Pan Marcin:

„Nie mogę skontaktować się z żoną. Wiozła do mnie syna. Wie pan, to była naprawdę głupia sprawa. To ja złożyłem pozew o rozwód. Wydawało mi się, że powinienem dostać coś więcej od życia niż żona i syn. Byliśmy młodzi, kiedy zaszła w ciążę. A teraz... Teraz, kiedy nie odpowiada jej telefon... Syna telefon także... Teraz oddałbym wszystko, żeby cofnąć czas, rozwód... Przepraszam, nie mogę. Jeśli mnie słyszycie, odezwijcie się”.

Pani Zuzanna:

„Teraz, kiedy ludzie umierają, myślę o tym, jak kruche jest nasze życie. To mógł być każdy z nas. Każdy, kto jechał do pracy, każdy, kto spieszył się na spotkanie. Moja przyjaciółka, Jola, jechała na rozmowę w sprawie pracy. Zapomniała telefonu, więc wszyscy mamy nadzieję, że się odezwie, że była na spotkaniu i teraz

przez korki nie może wrócić. Przepraszam... Nie chcę być samolubna. Kochajmy ludzi, odrzućmy nienawiść i złość. Niech ta tragedia czegoś nas nauczy”.

Za chwilę wrócimy do nagrań słuchaczy, a teraz zespół Blue Cheer w kompozycji Better When We Try.

GODZ._12.51

Weszliśmy z Bezdolnym do środka kabiny maszynisty. Rozbite szyby, szkło na podłodze. Nigdzie nie widziałam ciała maszynisty. Musiał wypaść na zewnątrz wagonu, więc pewnie leżał gdzieś przed nami. Wąski przesmyk między silnikami sprawiał, że do środka wchodziliśmy pojedynczo. Kabina była na tyle mała, że nie pomieściłaby nas wszystkich. Ponieważ Marta i Patryk stali obok nas, to ich wypuściliśmy do tunelu jako pierwszych.

– Uważajcie na trzecią szynę. Najlepiej stójcie na środku torów i nie odchodźcie dalej – powiedziałam, gdy zniknęli na zewnątrz.

Czy trzecia szyna wciąż przewodziła prąd? Standardowy skład metra jest w stanie rozwinąć prędkość do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Do tej prędkości przyspiesza w niecałe czterdzieści pięć sekund. Żeby ją osiągnąć, potrzebuje zasilania prądem stałym o napięciu siedmiuset pięćdziesięciu woltów, czyli dwa i pół razy więcej, niż mamy w domach. Jeśli zabija nas toster działający przy dwustu dwudziestu woltach, to co zrobi metro? Mniej więcej to samo, co dzieje się z włożonym do tosterka chlebem. Trzecia szyna, czyli ta, przez którą przepływa prąd, znajduje się zwykle z boku szyn jezdnych. Prąd przekazywany jest za pomocą specjalnego odbieraka ślizgającego się po szynie, umocowanego do wózka pociągu. Przez lata na temat trzeciej szyny narosło mnóstwo mitów, z tym najsłynniejszym na czele – jakoby sikający na nią ludzie ginęli od porażenia prądem. Jakkolwiek absurdalnie to brzmi, zapewne zdarzają się ludzie, którzy sikają w tunelach metra, jednak śmierć w wyniku oddania moczu na trzecią szynę jest tak samo prawdziwa, jak opowieści o aligatorach, które wpuszczone do

kanałów, dorastały tam, a potem grasowały w podziemiach Nowego Jorku, zjadając ludzi. Nie da się umrzeć od sikania na szynę, bo mocz składa się z oddzielnych kropeł, a co za tym idzie, nie przewodzi prądu, bo nie zamyka obwodu. Przeprowadzono zresztą na ten temat ciekawe naukowe badania, z których jednoznacznie wynika, że przyczyną większości tragicznych wypadków w metrze nie jest oddawanie moczu na trzecią szynę, lecz przypadkowe jej dotknięcie. Co oczywiście nie zmienia faktu, że idiota sikający na prąd pozostaje idiotą. Od martwego idioty różni się tylko tym, że ma szczęście. Albo spore problemy z prostatą.

Nie sądziłam, by Patryk był debilem, a Marta nagle kucnie, żeby się wysikać, ale przypadkowe dotknięcie szyny z prądem na bank skończyłoby się tragedią. A ponieważ tkwiliśmy w środku gigantycznej katastrofy, nie było sensu dodawać sobie kolejnych.

W następnej kolejności chcieliśmy wyprowadzić z wagonu rannych. Problem polegał na tym, że Patryk z Martą byli zbyt słabi, aby pomóc w zejściu rannemu mężczyźnie.

Zeskoczyliśmy więc z Bezdolnym na torowisko. Mimo że tunel wciąż wypełniony był zapachem śmierci i wybuchu, to lekki powiew powietrza sprawił, że od razu zakręciło mi się w głowie. Kiedy przebywasz w zakurzonej pomieszczeniu, organizm przyzwyczaja się do syfu, jaki wdycha. Nic więc dziwnego, że gdy dostał zastrzyk trochę czystszej powietrza, oszalał.

Oparłam się dłonią o przód wagonu.

– Co ci? – zapytał z autentyczną troską w głosie Bezdolny.

– Nic. Jest okej – powiedziałam. – Po prostu zakręciło mi się w głowie. Wiesz, powietrze, stres. Już jest okej. Minuta i zabieramy ich.

Nie odpowiedział. Pokiwał głową. W oknie ustawił się mężczyzna z przebitą nogą. Obok niego stała kobieta, za nią Terlecki i Tancerz. Żaden nie ruszył się, by pomóc rannemu. Wyglądali jak rozmyte w mroku cienie posągów.

Mężczyzna zasyczał z bólu. Czym innym było powolne przesuwanie się do przodu po w miarę równej nawierzchni, mając na dodatek oparcie w zdrowym, silnym facecie, a czym innym podniesienie przebitej nogi i zsuniecie się po przodzie wagonu w dół.

Facet nie potrafił ukryć bólu. Krzyknął. Rana musiała go zboleć na tyle mocno, że puścił się ramy po wywalonym oknie i runął w dół. W ostatniej chwili udało się nam go złapać. Może i nie spadał z wielkiej wysokości, ale uderzenie głową w beton nie jest niczym przyjemnym, niezależnie, czy spadasz z jednego metra, czy z dziesięciu.

– Sorry – wyszeptał. – Noga...

– Wiem – powiedział spokojnym tonem Bezdomny. – Chodź, przejdziemy do przodu. Zrobimy miejsce innym.

Poczułam, jak mnie mijają, a potem odwróciłam się w stronę kobiety i przodu pociągu. Kątem oka zobaczyłam jakiś błysk światła, ale go nie zarejestrowałam. Mózg za bardzo przyzwyczajony już był do mroku. Przez następne sekundy powoli przetwarzałam w głowie to, co się działo, nie potrafiąc zareagować.

– Patrz! Kurde, patrz! – rozbrzmiał głos Patryka.

– Mamy fluoroscencyjne patyki. Musiały być w kabinie i uderzenie wyrzuciło je na zewnątrz – cieszyła się Marta.

W dłoniach trzymali grube, dające przeraźliwie jasne światło kawałki plastiku wyglądające jak świecące drewno. Może były w pociągu. Może jakiś maszynista woził je na wypadek, gdyby odcięto zasilanie.

Nie zareagowałam, gdy przystawili mi je do głowy. Wyłoniłam się z mroku. Pot sprawił, że większość krwi, którą wysmarowałam twarz, spłynęła ze skóry. Czułam się niemal naga. Samotna w jasnym świetle rozbłyskującym w ciemności.

Czas dłużył się niemiłosiernie. Choć nie widziałam Terleckiego, wiedziałam, że na mnie patrzy. Wszyscy na mnie patrzyli. Byłam pieprzonym robaczkiem świętojańskim w ciemnej jak dupa jaskini. Jedynym jasnym punktem w mroku. Pierdolonymi reflektorami pociągu. Nie, to nie światło w tunelu. To koniec.

That's All Folks.

Moją twarz widać było może przez pięć sekund. Dla mózgu, który wpatrywał się w nią godzinami, który urządził na nią polowanie i który każdego dnia utwierdzał się w przekonaniu, że nie żyje, pięć sekund było jak wieczność.

– Tttt... – usłyszałam jego głos.

Kobieta, której miałam pomóc, chwytła się framugi.

– To ona! – wyrzucił z siebie. – Ta kurwa żyje!

Odrąciłam fluorescencyjny bajer w kąt. Zaskoczona Marta schowała dłoń niczym uczennica w szkole, gdy nauczyciel nagle zdzielił ją linijką.

Odepchnęłam ją jak dalej na tory. Patryk ruszył w jej stronę. Bezdomny prowadzący rannego zatrzymał się. Nie widziałam, jak Terlecki idzie do przodu. Zauważyłam go, gdy odepchnął kobietę. Nie miałam jak jej złapać. Skumulowana w Terleckim nienawiść była tak wielka, że siła, z jaką pchnął moją towarzyszkę, sprawiła, że oderwała się od futryny i wyleciała w powietrze. Uderzona z prawej strony, poleciała w moją lewą.

Trzecia szyna.

Czy w metrze był prąd?

Kobieta poleciała w stronę ściany. Uderzyła w nią, odbiła się i upadła na tory.

Przez jej ciało przeleciało siedemset pięćdziesiąt woltów.

W szynie był prąd.

Odwróciłam się i zaczęłam biec w głąb tunelu.

Wtedy rozległ się wystrzał.

GODZ._12.53

Dzielnicowy Kaliszczak w towarzystwie dwóch policjantów z prewencji wpatrywał się w trupa. Znał Obłuckiego z widzenia. Nie wyglądał mu na człowieka, który targnie się na życie.

Wody wciąż przybywało. Nie znał się na hydraulice. Do mieszkania wszedł z cieciem, który na widok zwłok Obłuckiego zwymiotował na buty. Kaliszczak kazał mu wyjść na klatkę. Teraz musiał do niego iść. Poprosić, by wezwał hydraulika ze spółdzielni.

Gdy podchodził do drzwi, za ramię chwycił go jeden z chłopaków z patrolu.

– Musi pan to zobaczyć – wyszeptał.

– Co?

– To. – Wskazał na stolik, na którym leżał zamknięty laptop, a na nim biała kartka wypełniona odręcznym pismem.

Podszedł i zaczął czytać. W miarę jak był coraz bliżej końca, jego twarz zmieniała kolory z czerwonej i zielonej na białą jak kreda.

– O kurwa – wyszeptał Kaliszczak.

– Tak.

– Ktoś musi jak najszybciej skontaktować się z prezydentem i urzędem miasta. I wezwać górę. Ja pierdołę.

Gra się rozpoczęła.

GODZ._13.02

Każda informacja trafiająca do biura prezydenta oznaczana była według ważności. Te, które lądowały w grupie z najniższym priorytetem, nigdy nie wychodziły poza biurka i skrzynki pocztowe sekretarek czy pomniejszych urzędników. Wiadomości drugiej kategorii trafiały do zwierzchników pracowników najniższego szczebla. One też umierały gdzieś w piekle poczekalni. Trzecia kategoria dawała nadzieję nadawcy na to, że ktoś rozpatrzy je pozytywnie, te wiadomości bowiem trafiały do szefów działów, a ich los zależał od ich humoru i dobrych chęci. Była też kategoria czwarta, najwyższa. Tych wiadomości było stosunkowo niewiele, ale jeśli się pojawiały, zawsze trafiały na biurko Kwiecińskiej.

Taką wiadomością była informacja o samobójczym liście Obłuckiego. Gdy została o tym poinformowana, niemal zemdląca na oczach swoich pracowników. Ktoś ją przytrzymał. Ktoś podał krzesło i wodę.

– Rany boskie... – wyszeptała.

Dziewczyna, która przekazała jej wiadomość, była w szoku, którego nie potrafiła ukryć.

– Jak on... Jak on... – wydusiła z siebie.

– Cicho, dziecko – powiedziała z czułością w głosie Kwiecińska. – Odpowiedzi poznamy później. Teraz musimy zebrać dane dla prezydenta. Za chwilę będzie konferencja. Trzeba będzie ją przerwać.

– Możemy ją opóźnić – zauważyła przytomnie dziewczyna. – Policja powiedziała, że w trybie pilnym potwierdzają autentyczność pisma i tożsamość. Musimy... Musimy powiedzieć o tym warszawiakom. Ta wiedza się im należy.

– Masz rację, dziecko – odparła Kwiecińska. Na chwilę zawiesiła głos, jakby potrzebowała czasu, by pomyśleć. – Zbieraj dane i przesyłaj mi wszystko w trybie pilnym. Idę porozmawiać z prezydentem. Jezu... Obłucki... On był na miejscu wybuchu. Czegoś ode mnie chciał, a ja nie miałam jak z nim porozmawiać.

– Może chciał powiedzieć?

– Przyznać się?

– Tak.

– I myślisz, że targnął się, bo...

– Nie, nie ma w tym pani winy. Nic a nic. Niech pani nawet o tym nie myśli! On... To nie było normalne, co zrobił... – Zawiesiła wzruszony głos.

Kwiecińska także była wzruszona. Głęboko w duchu była z siebie dumna. Wszystko działało tak, jak zaplanowała. Ludzie są dziś tak bezrefleksyjni. Wystarczy proste wytłumaczenie i ukamienują nawet Jezusa.

Pocisk wchodzący w ciało nie wydaje dźwięku. Te wszystkie amerykańskie filmy, które pokazują młaśnięcia i plaśnięcia, były głupie. Pocisk bezdźwięcznie wchodzi w ciało, a jedynym odgłosem jaki słytać, jest upadek.

Ktoś przede mną upadł.

Potem usłyszałam głos.

– Kurwa mać – zaklął Bezdomy.

– Żyjesz? – wyszeptałam.

– Tak. Ale koleś dostał prosto w głowę.

– Dzieciaki?

– Są całe, pobiegły przed siebie.

– Uff. Tyle dobrze.

Nie strzelali więcej w naszą stronę. Przez chwilę w tunelu panowała grobowa cisza, którą nagle przerwał głos Terleckiego.

– Ej, kurwo! Żyjesz?

Nie odpowiedziałam.

– Kurwo! Jak tam?

Mogłam uznać, że nie mówił do mnie, bo w końcu nie tak miałam na imię, ale... Gdy miałam się odezwać, poczułam na ustach dłoń Bezdomnego.

– Ciii... Nie wie, gdzie jesteś.

Pokiwałam głową. Miał rację.

– Jak ty teraz się nazywasz? Muszę przyznać, że masz talent. Tyle razy umierać. Kalina? Natalia? Zresztą to nieważne, i tak stąd nie wyjdiesz! – darł się Terlecki.

Bezdomy podniósł z ziemi sporej wielkości odłamek betonu i cisnął nim w tory kilkanaście metrów przed nami. Hałas. Kilka sekund później w tamtą stronę padł strzał.

– Masz zamiar się ukrywać i bawić w kotka i myszkę? Wychyl się i popatrz. Przyświecę ci, żebyś widziała.

Tancerz musiał podnieść z podłogi fluorescencyjną lampę. Jej światło było coraz słabsze, ale wciąż jako jedyne w mroku nieźle rozświetlało wszystko dookoła.

– Wyjdiesz? Czy mam się zająć drugą pizdą?

Matka Patryka.

Nie miałam pojęcia, gdzie jest chłopak, ale jeśli nic nie zrobię... Chciałam się ruszyć, ale Bezdomny przytrzymał mnie w uścisku.

– Zabije ciebie, a potem nas. Masz ten swój nóż? – wyszeptał.

– Jaki nóż? – Próbowałam udawać zaskoczenie.

– W metrze przed wybuchem miałaś w kieszeni nóż.

– Skąd... – Nie pozwolił mi dokończyć.

– Kiedyś płacili mi za to, żebym widział takie rzeczy.

– Nie. Wypadł.

– Czyli nic nie mamy. Więc nigdzie nie idziesz.

– Zabije ją.

– A potem ciebie, mnie i dzieciaki.

– To co robimy?

– Czekamy.

Koszmarne uczucie. Kiedy człowiek stoi bezbronny i jedyna rzecz, jaką może zrobić, to patrzeć, jak ktoś umiera.

– To co? Przyjdiesz? Czy popatrzysz sobie na naszą mamcię?

Nie odpowiedziałam.

– Twój wybór.

Staliśmy na tyle daleko, a światło było coraz słabsze, że nie mogłam zobaczyć wszystkiego wyraźnie. Tancerz chwycił kobietę od tyłu i poderznął jej gardło. Usłyszałam charczenie. Charakterystyczny dźwięk, jaki wydaje ktoś, kto dławi się krwią. A potem ciało spadło na tory.

– Mamo! – rozległ się krzyk za naszymi plecami.

Bezdomny rzucił się w stronę chłopaka. Musieliśmy uciekać.

– Tam są! – krzyczał pijaczyna. – Tam, słyszałem tego gów...

Pojedynczy strzał. W tunelu echo niosło go wyraźnie. Głuchy upadek ciała. Jeśli czegoś żałowałam, to tego, że nie widziałam, jak zapity ryj tego upierdliwego typa rozpada się na milion małych kawałków.

Nie mogłam jednak zawrócić.

Bezdomny objął chłopaka i pociągnął go w mrok, gdzie czekała na nich dziewczyna. Podążałam za nimi krok w krok.

Ciemność była naszym jedynym sprzymierzeńcem.

ROZDZIAŁ 9

GODZ._13.05

Zgodnie z informacjami ze sztabu kryzysowego zapowiadana na trzynastą piętnaście konferencja prasowa będzie opóźniona. W oczekiwaniu na dalsze wiadomości znów oddajemy antenę wam, naszym słuchaczom. Zaczynamy od bardzo ważnego dla nas głosu – Norberta, narzeczonego Diany.

Norbert:

„Nie wiem, jak wyobrazić sobie świat bez niej. Jak przeżyć wieczór, gdy będę się kładł do łóżka bez niej. I jak przetrwam każdy kolejny dzień. Bez niej. Mówi się, że ból mija, ale czy pustka mija także? Czy da się ją wypełnić? Diana kochała swoją pracę, mówiła, że dopiero się rozkręca. Marzyło się jej prowadzenie głównych wiadomości. Chciała iść w tym zawodzie najwyżej, jak tylko się da. Była tak cho... przepraszam, tak bardzo ambitna. Ale poza tym miała jedną bardzo ważną cechę. Ambicja nie przysłaniała jej świata. Była dziennikarką, ale gdy wracała do domu, zamykała za sobą drzwi i stawiała się zwyczajną dziewczyną, która chodzi po mieszkaniu w za dużej piżamie i marzy o tym, aby ktoś ją kochał. Kochałem ją. Jak nikogo w życiu”.

Pani Wiktoria:

„Pamiętam, jak wybuchła Rotunda. I ten chaos. To, co się wydarzyło teraz, jest o wiele, wiele gorsze. I ja mam pytanie. Gdzie są władze naszego miasta? Co zrobił prezydent, żeby do tego nie doszło?! Wiecie, co oni robią? Oni nie robią nic! Oni żrą za nasze podatki! Wpieprzają te swoje ośmiorniczki, a ludzie dla nich umierają.

I nic ich to nie obchodzi. Szanowni państwo, powinniśmy żądać natychmiastowego ustąpienia z urzędu prezydenta Bolesławskiego! Precz z ludźmi, którzy nie dbają o swoich mieszkańców!”

Pan Sławek:

„Hej, jeśli można za waszym pośrednictwem. Jeśli jesteście rodziną, bliskimi kogoś, kto mógł znajdować się w metrze podczas eksplozji, proszę, skontaktujcie się z nami. Jako fundacja »Missing« próbujemy stworzyć pełną listę osób, które mogły być w metrze, zarówno w wagonach, jak i na peronach. Do tego ogłaszamy happening koło stacji metra Politechnika. Wszędzie tam, gdzie teren jest nieogrodzony przez policję i służby, wieszamy zdjęcia naszych bliskich. Ja sam powiesiłem tam zdjęcie mojego partnera, Grzegorza, który jechał na trening i najprawdopodobniej siedział w jednym z wagonów. Grzegorz – cały czas mam nadzieję, że jesteś cały i zdrowy”.

Pani Olga:

„Dzień dobry, tu Olga Maj. Chciałam odezwać się osobiście, bo takich wiadomości nie przekazuje się przez asyistentki. Nie w takim momencie. Chciałam więc poinformować państwa, że w obliczu tak ogromnej tragedii zdecydowałam się stworzyć specjalny fundusz dla rodzin ofiar tej katastrofy. Powołana przeze mnie fundacja będzie wypłacała rodzinom zapomogi oraz pomagała w kwestiach prawnych związanych z konsekwencjami tragicznej śmierci. Wszystkie informacje znajdziecie państwo na stronie internetowej Radia WSK. Serdecznie pozdrawiam i łączę się z państwem w bólu”.

A teraz, w oczekiwaniu na konferencję, posłuchajmy niezwyklej kompozycji zespołu Ultimate Spinach Mind Flowers.

GODZ._13.06

Spodziewałam się, że rzucą się za nami w pościg. Jednak po strzale zapanowała cisza. Echo niosło tylko nasze kroki. Byliśmy jedynymi istotami w ciemności,

które dawały jakiś znak życia.

– Cipko?! – rozległ się głos za nami.

Zwolniłam. Znów powróciła myśl, która nie chciała mnie opuścić. O co przestępcom chodzi z tym przeklinaniem? Czy jeśli będą kogoś obrażać, czują się lepiej? W ciągu ostatnich dziesięciu minut byłam kurwą, cipą, miałam wypierdalać i zostać zajebana. Nie czułam się ani pierwszą, ani drugą i jak dotąd żyłam.

– Hej, cipko?! Jesteś tam?!

Ruszyli.

Zatrzymałam się. Im mniej ruchu, tym mniej hałasu. Nagle poczułam na ramieniu dłoń. Bezdomny.

– Co im zrobiłaś? – zapytał najciszej, jak tylko mógł.

– Nic.

– Jak się nic nikomu nie robi, to ten ktoś nie próbuje zabić ciebie i wszystkich wokół.

– Serio. Jemu nic. Lata temu zabiłam jego szefa. A ostatnio prawą rękę. Ale o tym dowiedziałam się po fakcie.

– Kim ty jesteś?

– Mogłabym zadać ci to samo pytanie.

Nie odpowiedział.

– Gdzie dzieciaki? – Próbowałam zmienić temat.

– Wcisnąłem ich w przesmyk między ścianą a torami. Jeśli twoi prześladowcy nie będą mieć latarki, nie znajdą ich.

– Światło im padło. Chyba że znajdą kolejne.

Gdzieś za nami słyhać było Terleckiego. Krzyczał i rzucał inwektywami. Tancerz milczał. W końcu od tego był. Od milczenia i robienia takich rzeczy, jak podrzynanie gardła niewinnym ludziom.

– Jechałaś, żeby go zabić?

– Taki był plan – przyznałam.

- Czyli gdyby cię tu nie było, ci ludzie by żyli?
- Tak, wydaje mi się, że tak. O ile wyszliby z wagonów. Gdyby mnie nie było, fala eksplozji mogłaby rozejść się inaczej...
- Dobra. Wszystko mogłoby być inaczej. Kim oni są?
- Wersja długa czy krótka?
- Jaką wolisz.
- Terlecki, ten, który gada, to bandzior. Szef mafii. Ten drugi, który milczy, to Tancerz, były najemnik. Jego ochrona.
- Co robią w metrze?
- To jest zagadka. Raz w tygodniu Terlecki w otoczeniu ochrony jeździ metrem pod pewien adres.
- Nie mogłaś zasadzić się na niego tam?
- Mogłam, ale obstawiam, że tam jest ktoś niewinny.
- Nieważne. Musimy wyjść stąd w jednym kawałku. A nie mamy broni.
- Strzelili cztery, pięć razy.
- Co mają?
- Na oko em dziewięć.
- Ale co nam to da? Nie wiesz, czy nie mają zapasowych magazynków.
- Fakt.
- Musimy się rozdzielić, żeby dopaść tego całego Tancerza. Kiedy on zniknie, sam Terlecki nie będzie większym problemem.
- Ale gdzie się mamy rozdzielić? Kurwa, jesteśmy zakopani pod ziemią w tunelu, który prowadzi tylko w jedną stronę.
- I to jest drobny problem – przyznał Bezdomny.

Powoli szliśmy w stronę stacji Centrum. Terlecki cały czas krzyczał za nami. Jakieś dwadzieścia metrów dalej dołączyli do nas Patryk i Marta. Chłopak był niezwykle dzielny. Nie rozpadł się, jak to zazwyczaj dzieje się z ludźmi, którzy widzą śmierć bliskich. Jeśli balansował na granicy załamania, to bardzo umiejętnie to maskował.

– Idą za nami – rzucił, ni to pytając, ni to informując.

– Tak – odparłam.

– Mogę zadać pytanie? – wtrąciła się dziewczyna.

– Jasne – powiedziałam.

– Jak myślicie, ale tak poważnie, co tu się odjaniepawliło? Metro wybucha? Zamach?

– Nie sądzę – wtrącił się Patryk. – W Meksyku, gdy zawaliła się estakada linii numer dwanaście, okazało się, że firma, która wygrała przetarg, zaniżyła koszty budowy i potem podczas budowy metra zamiast używać mocnych, dobrych tworzyw czy betonu, poszli w taniochę. W efekcie kilka lat później estakada rozpadła się, zabijając, jak dobrze pamiętam, jakieś trzydzieści osób, a raniąc setkę.

– Ale co to ma wspólnego z nami?

– No wiecie, korupcja w urzędach, tanie materiały budowlane. Może coś, że tak powiem, pierdolnęło, bo ktoś zapłacił za mało za materiały, może oszczędzali, może były lewe przetargi?

– A może kretyni, budując miasto i jego podziemną infrastrukturę na cmentarzu, zapomnieli, że coś może leżeć w ziemi – zastanowił się Bezdomny.

– To znaczy?

– Kiedy przez miasto przechodzi front, staje się ono jego częścią. A front nie należy do najbezpieczniejszych miejsc na świecie.

– Ale przecież wojna była ponad siedemdziesiąt lat temu – zauważył chłopak.

– I dlatego, budując drugą linię, znaleźli bombę?

Nikt z nas nic nie powiedział. Bezdomny miał rację. Nie mieliśmy pojęcia, co tu w zasadzie się stało, a spekulacje w chwili gdy za nami szło dwóch facetów z bronią i bardzo ograniczonym słownikiem, miały tyle sensu, co głosowanie na pana Jakiego.

– Cip, cipko?

Terlecki nie dawał za wygraną. Zapewne nie atakowali nas z obawy, czy nie zasadzimy się na nich gdzieś w ciemności. Mrok był naszą jedyną bronią. Mrok

i pojawiające się gdzieniegdzie kamienie. Jak mawiał Maks – nigdy nie zabieraj noży na strzelaninę. Ciekawe, co pomyślałby o kamieniach...

– Do peronu powinniśmy mieć jeszcze jakieś dwieście metrów – powiedział Bezdomny.

– Czyli jeśli będą chcieli nas zabić, muszą to zrobić za chwilę – dodałam.

– Tak. Ale to działa też w drugą stronę.

– To znaczy?

– Jeśli chcesz go zabić, masz mało czasu.

– Dzięki.

– Mówię poważnie, musisz zdecydować.

– Zdecydowałam w wagonie. Chcę, żebyśmy stąd wyszli, nawet kosztem mojego planu.

– Rozumiem.

Szliśmy dwójkami. Dzieciaki przed nami. Narzuciliśmy szybkie, ale bezpieczne tempo. Nie hałasowaliśmy, a Terlecki nie miał pojęcia, gdzie jesteśmy. A bał się ryzykować.

Według wyliczeń Bezdomnego powinniśmy niebawem zobaczyć światła peronu. Nawet jeśli szlag trafił oświetlenie, to gdzieś na horyzoncie mroku powinna pojawić się większa czarna plama niż w tunelu.

Ale nic nie widzieliśmy. Nic się nie zmieniało. Kilka metrów wcześniej potknęłam się o kamień, który podniosłam z ziemi. Był spory, zakończony ostrą krawędzią. Nie był nożem ani pistoletem, ale przynajmniej był.

Młodzi przyspieszyli. My szliśmy nieco wolniej, nasłuchując, czy wyrzucane przez Terleckiego w powietrze cipki zbliżały się, czy oddalały.

– Hej, cip, cipko, wiesz, co się stanie? Jak nie wiesz, to ci powiem. Wyprujemy ci flaki przez tę twoją cipkę.

– On chyba się nie uspokoi – wyszeptałam do Bezdomnego.

– Najwyraźniej ma jakiś problem z kobietami.

– Ta...

Rozmowę przerwała nam Marta. Podbiegli do nas z Patrykiem. Dziewczyna cała się trzęsła.

- Co jest? – zapytałam.
- Nie... nie... – dyszała.
- Słyszemy was! – odezwał się Terlecki.
- Ciszej – rzuciłam do Marty.
- My nie...
- Co nie? – dopytywałam.
- Nie wyjdziemy stąd. Nikt nie wyjdzie stąd żywy – powiedział Patryk.

GODZ._13.11

Z materiałami dotyczącymi ciała Obłuckiego i listu, który znaleźli u niego w domu policjanci, do centrali sztabu kryzysowego przyjechał sam komendant główny policji. Generał inspektor Bałys trzymał teczkę z danymi przy sobie, czekając na Kwiecińską. Przytulał ją tak mocno, jakby to było jego dziecko albo los na loterię z milionową wygraną.

Kwiecińska ruszyła niespiesznie w jego stronę. Wiedziała, że jakiegokolwiek zachowanie odbiegające od normy mogłoby wydać się podejrzanym, więc zachowywała się tak, jak zawsze – majestatycznie i profesjonalnie.

- To jest to? – zapytała generała.
- Tak – odparł.
- I jak?
- Nie mieliśmy czasu na badania wideospektrokomparatorem, ale wszystkie inne analizy wskazują, że tak.
- Ten wideospektrokomparator. Co to jest?
- Maszyna umożliwiająca analizę obrazu w pełnym zakresie promieniowania elektromagnetycznego, z wykorzystaniem różnorodnych filtrów i oświetlenia.

Czyli mówiąc najprościej, gdy przepuścimy przez nią kartkę, wyjdzie, czy są tu jakieś zamazane, usunięte czy dopisane zapiski.

– Znaczy czy ktoś przy tym majstrował?

– Tak.

– Kiedy będziemy mieć pewność?

– W zasadzie już ją mamy. Pismo jest potwierdzone, a spektrometr Ramana wykluczył jakiegokolwiek nadpisanie tekstu.

Wiedziała, co to jest spektrometr Ramana, i była pełna podziwu dla ludzi pana R.

– A jak ESDA?

Był to elektrostatyczny system odczytywania obrazu na dokumencie, który służył do ujawniania śladów pisma wgłębionego, czyli, dla przykładu, czy fałszerzowi pana R. nie omsknęła się łapka i nie zrobił śladów, które gołym okiem nie były widoczne, za to maszyna wychwytywała wszystko. Było dokładnie tak, jak mówił pan R. Pracowali na technologii sprzed piętnastu lat. Pośpiech śledczych i pieniądze – dwie rzeczy, które są potrzebne do popełnienia zbrodni doskonałej.

– W porządku. Pani Anno, to jego. Ten skurwysyn wszystkich nas oszukał.

– Trudno mi w to uwierzyć... – Zawiesiła głos.

Nigdy nie wyskakuj przed szereg z oskarżeniami. Jeśli chcesz, aby ludzie uwierzyli w to, co mówisz, musisz zachowywać się jak ktoś zraniony. Ktoś, kto do ostatniej chwili wierzył w czyjąś niewinność. Wtedy będą mieli cię za naiwniaka, który dał się zrobić w konia. Będą ci współczuć, zamiast ganić. Możesz paść ofiarą kpin, ale tylko za swoją naiwność. Będziesz dobrym człowiekiem, który dał się wykorzystać.

– Pani Anno, ludzie tacy są. Nawet pani nie wie, z kim mamy u nas do czynienia. Zwyrondnialcy, zabójcy, oszuści. Pani myśli, że oni są jacyś inni? Że czymś się wyróżniają? Rozczaruję panią. Niczym. Jakiś czas temu, gdy jeszcze nie pełniłem mojej obecnej funkcji, była sprawa pewnego nauczyciela. Na-u-czy-cie-la. Człowieka, który uczy dzieci. Pewnego dnia dostał kompletnego pierdolca na

punkcie dziewczyny. Żeby dziewczyny. To była kobieta w jego wieku, pięćdziesiąt plus. Szykowna babeczka. I ten facet oszalał. Najpierw, jak mu dała kosza, chodził za nią, potem podrzucił pod drzwi czekoladki, a potem... – Generał zawiesił głos.

– Co było potem?

– Dźgnął ją czterdzieści siedem razy w klatkę piersiową.

– A co policja?

– To samo, co u was. Kobieta zgłaszała, ale my uznaliśmy, że to miły facet, w szkole go lubiano, spokojny, bez nałogów. Specjalista od Mickiewicza. Wygrał ileś konkursów. Napisał kilka prac o nim. „Recepcja *Sonetów krymskich* w kontekście świata przedstawionego w *Dziadach*”. Pamiętam tytuł jednej z tych prac do dziś.

– Co z nim?

– Wyh... Znaczący powiesił się w celi. Zabił kobietę i powiesił się w celi. A mówię to pani tylko po to, żeby pozbyła się pani skrupułów. Żli ludzie często udają dobrych. Niech się pani nie da zwieść. Obłucki oszukał wszystkich, a potem sytuacja go przerosła. Teraz w rękach pana prezydenta i pani jest uratowanie tego miasta. I wiem, że dacie radę. Poza tym macie nas do pomocy. Całe służby mundurowe są po państwa stronie. Tego, co zrobił Obłucki, nie dało się przewidzieć. Bo przecież pani tak samo jak ja musi ufać. Nasza praca oparta jest na zaufaniu i budowaniu kadry. Pani i nasze miasto mieliśmy to nieszczęście, że w kadrze przemknął się ktoś, kogo nigdy w niej być nie powinno.

– Dziękuję – odparła, nie kryjąc wzruszenia.

– Nie ma za co.

– Idę do prezydenta. Muszę mu wszystko opowiedzieć. Lada moment konferencja.

– Niech pani pędzi i proszę mu powtórzyć: wszyscy jesteśmy po jego stronie. Odbudujemy to miasto.

– Dziękuję. Jeśli chce pan wysłuchać przemówienia, proszę zostać.

Generał pokiwał głową. Kwiecińska odwróciła się do niego plecami i ruszyła w stronę pomieszczenia, w którym siedział prezydent. W życiu z niczego nie cieszyła się tak bardzo, jak ze wsparcia policji w jej działaniach. Teraz była już pewna, że to nie był bardzo dobry plan. On był genialny. Gdyby mogła, ucałowałyby się namiętnie. Nie mogła. Nie mogła też okazywać emocji. Szła więc przed siebie z kamienną miną, nucąc w duchu ukochanej *Ave Maria*.

GODZ._13.12

Władysław Bartoszewski mawiał, że nie ma sytuacji bez wyjścia tam, gdzie jest człowiek, który posiada wolę walki i wytrwania, który jest opanowany, czujny i twardy. Problem polega na tym, że nawet najbardziej czujny i twardy człowiek nie zrobi nic, gdy stanie naprzeciwko muru.

Przejście w stronę peronów było zasypane. Siła podmuchu musiała uszkodzić sklepienie i część tunelu po prostu się zapadła. Byliśmy odcięci. Przed nami gruz, za nami faceci z bronią. Podobno nawet ciele w sytuacji bez wyjścia nauczy się pływać. Tyle że my nie mieliśmy za bardzo gdzie pływać. A rzucanie kamieniami w człowieka z bronią nie było najlepszym pomysłem. Oczywiście była szansa, że komuś z nas uda się go pokonać, ale też i duże prawdopodobieństwo, że zanim to nastąpi, część z nas zginie. A trupów mieliśmy już zbyt wiele.

– Będą tu za pięć minut – rzucił Bezdomny.

– Co robimy? – zapytała Marta. Brzmiała tak, jakby miała położyć się i płakać.

– Musimy was ukryć i przygotować się do walki. Nic innego nam nie zostało.

W odcinku tunelu, który mieliśmy do dyspozycji, nie było żadnych wgłębień i wnęk, które pozwoliłyby ukryć dzieciaki. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to spróbować w jakiś sposób ukryć ich pod gruzami. Tyle że na to było naprawdę niewiele czasu.

– Jeśli wybuch naruszył strop, to może da się jakoś przebić do tunelu obok – zastanawiał się Bezdomny na głos.

– Jak?

– Nie wiem. Wszystko tu musi być delikatne i kruche. Gadam głupoty, wiem, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– A gdybyśmy wdrapali się na szczyt tej hałdy?

– Zginęłabyś pod sufitem.

– Kurwa – zakląłam. – Górnicy w zawalonych kopalniach szukają szczelin, przez które wieje wiatr. Jeśli je znajdą, wiedzą, że gdzieś za nimi jest przejście.

– Ale górników nie gonią mordercy – zauważył zrezygnowany Patryk.

– Ale goni ich brak tlenu i wody. Skuteczność w pozabawianiu życia taka sama – odpowiedziałam. – Mamy jeszcze kilka minut – dodałam, ruszając w stronę ściany po lewej stronie.

Macałam mur. Był zniszczony, ale stabilny. Bezdorny bez słowa przekroczył w bezpieczny sposób szynę po prawej i zrobił to samo.

A potem zdarzył się cud.

Zresztą nie wiem, czy można mówić o tym w kategorii cudu. Fortuna sprzyja odważnym. Albo głupim. Albo i tym, i tym.

Bezdorny krzyknął. Odgłosowi, jaki wydał z siebie, towarzyszył huk. Ruszyłam w jego stronę. Po kilku skokach zobaczyłam, że mój towarzysz w połowie zniknął. W ciemności majaczyła połowa ciała. Druga tonęła w jeszcze większym mroku. Dopiero gdy stanęłam blisko, zobaczyłam, że Bezdorny dosłownie wtopił się w ścianę.

Chwilę później wyłonił się z dziury.

– Tam jest przejście – wychrypiał, plując kurzem. – Nie mam pojęcia, dokąd prowadzi, ale jest. I jest cholernie wąskie.

– Słucham? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Przejście. Tunel. Huk wie co.

„Cipka” rzucona przez Terleckiego była coraz bliżej.

– Nie wiem, co to jest – powiedział Bezdorny. – Ale nie mamy zbyt wielu opcji. Na moje oko to stara wentylacja. Wybuch naruszył ściany i przejście się

otworzyło. I jest to jedyna droga wyjścia.

– Więc co? Albo wchodzimy do wąskiego przejścia pod ziemią, w którym możemy się udusić...

– Albo giniemy w starciu z twoimi kolegami.

– To nie są moi kole... – Nie zdążyłam dokończyć.

Marta przepchnęła się obok mnie, przekroczyła szyny i wślizgnęła się w tunel.

– Panie przodem – powiedział Bezdomny.

Z ciemności w ciemność. Jakbyśmy mieli jakiegokolwiek wyjście. Odczekałam, aż Marta zniknie w mroku, i wsunęłam się za nią.

Chwilę zajęło mi opanowanie odbijania się łokciami. Żeby posuwać się sprawnie przed siebie, musiało pracować całe ciało. Łokcie nadawały rytm, za nimi stopy. Było wąsko, ciemno, a w nosie kręciło mi się od kurzu. Co było zabawne, bo przecież od kilku godzin wdychałam pył i powinnam mieć nos zatkany na amen. Nie miałam. Za to w oczach kręciły mi się łzy i powoli zaczynało brakować mi tchu.

Za sobą słyszałam czołgającego się Patryka. Nasz podziemny peleton zamykał Bezdomny. Terlecki i Tancerz zapewne byli już w miejscu zawału. Minutę, może dwie będą zastanawiać się, gdzie wyparowaliśmy, a potem zaczną szukać. Znajdą dziurę, gdy tylko zaczną macać ściany. Jedyne wyjście. Terlecki ważył najwięcej z nas. Czy zmieści się w tunelu? Miałam nadzieję że nie, ale wszystkie moje nadzieje związane z tą podróżą okazywały się abstrakcyjnie płonne. Wejdzie do środka i zacznie nas ścigać. Zapewne puści przodem Tancerza, który był lżejszy i silniejszy. Ale nie odpuści. Nie tylko ze względu na mnie. Tunel był jedyną drogą ucieczki. A on musiał wyjść z metra. W przeciwnym wypadku, jeśli służby ratunkowe zejdą na dół, będą zastanawiały się, jakim cudem wybuch postrzelił dwie osoby. I jak pewna kobieta poderżnęła sobie gardło. Za dużo tłumaczenia. A Terlecki nigdy nie lubił się tłumaczyć. Więc będzie brnął za nami, uchodząc przed odpowiedzialnością.

Czołgając się przez tunel, uciekałam myślami na inny kontynent. Żeby nie zwariować i oderwać się od przytłaczającej maleńkiej przestrzeni. Czytałam jakiś czas temu o wycieczkach, które oferują turystom firmy w Wietnamie. Jakies siedemdziesiąt kilometrów na północ od Sajgonu znajduje się kompleks tuneli Cu Chi. Podczas wojny wietnamskiej ich armia, aby osiągnąć większą skuteczność i zaskoczyć przeciwników, wykopała jakieś dwieście pięćdziesiąt kilometrów podziemnych tuneli. Partyzanci używali ich jako podziemnych tras, które dawały schronienie, były domem, a gdy zaszła potrzeba – areną walki. W tunelach znajdowały się szpitale, kuchnie, sypialnie, sale konferencyjne i arsenały. Zaskoczeni Amerykanie, którzy nie spodziewali się podziemnej wojny, ginęli jak muchy. Do tego tunele były tak wąskie, że cudowni amerykańscy surferscy żołnierze nie byli w stanie się tam zmieścić. Dlatego gdy w końcu odkryli sieć tuneli, szukali jak najmniejszych żołnierzy, by zrobić z nich tak zwane szczury tunelowe. Ludzi, którzy schodząc pod ziemię, będą w stanie założyć ładunki wybuchowe.

Ciasne tunele odegrały istotną rolę w trakcie kilku strategicznych operacji wojskowych, w tym słynnej ofensywy Tet z 1968 roku, kiedy oddziały Wietkongu i regularna armia północnowietnamska natarły na zaskoczonych Amerykanów. Choć ofensywa miała zadać ostateczny cios Amerykanom, nie przyniosła oczekiwanego zakończenia wojny. Więcej, przyniosła militarną przegraną Północy. Zadała jednak ciężkie straty zarówno południowym Wietnamczykom, jak i Amerykanom. To wtedy opinia publiczna w USA przestała popierać udział armii amerykańskiej w tej wojnie. Przez Stany przetoczyły się spektakularne protesty, co stopniowo doprowadziło do politycznej kompromitacji Stanów Zjednoczonych, a wreszcie wycofania ich wojsk z Półwyspu Indochińskiego. Tyle że zanim do tego doszło, w celu zniszczenia systemu tuneli amerykańskie bombowce B52 zrzuciły setki pocisków, pozostawiając ogromne kratery i zamieniając obszary bujnej dżungli w poszatkowane dziurami krwawiące spod ziemi piekło.

Dziś ostało się około stu dwudziestu kilometrów tuneli, które przez mieszkańców Wietnamu postrzegane są jako świadectwo odporności

i niezłomności ich narodu. Jedna z moich koleżanek w szkole opowiadała, że będąc w Wietnamie, zdecydowała się na trwającą pół dnia wycieczkę po kompleksie tuneli Cu Chi. Szkoda, że ja na niej nie byłam, bo ponoć podczas zwiedzania tuneli turyści poznają metody partyzanckiej walki oraz mechanizmy pułapek, które zastawiano na amerykańskich żołnierzy. Choć z drugiej strony, czółgając się teraz w tej ciasnocie, pomyślałam, że nigdy nie zrozumie, dlaczego ktoś ma płacić ciężkie pieniądze za to, że pół dnia spędzi w ciemnych tunelach o wysokości sześćdziesięciu centymetrów jakiegoś sześć metrów pod ziemią. Rozumiem, że to ma pokazać piekło wojny i co przeżywali tamci żołnierze, ale prawda jest taka, że cywil nigdy nie zrozumie, co znaczy wojna, póki sam na nią nie trafi. To jak ci wszyscy piękni, młodzi chłopcy z wydzieranymi kotwicami Polski Walczącej. Mówią wiele słów o poświęceniu i odwadze, o tym, że daliby się zabić za ojczyznę, jak dawali się zabijać młodzi harcerze, ale gdyby wybuchła obok nich bomba, pierwsi uciekliby, piszcząc, do swoich siłowni, dilerów, met, kochanek i pierdolonych piesków chihuahua czy yorków, które dumnie prowadzą na smyczach, odwracając wzrok od rozrzuconych przez zwierzaki cuchnących balasów.

Z zamyślenia i wykonywania mechanicznych ruchów wyrwał mnie głos Marty.

– Koniec – wyszeptła.

– Co?

– Krata.

Czołgaliśmy się pewnie z kwadrans, a może dłużej. W ciemności czas płynie inaczej. Podobnie jak inaczej rozchodzi się echo. Terlecki był za nami, ale jak daleko? Nie miałam pojęcia. Wiedziałam tylko, że koniec tunelu znaczy mniej więcej tyle, że tym razem naprawdę nikt stąd nie wyjdzie żywy.

– Możesz się skulić i oprzeć o nią? – wydusiłam z siebie.

– Chyba tak – odparła.

– To zrób to. I uważaj. Będzie boleć.

– Co?

– Wszystko. Daj znać, jak się skulisz. I chroń głowę.

Kiedy dała znać, że się ułożyła, zaczęłam z całej siły na nią napierać. Wiedziałam, że ją to boli. I że był to początek bólu, bo lada moment dołączą do mnie Patryk i Bezdomy, ale nie mieliśmy wyjścia. Musieliśmy wyważyć kratę, licząc na to, że była stara, zardzewiała i że za nią znajduje się jakaś przestrzeń.

Marta załkała z bólu. Napieraliśmy na nią w trójkę. Tymczasem za nami dyszał zbliżający się Terlecki.

Coś zachybotowało.

Rozległ się odgłos metalu ocierającego się o kamień. A potem runęliśmy w mrok.

GODZ._13.32

Anna Kwiecińska stała na środku na szybko zmontowanej sceny. Przed nią klębili się zaproszeni dziennikarze. Błyskały flesze. Panował gwar. Jako prawa ręka prezydenta zawsze prowadziła jego konferencje. Nie chodziło o to, by pchać się przed kamery, nic z tych rzeczy. Zawsze miała szósty zmysł. Wyczuwała nastroje dziennikarzy. Kiedy pragnęli krwi, miała jeszcze kilkanaście sekund, aby uprzedzić kuzyna. Zmienić przemówienie, grać emocjami tak, aby jedyną krwią, jakiej skosztują, była ich własna.

– Szanowni państwo, przepraszamy za opóźnienie. Chciałam zaznaczyć, że konferencja będzie miała inny przebieg, niż planowaliśmy. O tym opowie pan prezydent. Za kilka minut wyjaśni wam mechanizm wypadków w metrze.

Rozległ się gwar. Ale nie był to gwar żądny krwi. Pragnęli odpowiedzi. Pragnęli wiedzy. A oni im ją dadzą.

GODZ._13.33

Upadłam na Martę. Na mnie wylądował Patryk. Bezdomny w ostatniej sekundzie wyhamował upadek.

– Jesteście cali? – zapytał, wisząc na szczycie dziury, która prowadziła do jakiegoś pomieszczenia.

– Tak – odparłam. – Żyjemy. Nie jest wysoko. Może dwa metry.

– Odsuńcie się. Schodzę.

Podniosłam Martę. Patryk wstał sam. Dwa kroki dalej pomieszczenie zwężyło się.

Bezdomny skoczył.

– Dziwnie tu pachnie – powiedziałam.

– Prochem – odparł.

– Gdzie my jesteśmy?

– Nie mam pojęcia, ale idźmy przed siebie. Za chwilę pojawią się twoi koledzy.

– To nie są... – Ugryzłam się w język. Zamiast kontynuować, zapytałam Martę, czy dobrze się czuje.

– Czuję się tak, jakby przeszło po mnie stado bizonów.

– Czyli żyjesz – skwitował Bezdomny.

Szliśmy przed siebie. Pomieszczenie, które wydawało się całkiem spore, robiło się coraz węższe.

– Coś mi tu nie gra – powiedziałam, wyciągając przed siebie dłonie.

W ciemności macałam przestrzeń, tyle że to, czego dotykałam, nie było ścianami. To były skrzynie. Ustawione jedne na drugich skrzynie. To one formowały tunel, którym przechodziliśmy.

– Znam za dobrze ten zapach – powiedział Bezdomny.

– To może nas oświecisz? Gdzie my jesteśmy? – odparłam.

– Nie wiem, jakim cudem, i nie wiem gdzie, ale właśnie dotarliśmy do jakiejś zbrojowni. Myślę, a w zasadzie to jestem pewny, że wokół nas jest składowisko broni.

– Że jak? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Że tak – wtrącił się Patryk. – Są takie warszawskie miejskie legendy, że podczas powstania żołnierze składowali w tunelach broń. Potem przyszły naloty i wszyscy uznali, że Niemcy musieli je zniszczyć.

– Jak w Wietnamie – wyszeptałam.

– Co? – zapytał chłopak.

– Kiedy tu się czołgaliśmy, myślałam o tunelach Cu Chi, gdzie Wietkong ponoć miał nawet kuchnie i sale do imprez.

– Wojna zawsze jest taka sama – wyjaśnił Bezdomny. – Cu Chi, bitwa pod Arras... Kiedy nie możesz żyć normalnie, wojna wymaga od ciebie nowych okoliczności. Każe ci się przystosować. W tysiąc dziewięćset siedemnastym roku alianci stworzyli podziemne miasto. Niewiele im ono dało, pod Arras zginęło ponad sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy. Ale ponoć mieszkały w nim ponad dwadzieścia cztery tysiące ludzi. Więc dlaczego nie w Warszawie? Kanały dawały idealną osłonę. I Niemcy na początku nie wiedzieli, że chłopcy zeszli pod ziemię. Tyle że w ostatecznym rozliczeniu nie jest ważne, gdzie umrzesz. Na ziemi czy pod nią, bo i tak jest ci to obojętne.

– Czy znajdziemy tu coś, czym możemy się bronić? – Zmieniłam temat.

– Pewnie tak, ale najpierw dojdźmy do końca arsenału. Trzeba ukryć dzieciaki.

– Jasne.

Szliśmy więc dalej. Szpaler skrzyń skończył się, a wokół nas zrobiło się o wiele więcej miejsca. Bezdomny wyciągnął ręce i zaczął sprawdzać otaczającą nas rzeczywistość.

Zatrzymał się.

Oparł dłonie na czymś, co było najprawdopodobniej stołem lub jakąś ladą.

– Pytałaś, czy mamy się czym bronić. Więc mamy. – Tym razem w jego głosie pojawiła się nutka radości. – Granatów bym nie ruszał, ale leży tu kilka noży i, jak mi się wydaje, bagnet.

– Wystarczy.

– Jeśli podejdziesz wystarczająco blisko...

Gdy tylko powiedział te słowa, kilka metrów za nami rozległ się huk. Bezdomny złapał za rękę Patryka.

– Gdzie Marta? – wyszeptał.

– Tu – odpowiedziała dziewczyna.

– Wejdźcie pod stół i wsuńcie się najdalej, jak się tylko da. A ty chodź ze mną – zarządził.

Pobiegliśmy przed siebie, hałasując przy tym, jak tylko potrafiliśmy, byle odciągnąć Terleckiego i Tancerza od miejsca, gdzie ukryliśmy dzieciaki. Przyglądałam się Bezdomnemu i byłam pewna dwóch rzeczy. Mogłam mu ufać. I nigdy nie chciałabym mieć go za wroga. Miał pewność siebie, która sprawiała, że człowiek czuł się bezpiecznie. Kiedyś dawno temu podobną pewność siebie miał Maks. Dawno, dawno temu.

Na końcu pomieszczenia trafiliśmy na dwoje drzwi. Szarpnęłam na jedne. Zamknięte. Bezdomny wyszukał klamkę w drugich. Ustąpiła. Za drzwiami był kolejny tunel, ten był jednak dość krótki, zakończony kolejnymi drzwiami. Za nimi zaś znajdowało się pomieszczenie, w którym unosił się dobrze znany mi zapach.

– Ktoś tu zginął. I to całkiem niedawno – powiedziałam, wchodząc do środka.

Gdy przesuwalam się wzdłuż ściany, potraçałam nogą jakieś przedmioty. Odruchowo spojrzalam w dół. W ciemności zamajaczyło mi coś, co kształtem przypominało granaty zaczepne typu stielhandgranate.

Bezdomny podał mi nóż, który zabrał ze stołu.

– Pierwszy wbiegnie facet z pistoletem. Pozwól mu biec dalej. Drugim będzie twój gość.

Kiwnęłam głową.

– Zrób, co musisz. Zajmę się tym uzbrojonym – powiedział.

Nie chciałam wnikać, co robi.

Czekałam w ciemności.

Dłonie mi drżały.

Za kilkadziesiąt sekund nadejdzie moment, na który czekałam ponad dwadzieścia lat. Moment, który ostatecznie uwalniał mnie od tego, przed czym uciekałam. Uwalniał mnie od samej siebie.

Co czułam? Myślałam, że to będzie podniecenie. Radość. Ekscytacja. A czułam tylko zmęczenie. Byłam zmęczona, obita, sponiewierana i pozbawiona energii. Ścisnęłam w dłoni nóż, ukryta w ciemności niczym złodziej. Nie było w tym bohaterstwa. Nie było oczyszczenia. Układałam w głowie przemówienie, jakie wygłoszę. Zdania, jakie powiem Terleckiemu, ale każde z nich było pozbawione sensu. Czy musiałam coś mówić? Byliśmy tylko drapieżnikami. Zwierzętami w dżungli, które walczą o teren. O to, by mogły istnieć, bo nie potrafią i nie mogą żyć obok siebie.

Tancerz delikatnie nacisnął kławkę.

W mroku widziałam jego sylwetkę. Widziałam kontur pistoletu. Kilka metrów dalej Bezdomy przewrócił jakiś przedmiot. Tancerz niczym grzechotnik rzucił się w stronę, z której dobiegał dźwięk.

Czekałam.

Minął mnie.

Wysunęłam nóż. Nawet nie wiedziałam jaki. Ścisnęłam mocno jego rękojeść.

Poczułam zapach potu.

Terlecki.

A potem wyprostowałam ramię.

Nabił się na nóż niczym prosię na rożen.

Tyle.

Lata czekania.

Lata ucieczki.

Wszystko sprowadzone do jednego ciosu w ciemności.

Padł strzał. Zaczęło dzwonić mi w uszach. Tancerz krzyknął.

Koniec.

To miała być wielka walka. Pojedynek niczym w O.K. Corralu.

Ale tak się nie stało.

Świat nie kończy się z hukiem. Świat kończy się ze skomleniem.

Nie ma wielkiej kumulacji. Jest pospolita śmierć.

– Żyjesz?! – krzyknęłam.

– Tak – odpowiedział Bezdomny. – Zawołaj dzieciaki. Jesteśmy w kanale. Leży tu jakiś koleś rozerwany przez granat, i to całkiem niedawno. Więc myślę, że zaraz wyjdziemy na ulicę.

ROZDZIAŁ 10

GODZ._13.45

Po szokujących informacjach na temat sabotażu, jakiego dopuścił się pracownik Ratusza, prezydent Bolesławski wygłasza przemówienie. Transmitujemy je na żywo.

„Pragnę powiedzieć wszystkim mieszkańcom Warszawy, tak jak powiedziałem prezydentowi, premierowi i ministrom: mogę wam obiecać tylko krew, znoj, łzy i pot. Staje przede mną zadanie najcięższego rodzaju. Przede mną, ale i przed Warszawą wiele, wiele długich miesięcy walki i cierpień. Pytacie mnie o politykę. Odpowiadam: ukarać winnych tej mrocznej, tragicznej zbrodni i wprowadzić szereg ustaw, które będą zapobiegać takim zdarzeniom w przyszłości. To nasza polityka. Pytacie mnie o cel. Mogę odpowiedzieć jednym słowem: zwycięstwo. Zwycięstwo, choćby droga do niego była długa i ciężka – bo bez zwycięstwa nie ma przetrwania. Warszawa się nigdy nie podda, a ja podejmuję się realizacji mojego zadania z optymizmem i nadzieją. Jestem pewien, że nasza sprawa znajdzie odzew w narodzie. W tym momencie czuję się upoważniony poprosić o pomoc wszystkich, a więc mówię: Chodźmy razem, chodźmy razem naprzód, połączmy nasze siły... Dziś Warszawa jest całą Polską, a Polska Warszawą”.

Jeszcze nigdy żaden prezydent nie wygłosił takiej mowy. Serce się rwie i choć dusza płacze, wiemy, że będzie lepiej, że będzie piękniej. Żołnierze z jednostki dwa trzy zero pięć zeszli do kanałów drogą, którą, według policji, pokonał Kazimierz Obłucki. Ratownicy górniczy zaczynają akcję. Jeszcze będzie wspaniale.

Dlatego ze smutkiem, ale i z radością chciałem na koniec mojego dzisiejszego radiowego dyżuru puścić wam piosenkę, która... która niech prowadzi nas ku lepszemu życiu. Zespół The Lovin Spoonful i Summer in the City.

GODZ._14.01

Marta i Patryk siedzieli na murku. Dopiero teraz w słonecznym świetle widziałam, jak bardzo są zmęczeni i brudni. Marta miała zaschniętą krew na nogach. Nie była to jej krew. Patryk powoli się rozpadał. Czasami cel trzyma nas przy życiu, pozwala zlepić w jedno rozbite elementy, ale gdy tylko cel znika, klej wyparowuje także. Dzieciak widział śmierć matki, brodził we krwi. Dla niego wyjście z tunelu było początkiem końca dawnego życia. Rozpadem. Chaosem.

– GROM wszedł – powiedział Bezdorny. – Za nimi policja.

– Skąd wiesz, że to GROM?

– Widziałem w sieci ich znaczki.

– Bo ci uwierzę.

– To nie wierz. Nie wiem, jak ty, ale ja znikam. Nie potrzebuję zeznań i całego tego cyrku.

– Jasne.

– Tobie też radzę. Nie odpuszczaj ci.

– Nie żyję. Już dawno temu mi odpuścili.

– Ja też. Ale nawet trup powinien nie rzucać się w oczy.

Miał rację.

– Trzy pytania. Odpowiesz mi?

– A potem znikniesz?

– Zniknę.

– Pierwsze?

– Zakreślałeś coś w książce, którą czytałeś. W tej *Annie Kareninie*. Co to było?

– Cytat. Lubię go. Warto o tym pamiętać. Znaczy o tym, co pisał Tolstoj: „Grzebiąc w duszy, wydobywamy nieraz to, co leżałoby tam niepostrzeżenie”.

– Nie jesteśmy tym, za kogo się podajemy...

– Raczej: nie zaglądam tam, gdzie możesz znaleźć rzeczy, których nie chcesz odkryć. Drugie pytanie?

– Zastanawiam się, co tam wybuchło. Masz jakiś pomysł?

– Pewnie dowiemy się z mediów, że jakiś niewybuch z drugiej wojny. Ale gdybym miał obstawiać, to powiedziałbym, że każdy taki arsenał, na jaki trafiliśmy, był zabezpieczany różnymi pułapkami z materiałów wybuchowych. Mieliśmy ogromne szczęście, że wyleciały w powietrze tylko te pułapki, a nie arsenał. Trzecie?

– Jak się nazywasz?

Nie odpowiedział od razu. Uśmiechnął się tylko.

– A co, będziesz mnie szukać?

– Nie. Byłam ciekawa, po prostu. Jak nie chcesz, nie mów.

– Przyjaciele mówią na mnie Diabeł.

A potem odszedł. Patrzyłam, jak jego sylwetka rozpływa się w gorących promieniach czerwcowego słońca.

Miasto krwawiło. Ja krwawiłam. Policja zbliżała się do dzieciaków. Pora na mnie, pomyślałam. Póki nie zaczną mnie gonić.

POSŁOWIE

To nigdy nie miała być powieść. Ponad rok temu zadzwonił do mnie jeden z producentów filmowych z prośbą, czy nie wymyśliłbym mu katastroficznej historii. Wytyczne były dość proste – musi być karambol w tunelu i jakiś wybuch. Wymyśliłem więc historię o tym, jak podczas budowy trzeciej linii metra eksplodują niewybuchy z powstania warszawskiego. Pod ziemią zostają uwięzieni ludzie, dochodzi do kraks, generalnie masakra made in USA. Takie było w końcu zamówienie, producenta i stacji telewizyjnej. Przyjemna to praca, ale frustrująca, bo choć projekt się spodobał, to... przeleżał na półce rok. Po roku skończyły się prawa autorskie i historia do mnie wróciła. Tak to bywa. Dopóki nie ruszą zdjęcia, niczego w filmie nie można być pewnym.

Tyle że ja naprawdę polubiłem tę historię. A kiedy lubię jakąś historię, nie daje mi ona spokoju. Oczywiście film to inna narracja, inny rodzaj wyobraźni, ale powoli, metodycznie zacząłem *Metro* układać na nowo. Konspekt, który miał piętnaście stron, zaczął się rozrastać, a wraz z nim historia zaczynała się zmieniać. Optymistyczna opowieść o dziewczynie, która ratuje ludzi z opresji, i o upartym pracowniku Ratusza, który doprowadza do upadku prezydenta miasta, zaczęła nabierać coraz czarniejszych barw, zupełnie jakbym podświadomie coraz dalej uciekał od wyeksploatowanej konwencji katastroficznej opowieści, którą znamy z takich filmów, jak *Płonący wieżowiec*, ale też – uwaga – *Szczęki*. *Metro* wyskoczyło ze swoich torów i popędziło w stronę, której nawet nie planowałem.

Jeśli tu dotarliście, wiecie, jak ta powieść wygląda. Jej konstrukcja zajęła mi miesiące pracy. Powód? Użyję jeszcze jednego filmowego porównania. Nigdy nie

zapomnę, jakie wrażenie zrobił na mnie początek filmu *Predators*. Ten moment, w którym poznajemy bohatera, gdy spada on z nieba na Ziemię. Nie wiemy, kim jest, nie wiemy, co się stało. Jesteśmy od początku w centrum akcji, bez zbędnego zwracania sobie głowy wprowadzeniem postaci. (Ale jeśli ktoś jest dociekliwy, zorientuje się, że moja bohaterka Kalina tak naprawdę nie spadła z nieba, tylko z jednej z moich poprzednich powieści – z *Furii*).

Ten efekt chciałem uzyskać. Wrzucenia w środek akcji, tak aby nie myśleć za wiele o tym dlaczego, tylko działać. Na myślenie przyjdzie czas.

Drugi efekt, jaki mi się marzył, to zabawa z prawdą. Jeśli akcja powieści toczy się w ciągu zaledwie kilku godzin 24 czerwca 2019 roku, to powinny pojawić się w niej zdarzenia, które rozegrały się tego dnia. Prawdziwe zdarzenia, które potem wraz rozwojem fabuły oczywiście ustępują miejsca fikcji, ale nadadzą jej też pewien rys autentyzmu. A co by było, gdyby... Nie wiem, czy to się udało, ale warto było spróbować.

Oczywiście wybuch w warszawskim metrze nigdy się nie wydarzył, ale żeby o nim pisać, musiałem podpytać ludzi pracujących w metrze właśnie. W tym miejscu wypada, żebym podziękował Agnieszce Taterze, która w czasie, gdy pisałem tę powieść, pracowała w dziale promocji Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy, za to, że skontaktowała mnie z panią Anną Bartoń z Metra Warszawskiego. Przepraszam za wszystkie głupie pytania. Oczywiście wszystko sobie potem wymyśliłem i poprzekręcałem, ale żeby to zrobić, potrzebowałem wiedzy, którą dysponowała pani Ania. Dziękuję, że się nią ze mną podzieliła.

Nie tylko przekręcam w tej powieści wiedzę na temat działania metra w Warszawie, ale pozwoliłem sobie też przesunąć w czasie wypadek, do którego doszło w Meksyku w 2021 roku. Rządowe zaniedbania, tanie materiały, przekręcone przetargi. To wszystko doprowadziło do tragedii. Ten przykład był mi potrzebny, więc przenieśliśmy go do 2019 roku. Ale sięgnąłem też do dalszej przeszłości. Przemówienie prezydenta Bolesławskiego jest niemal dosłownym cytatem mowy, którą 13 maja 1940 roku w Izbie Gmin wygłosił Winston Churchill,

obejmując urząd premiera Wielkiej Brytanii. Oczywiście okoliczności są nieporównywalne, ale to było przemówienie warte tego, by je przypomnieć.

Chcę podziękować także Grzegorzowi Wydrowskiemu, prezesowi fundacji „Sprzymierzeni z GROM”, za uwagi dotyczące zarówno wybuchów, jak i potencjalnego udziału jednostki 2305 w takiej akcji. Wielkie podziękowania należą się także Pawłowi z Dwudziestego Trzeciego Maja za to, że chciało mu się mnie słuchać, gdy opowiadałem o tym, jak chcę „wybuchnąć” miasto, no i za to, że wytłumaczył mi, że w rzeczywistości jednostka zjawiałaby się wcale nie tak szybko. Mojej redaktorce Mai Strzeżek za cierpliwość i za to, że z anielskim spokojem znosi wszystkie moje redakcyjne fanaberie, czyli bezustanne dopisywanie pierdół po oddaniu tekstu. Profesor Monice Całkiewicz za najcudowniejszą rozmowę świata, którą poniżej przytaczam dosłownie:

Robert: Hej, jest sprawa. Wyhuštałem faceta, ale muszę przenieść zwłoki. Zajmie to chłopakom maks pół godziny. Czy ktokolwiek się zorientuje, że je przeniosłem?

Monika: Cześć. Nie. W pół godziny nie ma szans. Plamy opadowe pojawiają się po jakichś dwóch godzinach.

Robert: Czyli jak się chłopaki uwiną, to nikt się nie zorientuje?

Monika: Nie powinien.

Robert: Dzięki. I pozdrawiamy służby, które nas ewentualnie słuchają.

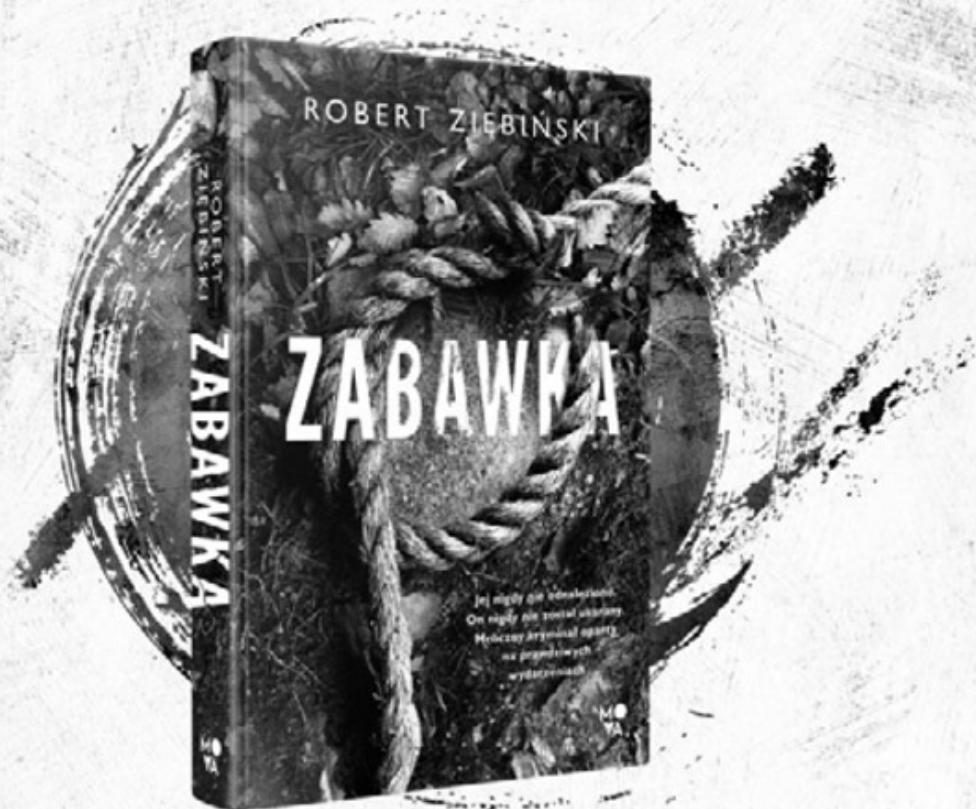
Monika: Zawsze do usług.

I Erykowi Lubosowi za każdego mentalnego kopniaka, którym motywował mnie do pracy.

Na końcu zaś winny jestem podziękowania Tobie, Czytelniku, za to, że kolejny raz dotarłeś do tego miejsca. Dzięki i do przeczytania następnym razem.

WYDAWNICTWO MOVA POLECA:

**JEJ ŚMIERĆ POZOSTAJE ZAGADKĄ.
ON POZOSTAJE BEZKARNY.
MROCZNY KRYMINAŁ OPARTY NA
PRAWDZIWYCH WYDARZENIACH.**




Dostępna również jako:





E-BOOK



AUDIOBOOK

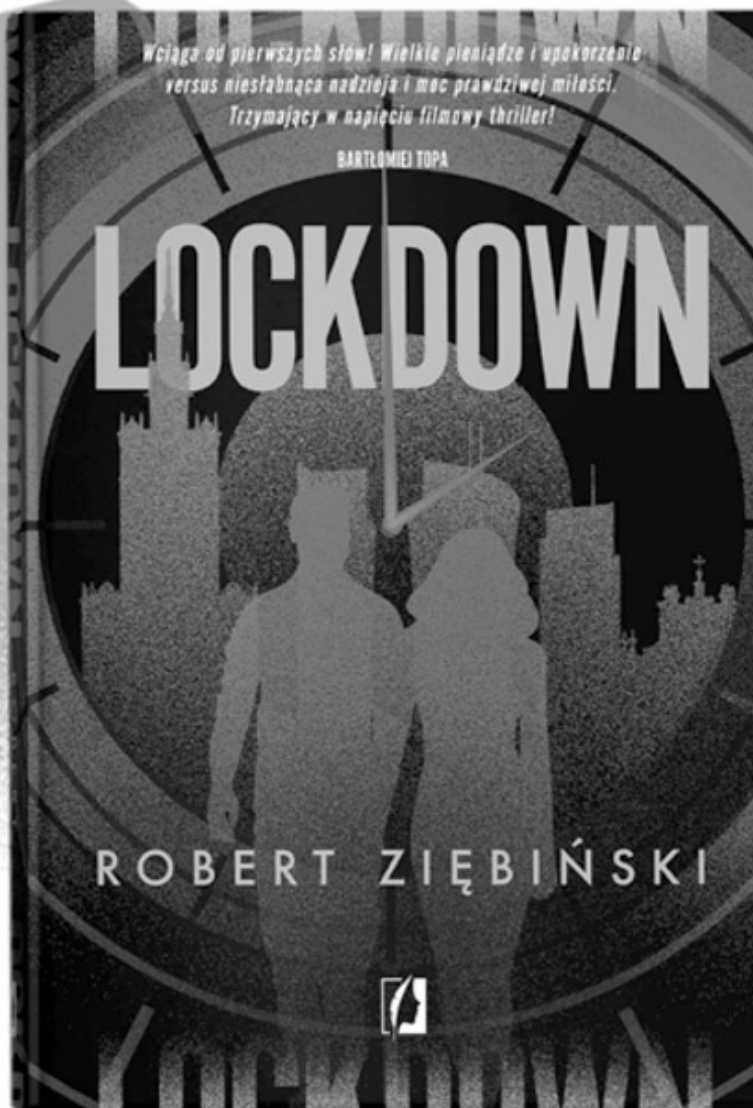
 www.mova.com.pl

 facebook.com/wydawnictwo.mova

 instagram.com/wydawnictwomova

MOVA

Przeczytaj także:



**Pikantna, odważna, trzymająca
w napięciu powieść sensacyjna**



WYDAWNICTWO
KOBIECE

CZYTAMY, INSPIRUJEMY, ODKRYWAMY




SIĘGNIJ PO WIĘCEJ!


www.wydawnictwokobiece.pl [kobiece](#) [wydawnictwo.kobiece](#)




*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](#)

 [wydawnictwo.kobiece](#)

SPIIS TREŚCI:

Karta tytułowa

Część I

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Część II

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Posłowie

Karta redakcyjna

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik
Wydawczynie: Agata Garbowska-Karolczuk
Redakcja: Maja Strzeżek
Korekta: Małgorzata Denys
Projekt okładki i ilustracje: © Tomasz Majewski

Copyright © 2021 by Robert Ziębiński

Copyright © 2021 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiace Łukasz Kierus

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne
Białystok 2021
ISBN 978-83-67069-53-3



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiace

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek